



SĄDY PODKOMORSKIE.

Page 100

THE HISTORY OF THE



PIOTR JAXA BYKOWSKI.

SADY PODKOMORSKIE

POWIEŚĆ STAROSZLACHECKA.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-000 Warszawa
Tel. 26-58 53, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

1882.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Июля 1882 года.

438

Druk Józefa Ungra, Warszawa, Nowolipki Nr. 3.

I.

Zaklęta dolina.

Przepiękna to była miejscowość, na której rzecz się nasza rozwija...

Atoli nie wyobrażaj sobie, czytelniku, abym cię chciał wprowadzić pomiędzy niebotyczne szwajcarskie urwiska i przepaście, grożące śmiercią za każde niebaczone stąpienie. Nie okażę ci śnieżnych wierzchołków, czołem zuchwałem gwiazd sięgających, szarych skał, zaledwie mchem pokrywających swą nagość, bystrych strumieni, kaskad szumiących aż do ogłuszenia — słowem tej natury burzliwej, kryjącej w swoim wnętrzu siłę zniszczenia.

Jako żywo!...

A jeślim rzekł: „przepiękna miejscowość,” rozumiałem przez to ową piękność tej naszej ziemi,

cichą, swojską a spokojną, którą Bóg miłosierny rozlał dla ludu, jakby dając mu poznać, iż winien żyć zgodą, jednością i wspólnem miłowaniem... Pokąd tak żył, wedle naznaczenia Bożego, cieszył się na własnej grzędzie pomyślnością i spokojem...

A więc była to sobie rozkoszna polska dolina, jedna z tych, którąby niezawodnie strudzony długą drogą podróżny z pomiędzy wielu obrał sobie dla wywczasu. Wiła się sobie wdał taką czarowną krętaniną, że omanionemu oku zdawało się, iż poza nią niema już innego świata: tu gdzieś wystrzeliła pagórkiem, bujną trawą usłanym; tam gaik zieleniejący wabił chłodem cienia; indziej wyskoczyły kwitnące krzaki róż dzikich, głogu, kałiny. A każdemu zmysłowi ludzkiemu ta rozkoszna natura zadość czyniła: woń świeżego kwiecia i trawy, rozsiana w całym powietrzu; niedościgniona dla oka nieskończoność cichego, a wspaniałego widoku; szum liści drzew i trawy, wtórem leśnych śpiewaków przeplatany, dopełniał całości.

Wywinięte z doliny dwa przeciwległe, wyniosłe pagórki zamykały przestrzeń obrazu. Na jednym z nich piętrzył się w oddali wysoki zamek; na drugim białął skromniuchny dworek, zaledwie z poza drzew wychylając nieśmiało kończyny czerwonego dachu i parę białych kominów.

Przy zamku na wspaniałej świątyni wznosił się krzyż, o wierzchu złożonym. Obok dworku zaś przeglądał krzyżyk czarny, na skromnej drewnianej kopulce. A zdawałoby się, iż Bóg naprzemiany oba te swoje przybytki rad zamieszkuje. Taka tam jakaś błogość wiała na widokregu, jakby bóstwo pokoju roztoczyło nad nim swe opiekuńcze skrzydła.

Och — rzekłbyś niezawodnie — w tym raiku żyć, lub Bogu ducha oddać, byle się ztąd nie ruszyć!...

Lecz od czegoż złość i zawiść ludzka, która i tu we wspaniałe dzieło Twórcy wkroczyła zuchwale, manifestując się przez ów odwieczny protest „moje i twoje,” strugami krwi człeczniej oblanej i milionami napiętnowany śmierci.

Jak ziejąca na ciele ludzkim obrzydła rana, która je szpeci i plugawi — ową piękną dolinę, w najpowabniejszym miejscu, przepołowiła zawiść, chciwość i pycha. Wśród niej przecięto jakby ranę, czarną ziejącą posoką, rów kilka łokci głęboki i szeroki; a jakby szpecące wrzody na zdrowym ciele, usypano wpodłuż niezgrabne kopce, wedle prawa, o sznur (1) odległości pomiędzy sobą; a wierchołki kopców na urągowisko

(1) Sznur, według statutu w. ks. lit., 45 łokci.

uzbrojono w symbol gniewu, pomsty i złości—
w różgi olbrzymie.

Jak nad rozciętem ciałem ludzkim, tak się
serce krajało na widok rozkosznej natury, zepso-
waną ręką człowieka. Patrząc na jedno i dru-
gie dzieło, powiesz odrazu, które jest Bożem,
a które człowieczem, powiesz co się zowie świa-
tem a co *granicą*.

Snęła się ta blizna ziemska daleko, aż ją za-
kończyła pusta karczma ohydna, napół rozwało-
na, której ten rów nie chciał, lub nie śmiał je-
szcze przecinać. Ziemia rozsypana z tej fosy
przygniotła polne trawy i kwiaty, które dotąd
rosły sobie pod opieką Bożą, a zażywając swo-
bodnie słońca i ziemi, które Bóg stworzył dla
wszelakiego stworzenia bez podziału, nie miały
biedne pojęcia co znaczyło owo „moje i twoje,”
o które człek tak gorliwie zabiega.

Nikt nie śmiał przerywać tej ciszy bolejącego
lasu; jedno ptaszęta kwiliły nad swoim ulubio-
nym siedliskiem na żalostną nutę, pragnąc rzeko-
mo smutek jego rozweselić, i on sam szumiał po-
nuro osłabłym szmerem, zdając się jęczyć i stę-
kać nad swoją dolą, a ludzką złością.

Wistocie dziwiłby się trzeba, iż to urocze ustro-
nie w skwar letni południowy było zupełnie pu-
stym; a chociaż leżało pomiędzy dwiema wioska-
mi, ni z tej, ni z owej strony nikt nie śmiał de-

ptać zaklętej doliny. Ani dziatwa nawet, niepojmująca jeszcze surowego zakazu „nie można,” nie przybiegła tu dawnym zwyczajem wytarzać się po świeżej trawie, lub urwać pręciki na wspólną bitwę; żadne ze zwierząt domowych nie przybyło wyhasać się na murawie, a nawet i bezmyślna kura nie przyprowadziła tu swoich kurcząt, aby się z niemi wygdakać na swobodzie.

Dolina bowiem, tak świetnie ręką Stwórcy uposażona, była zaklęta najsroźszą z klątw, bo złością ludzką!

II.

Michałek i Hanka.

Nagle jednak zaszumiały różniéj drzewa, głóśniej zaświegotało ptactwo, trawki zaszemrały weselój, witając serdecznie przyjazną istotkę, która ukazała się tuż przy rowie, od strony białego dworku i drewnianéj kopułki.

A niedziw iż cała natura zdawała się uśmiechać do téj istotki, bo zaiste wdzięczneż to było widziadelko, w postaci wiejskiego dziewczęcia.

Szła sobie brzegiem rowu, zadumana, nie bacząc iż jéj drobniutkie nóżki mogły się narazić na nielitościwe pokrzyw i ostów pociski.

Snadź ubogą była wieśniaczką, wszakże nie kmiecego stanu, czego dowodził sam strój jéj, chociaż ze zgrzebnego płótna, jednak czysty i bie-

luchny. Giętką i smukłą jej kibić, któraby i w łani zazdrość obudziła, owijał kabacik zgrabny, ztyłu sznurowany, a jakoś po szlachecku i z waszecia skrojony, świadcząc wymownie, iż jego właścicielka nie zawsze proste szaty wdziewała. Poniżej kabacika opuszczała się ku dołowi sycowa czerwona spódniczka w prążki czarne; gęstego, kruczego warkocza miękkości jedwabiu, okalającego wdzięcznych kształtów główkę, kmiecym obyczajem nie pokryła rąbkim, ale splótszy w dwie długie kosy, dała im wolę bujania. Twarzyczkę białą i rumianą, choć bez zasłony, słońce uszanowało, zostawując jej nietkniętą barwę krwi z mlekiem. Nad jasnym czołem dziewczyny zwisał niedbale wianeczek z ziół świeżych; atoli nie zwity ręką szczęśliwej i zalotnej oblubienicy, nie weselny, żałobny raczej, smutku tylko i zadumy nadobnej twarzyczce dodawał.

I oczy jej, czarne jak dwa rozpalone węgle, pod bujnym wiankiem rzęsów ukryte, zamiast błyszczyć miłością i weselem, łzawą się ćmiły powłoką. Rozkosznej zaś piersi nie podnosiły radośne lub błogie tęsknoty serca bicia, lecz momentami szarpały ją jakieś bolesne westchnienia. Przez ramię zwiesiła małą kobiałeczkę, z której odrobina ziela przeglądała; bowiem bezmyślnie pochylała się niekiedy i jakąś urwaną trawkę wprzód oglądnąwszy ją uważnie, rzuciła od nie-

chcenia do kobiałki. Widocznie dawnym szlacheckim obyczajem czyniła zapas roczny do domowój apteczki.

Przechodząc tak zwolna brzegiem rowu, wzrok smutny topiła w drugą stronę, a spoziérając na pałac piętrzący się na górze, niekiedy zgłębi pierś ciężko westchnęła, lub rozpaczliwie pokiwała główką; to znów łzawe oczy utkwiała w niebo, białe ręczęta złożywszy jak do modlitwy. Snadź gorąco o coś Boga prosiła.

Nagle zadrżała, a wyteżywszy uwagę, jakby cała w słuch zamieniona, stała nieruchoma, chwytając chciwém uchem rażny tentent konia, który zdala echo przynosiło.

— Ach! czyliżby to był on?—szepnęła ku niebu ledwie dosłyszalnym głosem.

Twarz jéj to promieniała nadzieją, to bladła rozczarowaniem, usta uśmiechały się weselem, to krzywiły boleścią, a tyle na jéj piękném obliczu sprzecznych uczuć przemykało, tyle na niém życia igrało, iż nie poznałbyś w niéj teraz dawnéj spokojnéj dziewczyny, rzucającéj bezmyślnie zioła do kobiałki. Im wyraźniej dawał się słyszeć bieg konia, tém jaśniej wzrok połyskał i gorzały rumieńce na pięknej twarzyczce.

Nakoniec, uderzając w dłonie, zawołała:

— O Boże! to on! serce mię nie myli.

Widać że dziewczyna posiadała jedno z tych

sere czułych, obdarzonych nieomyślnością, gdyż zaledwie słów tych domówiła, kiedy z wianka lasu ukazał się konik kary, bystry i żwawy, a na nim jeździec, obaj z koniem tak do siebie przyrosli, jakby ich rzeźbiarz wykuł z jednej bryły kamienia. Snadź obu ożywiały zapał młodości i pośpiechu, bo koń biegu nie zwalniał, a jeździec jego ferworu nie hamował. O, bo młodzi łatwo się między sobą porozumieją, choćby do jednej kategorii stworzeń nie należeli.

Lubo to nie będzie w porządku hierarchicznym kreacyi, stawiającym człowieka nad wszelkie inne stworzenia, lecz że koń wprzód wysadził piękny swój łeb przed jeźdźcem, więc od niego zaczniemy. Owóż ten piękny łepiek zdobiła frenzla turecka, gęsto srebrem nasadzona w drobniutkie gałązki i księżyce, które wdzięcznie odbijały od wroniej maści, z białą strzałką pomiędzy oczami, z których skry się sypały, jakby zpod krzesiwa. Nozdrza różowe parskały pianą, a munsztuk chrząszczał pod zdrowym zębem, jakby zwierz przegryźć chciał tę zaporę, której wszakże niecierpliwy jeździec mu nie stawił. Znać i konikowi pilno czegoś było. Czaprak amarantowy ze srebrną sutą frenzlą, pięknie odbijał od lśniącej czarnej koszulki rumaka.

A jeździec... dzielna to była postawa, już zdała świecąca urodą i strojem! Miał na sobie mun-

dur granatowy, jakby ulany z kruszcu, tak gładko męzkie kształty jego owijał i uwydatniał; lampasy, kołnierz i rabaty amarantowe, a guziki i szlify srebrne każde mignięcie promienia słonecznego po tysiäckroć powtarzały. Na kształtnej głowie, okoloniej czarnym gęstym włosem, zawisała zgrabna czapeczka amarantowa, mająca z lewej strony fontaż srebrny, przy którym drżały trzy piórka z lanego srebra, a z nich wyrastająca kitka z białych piór to wystrzelała swobodnie ku niebu, to swawolnie z wiatrem igrała. Całości stroju stosownie dopełniały srebrna taśma od ładownicy i srebrne ostrogi; dwa pistolety srebrem kute z olster wyglądały z powagą, a szabla zawieszona na srebrnym pendencie, bujając swobodnie, brzękała sobie, jakby wygrywała marsza do pośpiechu jeźdźca i konia.

Jeździec, skoro wysunął się z lasu, błysnął ognistym wzrokiem na cztery strony świata, jakby chciał je objąć jednym rzutem oka i coś tam wynaléć. Ręką jedną zaledwie dotykał cugli rumaka, dając mu wolę, a drugą muskał z fantazyą jakąś podobiznę czarnego wąsika, który się ledwie zasiéwał na wardze.

Lecz dokąd-że to śpieszył w paradnym uniformie, a zbrojno i przy całym rynsztunku?... czy na meldunek do starszyny wojskowej? czy na lustracyę? czy na wojnę?

Na widok jego aż ptaszęta zawiesiły swój szczebiot i umilkły, dziwując się tak niezwykle-mu zjawisku, którego w swój cichój siedzibie najstarsze z nich nigdy nie oglądały.

A dziewczyna?... ujrawszy zdala jeźdźca, na przemiany to rumieniła się, to bladła. Oddech jój w piersi zastęgał, a wyciągała ku niemu ręczęta, jakby biedz chciała i rzucić się w jego objęcie. Lecz nagle oprzytomniawszy z pierwszego zapalu, spojrziała poza siebie w stronę dworku, westchnęła, lzy się jój zakręciły w oczach i z determinacją uciekać postanowiła. Atoli biedne jój nóżęta odmówiły posłuszeństwa i drżąca stanęła na miejscu, jakby przyrosła do ziemi.

Jeździec tymczasem wstrzymał konia i jeszcze raz rozejrzał się na wszystkie strony, a po chwili dostrzegłszy dziewczynę, spiął konia ostrogą i z pochyłości puścił się ku niej w całym pędzie.

Krzyk przerażenia wyrwał się z zamierającój piersi kobiety... bo tuż, tuż był rów szeroki i głęboki... śmierć oczywista dla jeźdźca i rumaka. Dziewczyna z nadludzkim wysiłkiem dobywała rozpaczliwego głosu ze słabój piersi, usiłowała znakami ostrzedz o niebezpieczeństwie; lecz ten jój wysiłek był daremny, gdyż pędzący jeździec nie widział i nie słyszał, rumak zaś posłuszny leciał jak szalony. Więc kobieta, pojąwszy niemożność ocalenia pędzących od widocznej zguby,

padła na kolana i wzniosła błagalnie ręce i oczy ku niebu, wołając z wyrazem rozpacz:

— O, Boże! zabierz mię, jeżeli taka Twoja wola, tylko-ż ratuj jego!

Koń tuż, tuż był przy rowie; jeszcze kroków parę, a śmierć niechybna czekała obu...

Lecz instykt mądrego zwierzęcia stał się wybawicielem, bo chociaż w największym rozpędzie nad rów nadbiegł, wstrzymał się jednak z tak niesłychanym wysiłkiem, iż w tył się cofnął o kilka kroków, aż jeździec, choć jakby przykuty do siodła, zachwiał się; lecz że, prócz dziewczyny do której pędził, nic innego nie widział przed sobą, zagniewany tym uporem konia, w uniesieniu skrwawił z całej siły bok poczciwego zwierza ostrogą, a posłuszny rumak w oka mgnieniu przesadził rów i jak wkopany stanął razem z jeźdźcem obok dziewczyny, która śmiertelnie blada i drżąca, z rękami wzniesionemi ku niebu, skamieniała z przestachu.

Jeździec w jednej chwili zeskoczył z konia, napół omdlałą dziewczynę podjął z ziemi i złożył na swój piersi, okrywając ją pieśczołami.

— Hanulko moja! — wołał. — Bóg z tobą. Ja twój zawsze wierny, twój na wieki Michał, jestem przy tobie!

Dziewczyna, jakby ze snu zbudzona, błędnym wodziła wzrokiem, tuląc się do piersi młodzieńca.

Lecz po pewnym czasie oprzytomniona, wrywając się z jego objęć, odtrąciła go od siebie, mówiąc z trwogą:

— Panie Michale, uchodź, na miły Bóg, prędzój!...

— Ja mam uchodzić, moja ty najdroższa, kiedy po tylu latach rozłączenia znów jestem przy tobie?... Żadna siła mię ztąd nie oddali — wołał młodzieniec z zapalem.

— Panie Michale! zaklinam cię na miłość Boga, uchodź! — powtórzyła dziewczyna błagalnie, składając ręce jak do modlitwy.

Lecz młodzieniec stał nieporuszony, a ujawszy w swe dłonie chłodną i drżącą rączkę dziewczyny, mówił z wyrzutem:

— Hanulko moja jedyna, odkądże zostałem dla ciebie „panem Michałem?” I także mię witasz po tylu latach?... Powtarzam iż niema siły, któraby nas rozdzieliła...

— Ale jest złość i zawiść—przerwała smutno dziewczyna. A nagle, zwracając się w stronę dworku, jakby ztamtąd groziło jakieś niebezpieczeństwo, śpiesznie dodała: — Lecz uchodź, uchodź! na wszystkie świętości cię zaklinam! bo twojemu biednemu zwierzęciu grozi śmierć, a może i...

Już nie dokończyła, a tylko załamawszy ręce, łzami się zalala.

— Moja najdroższa, co ci jest? — ozwał się zatrwożony młodzieniec.

Dziewczyna, nie słuchając jego mowy, podbiegła do konia, który, znużony szalonym choć krótkim biegiem, parskał jeszcze nozdrzami, a cały pianą okryty, z karego stał się siwym, i zarzuciła rumakowi rączki na szyję, jakby zwierzęciu chciała oddać pieśczo-ty, których jego panu poska-piła.

— Biedny mój koniku!—mówiła—uchodź, bo tu ci grozi niebezpieczeństwo.

Koń, jakby pojmował i umiał cenić te pieśczo-ty, to łepiek przechylał, to parskał, to chwycił lekko pyskiem suknie dziewczyny, a na pana spoziérał z dumą.

Tymczasem dziewczyna, głaszcząc konia, mówiła śpiesznie do jeźdźca:

— Ten biedny konik, choć taki dziarski i zwinny, lecz nie potrafi przeskoczyć napowrót pod górę tego nieszczęsnego rowu, który się ciągnie daleko. Siadajcie na koń, pędźcie z całej siły tędy na lewo i corychlój stańcie na swój granicy, bo ja drzę cała z obawy na samą myśl tego, co lada moment zająć może... Zmiłuj się nademną nieszczęsną, zaklinam cię na pamięć przeszłej naszej przyjaźni... uchodź!...

— Czyliż już tylko „przeszlój,” a nie terazniejszej? — spytał, smutnie opuszczając głowę, młodzieniec.

— Bóg mi świadkiem, żem ci szczerze sprzyjać nie przestała—rozpoczęła dziewczyna ze łzami w oczach, a nagle spojrzawszy w stronę dworku, zawołała trwożliwiej:

— Ale w imię tój przyjaźni zaklinam cię, uchodź!...

— Hanno!—ozwał się młodzieniec stanowczym głosem—jeżeli już nie co innego, to ta broń, te oznaki wojenne, które mam zaszczyt nosić, nie nadają się do ucieczki przed niebezpieczeństwem. Radbym mu owszem zajrzał w oczy, a choćby śmiercią samą miało być dla mnie, lepiej ją ponieść przy tobie, niż zachować życie zdala od ciebie.

— Michale! zmiłuj się nademną nieszczęśliwą!... nie wiesz nawet co ci grozi.

— Niech grozi, ja się ztąd nie ruszę! — mówił młodzieniec z silném postanowieniem.—Lat sześć przeszło przepędziłem zdala od ciebie, dopełniłem warunków stawionych przez mojego ojca, ukończyłem szkołę rycerską, zostałem oficerem, a teraz miałbym od tego szczęścia uciekać? Nie, moja droga, żadna potęga ludzka nie jest w mocy nas rozdzielić.

— Na nieszczęście *to* dzieli nas nazawsze—odpowiedziała dziewczyna z westchnieniem, wskazując na rów i kopce.

— Czyliż i ty, moja miła, stajesz naprzeciw

mnie, przeciw najdroższym życzeniom mojego serca? I gdzież ten czas, kiedyś cię zwał swoją Hanką, a ty mię swoim Michałkiem, gdzież te szczęśliwe chwile?

— Minęły niepowrotnie z wiekiem dziecinnym, pochłoneła je złość ludzka. Dziś musimy uleść woli rodziców. Mnie już niewolno widzieć ciebie, zakazał mi to ojciec najsurowiej i pou błogosławieństwem... Żegnaj, Michale, dłużej tu bez grzechu nieposłuszeństwa woli rodzicielskiej bawić nie mogę... Niech cię, mój drogi, Bóg pociesza, bo ja dla ciebie w sercu mojem zatrutem goryczą inną nie znajduję pociechy.

Wymówiwszy te słowa drżącym i wzruszonym głosem, dziewczyna raz jeszcze objęła ławym wzrokiem piękną postać młodzieńca, a dobywając ostatnich sił zbolełego ducha, zwróciła się w stronę dworku, mówiąc na pożegnanie:

— Ale na naszą dawną przyjaźń, na rany Boskie zaklinam cię, uchodź, bo wielkie grozi ci niebezpieczeństwo!

Już miała odejść, lecz ją wojak zatrzymał.

— Nie!... moja Hanulko, tak być nie może; nawet gromy niebios nie odpędzą mię z tego miejsca... I na toż żywiłem zdala od ciebie przez lat tyle nadzieję naszego połączenia, nią tylko oddychałem, do niej dążyłem, aby ją dać sobie rozwiązać jednem słowem, czyimś kaprysem lub przy-

widzeniem? Tak z drogiem sercu marzeniem rozstać się niepodobna, to nad siły ludzkie!... Niech nakoniec wiem co mi grozi, z kąd grozi to niebezpieczeństwo, abym wiedział z kim stanąć do walki. Bo ja nie ustąpię ciebie, mego najdroższego skarbu, do którego poświęceniem najpiękniejszych dni mej młodości nabyłem prawa.

— O mój drogi, mój jedyny, miej litość nad mojem słabem sercem niewieściem. Wola wyższa pomiędzy nami nazawsze stanęła: wola, przeciwko której żadna walka nie jest godziwą, bo to wola rodziców.

Dzieweczyna, łzami się zaléwając, a po chwili nieco uspokojona, dodała:

— Ulituj się nademną, oszczędź mnie, moje słabość niewieścią, dozwól mi wypełnić świętą wolę rodziców i pożegnać ciebie nazawsze!...

— A twoje przysięgi?—przerwał młodzieniec z wyrzutem.

— Nie złamię ich względem ciebie i ani ręki ani serca nie oddam innemu. Zamknę się w klasztorze, skoro to będzie z wolą rodziców, i będę prosiła Boga, aby ci dał szczęście i zapomnienie o mnie... Świat ten szeroki, mój Michale, a tyś jeszcze taki młody... pociesz się... Żegnaj, mój drogi, bo mi się nie godzi dłużej tu zostawać...

Po tych słowach dziewczyna twarzyczkę odwróciła i sama ku dworcowi iść chciała; ale wójak jęj ręki nie puścił.

— Niech będzie co chce—mówił stanowczo— a ja się nie ruszę z tego miejsca, które zdobyłem poświęceniem i stałością. Gdyby nawet życie moje było w niebezpieczeństwie, wolę je utracić, niżli ciebie, moja najdroższa... Pomówmy choć chwilkę spokojnie, powiedz mi co zaszło, co nam grozi?... bo ja dotąd niczego zrozumieć nie mogę. Dziś, za mojem przybyciem po sześciu latach do domu, ojciec mię od wrót odpędził, zabronił mi wymawiać imię twoje i zapowiedział surowo, abym się z tobą nie widywał. Hanno, nie bądź i ty bez litości nademną i powiedz nakoniec, z kąd to nieszczęście nad moją głową zawisło? Niech wiem przynajmniej, jak temu zaradzić... Zaklinam cię, Hanno, opowiedz mi o tém co zaszło.

Wtém dał się słyszeć dzwonek zpod kopułki drewnianej dworku.

— Dzwonią u nas na „Anioł pański,” cała czeładź razem z rodzicami pójdzie do kaplicy, a po tém zasiądą do stołu, możemy zatem jakąś chwilkę pomówić swobodnie.

Młodzi spojrzeli sobie w oczy, chociaż zawsze smutno, ale spokojnie.

— Cóżes powiadała o niebezpieczeństwie, które ma mi grozić na tém miejscu? Nie przeto py-

tam, abym się czego obawiał, ale chciałbym wiedzieć, jak je można odwrócić, zażegnać. A zresztą chciałbym nakoniec i to wiedzieć, co się tu stało, z kąd wynika nienawiść naszych rodziców, przedtém tak serdecznych przyjaciół?

— Oto co nas dzieli, mój drogi — mówiła dziewczyna, wskazując raz jeszcze na rów i kopce.

— Cóż mię doleciało jeszcze w Warszawie z waszych zatargów granicznych, których zażartość na cały świat się rozślawiła; lecz czyliż mogłem przypuszczać, iż one tak daleko dojdą?... Coż znaczą ten rów i te kopce? Kto je usypał? Wszakże wasze grunta ciągnęły się prawie aż pod nasz zamek... cóż to za nowe rozgraniczenie?

— To z wyroku sądu podkomorskiego. Zjeżdżał on tu dla uśmierzenia srogich waśni i napałów, które ojcowie nasi prowadzili z wielkiem zgorzeniem ludzkim i obrazą Bożą... Ziemia tu już wszystka wasza, a nam zaledwie łan (1) jeden obok zagrody pozostał... Nie narzekamy na biędę, bo my we troje, z ojcem i matulą, i na mniejszém wyżyćbyśmy mogli; lecz modlimy się z nią we dwie, suszymy i czynimy wota, aby Bóg przynajmniej raczył odwrócić od nas grzech zawiści i pomsty.

(1) Łan — trzy włóki.

— Nie, moja droga, tak być nie może; ja wazszej krzywdy nie zniosę, ja wyrzeknę się spadku, domu rodzinnego, wszystkiego, oprócz ciebie jednej, moja ty najmilsza...

— Wola rodziców, to wola Boga—przerwała mu dziewczyna — szanować ją i poddać się jej musimy, choćby nas na srogie próby narażała... Mnie się tylko jednej wyrzeknij, bo i cóż ci po mnie nieszczęsnój?... Masz honory, dostatki, rangę w wojsku; twój świat jest inny, świetny, jasny, wesoly, a mnie smutną zostaw mojemu losowi, któremu się poddam bez szemrania.

— O nie wołał zapalczywie młodzieniec — ja dla ciebie jednej wszystkiego się wyrzeknę i nikt mi ciebie nie wydrze.

Chciał przyciągnąć dziewczynę do swęj piersi, lecz ona zdaleka go odtręciła.

— Hanno! czyliż mi już i tego bronisz? Pamiętasz przecie dawniej...

— Nie, Michale, my już dziś nie jesteśmy dziećmi, ani oblubieńcami...

Nowy odgłos dzwonka z kopułki dworku przerwał jej mowę i dodała z trwogą:

— To znak iż odpoczynek się ukończył; ludzie wracają do pracy, niebezpieczeństwo grozi ci nowo... Uchodź więc, zaklinam cię na wszystkie świętości!

I drobniutką rączką popychała młodzieńca ku koniowi, który, jako niemy świadek téj sceny, przypatrując się jéj z powagą, zapomniał nawet skubać bujnej trawki, nęcącój go swoim aromatem.

— Nie, moja droga, nie lękam się niebezpieczeństwa, chcę owszem zajrzeć mu w oczy, a tymczasem muszę wiedzieć czego się mam obawiać.

— Skoro tak żądasz, opowiem ci krótko, byleś się tylko oddalił i dłużej nie narażał. Po téj nieszczęsnej kondescensyi, która naszą ziemię odgraniczała, ojcowie zapalali do siebie nieubłaganą zemstą i nienawiścią... Pan podstoli kazał swoim ludziom wymordować nam całą chudobę, przyczém i pastuchów naszych pobili. Ojciec go pozwał, podstoli zapłacił grzywny i sześć niedziel więzy odsiedział. Ale to nic nie pomogło, bo wróciwszy przed kilku dniami, znów napadł ze swoimi ludźmi na naszą oborę i wielkie nam szkody poczynił. Ojciec mój, rozdrażniony tém do wściekłości, szuka nowéj zemsty i każe ludziom czatować na dachu, a wraże gdyby dostrzeżono co z chudoby podstolego...

III.

S t r z a ł.

Pomimo pośpiechu, nie domówiła słów tych, gdyż z poza drzew dał się słyszeć strzał i w téjże chwili koń boleśnie zarżał, zajęczał przeraźliwie, zachwiał się i padł w konwulsyjnych drganiach za ziemię.

Nim się opamiętali młodzi, z lasku wysunęło się trzech ludzi ze strzelbami. Pierwszy, który innym dwom przodował, był to krępy, silny starzec, o wąsie sumiastym, z podgoloną siwą czupryną, ubrany w kubrak z domowego grubego płótna, pasem rzemiennym o klamrze mosiężnej podpasany; trzymał jeszcze w ręku rusznicę dymiącą, świeżo wystrzeloną. Dwaj inni, widocznie słudzy, trzymali także każdy po strzelbie, a drugą mieli przewieszoną przez plecy.

Wojak pochylił się nad leżącym koniem, jakby mu chciał nieść ratunek, chwycił oburącz opadającą głowę zwierza, chciał mu tamować krew, która obfitym strumieniem buchała z przestrzelnego ucha. Ale koń już nie jęczał, utkwiał tęskne, dogasające oko w swego pana, a jakby ukojony jego troskliwością, robił tylko silniej bokami, wyciągnął zbolale ciało i drgał konwulsyjnie... Potém wznosił cały tułów w nateżonym wysiłku, jakby chciał stawać do walki z jakimś nieznanym wrogiem, i wydał ryk krótki, przeraźliwy. Wspaniały łeb, przed chwilą pełen życia, padł na ziemię z głuchym jękiem... a krucy zakrakali w powietrzu hymn radośny, głosząc złowieszczęj spółbraci, iż biędny rumak stał się ich zdobyczą.

Wszyscy obecni, zdjęci przerażeniem, zamilkli. Młodzieniec martwą głowę drugiego towarzysza przytulił do piersi, długo, długo w nią się wpatrywał i jeszcze raz uścisnął, a potém, stojąc przy trupie, wzrok mężki, mimowoli łzami zaćmiony, utkwiał w sprawcę owego czynu, a snadź przeszył go nim do głębi, jakby wyrzut sumienia — ów bowiem przodujący z wystrzeloną rusznicą stał cały pomieszany, nie wiedząc co z sobą począć; ale jako człek, który powód popełnionej winy rad zwalić się na innego, nadrabiał fantazyą i ozwał się do młodzieńca głosem niepewnym, usiłując mu wszakże nadać jakoweś brzmienie ironii:

— Oznajm waść, podstolicu, swojemu czcigodnemu tatkowi, że winienem mu za tę chabetę trzy ruble groszy (1), które za wydaniem mi pozwu złożę w grodzie; będzie to tylko z méj strony restytucya, bo dość od niego pobrałem.

Młodzieniec stał nieruchomy, jakby nie słyszał, a oczy które wpatrzył w mówiącego łza mu zaćmiła. Łza owa drażniła i jątrzyła mówiącego, który i tak nierad był popełnionemu gwałtowi i może w duszy myślał, że dałby za to wiele, gdyby rzecz zaszła była do cofnięcia... Ale od czegoż fantazyja i pycha ludzka, a témbardziej szlachecka? One krew mu napędzały do głowy, a złość do serca, której już hamować nie umiał.

— Czegoż mi tu waść stérczysz jak posąg boleści? czy nie słyszysz com powiedział?—zawołał w pasyi.

— Mości panie skarbniku, czyliż mi nie wolno żałować bolesnej straty tego dobrego zwierzęcia, będącego nietylko moim sługą, ale i przyjacielem? — odpowiedział młodzieniec z głębokim

(1) *Statut w. księzt. lit.*, roz. X art. 2 oznacza cenę za zabicie konia albo kobyły 3 ruble groszy; za wieprza albo świnie 1 rubel groszy i t. p. Wprawdzie mowa tu o łowach, ale konstytucya z roku 1531 zastosowała też cenę i do zwierząt domowych. Wartość rubla statutowego złp. 34 gr. 15.

smutkiem, nie zabaczywszy wszakże atencji przy należnej wiekowi pytającego.

— To zabierz sobie waszeć to przyjacielskie ściervo i oplakuj je, ile się tylko podoba, ale na swoim gruncie, bo to jest szmat mojej ziemi, której waściny tatko jeszcze mi wydrzcć nie zdołał, a na którym żadnego ściërwa nietylko zdechłego, ale nawet i żywego znosić nie myślę — wołał skarbnik w największej wściekłości, sam się własnym gniewem pobudzając.

— Mości panie skarbniku — prawil młodzieńiec z poszanowaniem, ale niemniej z powagą — popełniliście czyn, nieprzynoszący zaiste zaszczytu ani prawicy, ani broni szlacheckiej, a to tém bardziej, iż to biédne zwierzę nosiło także znaki wojska narodowego... To mówiac, wskazał na czaprak mundurowy, który jeszcze nieżywego konia okrywał.—Jam zniósł moję krzywdę i boleść w pokorze, jako smutny skutek waszego rankoru za winę mojego pana ojca przeciw wam, i w niezem nie ubliżyłem waszemu wiekowi i dostojności... Zacóż więc waszmość pan urągasz nielitościwie mojemu smutkowi?

Starcowi na te słowa, lubo pełne należnej dla wieku rewerencyi, krwią zaszyły oczy, ręce zadrzały, a chwyciwszy rusznicę z rąk obok stojącego, zaryczał już nie swoim głosem:



— Smyku jakiś, młokosie, będziesz mi tu dawał admonicę!... Niedaleko jabłko od jabłoni pada; ojciec mię zruinował, a synek, który jeszcze wąsów z mléka nie otarł, chce mię rozumu uczyć... Precz mi zaraz z oczu, albo twój tatko jeszcze mię będzie pozywał o jeden rubel groszy!(2)

To mówiąc, ciągle flintą potrzasał.

Młodzieniec, nie ruszając się z miejsca, odpowiedział ze spokojem i godnością, jakby nie rozumiał powyższej, krzywdzącej dla siebie aluzji, lub widząc zagniewanego starca, miotania się jego nie brał do serca:

— Mości panie skarbniku, pozwólcie przypomnieć sobie, iż sześć lat temu, jako narzeczony waszjej córki, zęgnalem waszmość pana jako drugiego ojca i z takowymże nieklamany sentymentem dziś do nóg się waszych schylam.

To powiedziawszy, zbliżył się do starca i pochylił się u nóg jego, gdy ten, odskoczywszy, znowu wołał zapamiętały:

— Niéma i nie będzie na wieki między naszymi rodami innych związków, tylko pomsta i krew za wszystkie krzywdy przez podstolego mi wyrządzone... Na miły Bóg, ustąp mi z oczu, bo dłużej nad gniewem, co mi pierś szarpie, zapanować nie potrafię.

(2) Patrz odsyłacz poprzedni.

I potrzasał strzelbą i miotał się na wszystkie strony, wciąż wołając:

— Precz! precz!...

Młodzieniec zaś, jakby wrósł w ziemię, podnosząc wzrok śmiały na zaciekłego starca, złożył ręce na piersi i rzekł gromkim głosem:

— Kiedy tak, niech się więc na mnie kończy ta krwawa zemsta i obraza Boska... Czyńcie co wam gniew dyktuje, a będę wdzięcznym, że oczy moje patrzeć na to przestaną.

— Ha!... jeśli chcesz niechże cię razem z koniem ojcu twojemu przyniosą, jako dar mojej wdzięczności — wołał, a raczej już ryczał zapieniony starzec, strzelbę do twarzy podnosząc. Dwaj inni świadkowie téj sceny stali przerażeni, ale z przestachu ruszyć się nie śmieli.

Lecz Hanna jednym rzutem ciała stanęła przy ojcu, a wyrwawszy mu z rąk mordercze narzędzie, rzuciła je o ziemię i sama w nogi się jego wplątała.

— Ojczy — zawołała — miej litość nad nami i nad własną duszą!

Starzec opuścił ręce, powiódł dokoła błędnym wzrokiem, pobladł, osłupiał, drżać począł, lecz już nie z gniewu, ale z przerażenia. Nie wiedział przez chwilę co się z nim dzieje, aż nakoniec potarł czoło zimnym potem oblane i jakby odzysku-

jąc przytomność, która go odbiegła, rzekł prawie z dziecięcą powolnością:

— Błogosławię ci, moje dziecko, iż byłaś moim aniołem-stróżem w tej strasznej chwili, kiedy on mię opuścił.

A zwracając się do młodzieńca, dodał ze słodyczą i pokorą:

— Wybaczcie miłościwie, mości podstolicu, wyrządzoną wam krzywdę, której przez długi wiek nie odżałuję... Pozostały mi jeszcze dwa konie całej chudoby; zabierzcie je, byleście mi tylko nie pamiętali tej ciężkiej winy.

Trudnyż-bo to obraz do skreślenia: obok nieżywego konia, starzec pomiędzy dwiema rusznicami rzuconemi na ziemię, mający u nóg dziewczynę, sam zgięty w pokłonie przed młodzieńcem. Poza nim dwaj starzy słudzy, przyuczeni do bezmyślności, niemi widzowie gniewu i zaciętości pańskiej.

Młodzieniec, zdziwiony tym nieprzewidzianym zwrotem, stał, czas jakiś myśli zbiierając, aż gdy się ocknął, ukląkł u nóg starca przy dziewczynie, wołając w uniesieniu:

— Ojczy! błogosławcie swoje dzieci!

Nastąpiła chwila milczenia; sam las nawet zdawał się szmer swój przerywać, aby lepiej dosłyszeć odpowiedzi, której nie mógł odrazu udzielić

starzec, rozrzewniony t \acute{e} m dziwn \acute{e} m zako \acute{n} czeniem burzliwie rozpocz \acute{e} t \acute{e} j katastrofy. Łzy mu pociekły po zmarszczonych policzkach, oczy podnosił do nieba, jakby od niego chciał zaczerpnąć natchnienia, a \acute{z} nakoniec uroczyście dr \acute{z} ającym g \acute{o} losem rozpoczął:

— Błogosławię wam, moje dzieci!...

— Ojczel!..—przerwały mu dwa g \acute{o} sy, m \acute{e} zki i niewieści, d \acute{z} więczące melodyjnie słodką nutą szczęścia i nadziei.

— Błogosławię wam, moje dzieci—prawił smutnie skarbnik—ale nie dla wsp $\acute{o$ lnej miłości, tylko na wieczne rozłączenie. Oby Bóg zesłał ka \acute{z} demu z was szczęście w t \acute{e} m rozdzieleniu, bo krew i zemsta... nieludzkie uczucia, dzielą was na zawsze... Niech mi Bóg miłosierny przebaczy, ale nasza czara gniewu i zawiści z podstolim jeszcze niewychylona... Darujcie mi, że wasze m \acute{o} de serca zakrwawione zawodem na wst \acute{e} pie życia, ale inaczej być nie może... Żegnajcie, podstolicu, i wybaczcie moje zaślepienie wzgl \acute{e} dem was... Pójdź, dziecko moje, Bóg łaskaw i w posłuszeństwie ojcowskiej woli zesze ci pociechę.

Złożył jeszcze skarbnik krzyż na czole pochylonego m \acute{o} dzieńca i odszedł z córką, a za nimi s \acute{l} udzy, obawiając się oglądać poza siebie.

Michalek stał na tém samém miejscu jak skamieniały i błędném okiem spoziérał to na nieżywego konia, to na wierzchołki kominów dworku, a na jego bladém, znękaném obliczu znać było rozpacz i zwątpienie.

IV.

O granicę.

Ów strzał, którego byliśmy świadkami, śmiertelny dla nieszczęsnego rumaka, był także niefortunnym i dla czytelnika, bo gdyby nie padł tak nie w porę, dowiedziałby się wielu rzeczy z różnych ustek już rozgadanój Hanulki, które my teraz z powinności bajarskiej zastąpić musimy mniej poetycznym inkaustem. Nie ośmielimy się wszakże wdawać w grę niebezpieczną z domyślnością dzisiejszego czytelnika, wyćwiczonego na całym ogromie intryg powieściowych, z jakimi się dziś w oryginale i przekładzie cokolwiek spotyka—więc i powiadać nie potrzebujemy, o czém wie już doskonale czytelnik, że sprawa tu szła o granicę.

Sprawy graniczne były, że tak się wyrażę, na-
łogiem przodków naszych. Nie trzeba nawet za-
głębiać się w dawniejszych aktach podkomor-
skich, dość tylko obejrzyć się dokoła na rozsypa-
ne dawne kopce i rozmaite znaki graniczne, aby
zmiarkować, jaką to była dawniejsza zmienność
tych granic i co się z nimi wyrabiało. Utrzy-
mują, iż cała ogromna fortuna Potockich (linii tul-
czyńskiej) jest owocem spraw granicznych. Jó-
zef Potocki strażnik koronny (dziad Szczęsnego
marszałka konfederacyi targowickiej), posiada-
jąc wprowadzić już znaczny majątek, dobrał so-
bie zręcznych jurów i ze wszystkimi sąsiadami
rozpoczął spory graniczne, a skoro jednego szlach-
cica sprocesował z kretesem i ziemię mu zabraw-
szy, nabył przez to nowego sąsiada, z nim rozpo-
czywał sprawę i tak dalej *per sequens*, aż reszta,
przerażona sąsiedztwem, dobra mu za bezcen zby-
wała. Ztąd-to pan strażnik pozostawił synowi
i wnukowi tak bajeczne obszary, jakby monar-
chiczne, iż własną ziemią jeźdzali od Targowicy,
aż zpod stepów chersońskich, do Krystynopola!...
Lecz za ledwie półtora wieku przeminęło, kiedy
z całego onego państwa dziś pra-prawnukowi
strażnika za ledwie mały kęsek ziemi pozostał.
Wprowadzie są to, jak Francuzi powiadają, *les
beaux restes*, czyli po naszymu „pańskie ostatki,
lepsze niż chudo-pacholskie dostatki”... i ze dwa-

dzieścia rodzin sutoby się tym szmatem podzieliło, chociaż, jak ongi, nie liczy się na mil seciny. A może to tak z racyi *male parta...* kto wie?...

Ale wracam do rzeczy, lubo jeszcze rzemie-nym dyszłem, bo nim co do czego przyjdzie, warto się zastanowić, z kąd się wzięła owa zabiegliwość przodków naszych o ziemię? Pomijając już słabą stronę człowieczeństwa—chciwość i chęć bogacenia się—lecz sam duch dawnego naszego prawa niewolił szlachtę do zamięłowania dziedzictwa, zagrażając szlachcicowi trudniącemu się po miastach kupiectwem, rzemiosłem, szynkiem lub inném mieszczan powołaniem, utratą szlachectwa. Toż samo prawo nie dozwalało nawet szlachcicowi sprawowania urzędów miejskich, a zpod tego rygoru zaledwie dwa miasta, Kraków i Wilno, stanowiły wyjątek.

Przy téj, po prawdzie mówiąc, urojonej równości szlacheckiej, której znaczenie wskazuje dobitnie samo przysłowie „szlachcie na zagrodzie równy wojewodzie” —zawsze zważyć należy, że tylko „na zagrodzie” była bowiem szlachta, jak ta co z neofitów powstała, której prawo, pozostawując ją przy procederach mieszczzańskich, zabraniało nabywania ziemi, pod rygorem konfiskaty na rzecz skarbu, wszyscy zaś nowo-kreowani szlachtą, i tak

zwani scartabellaci (1), chociaż nieinaczęj otrzymywali przywileje szlachectwa z kancelaryi królewskiej tylko pod warunkiem nabycia dóbr za 200 tysięcy, jak później za 50 tysięcy złotych (2) w terminie roku jednego—wszakże nie mieli prawa sprawować urzędów i otrzymywać beneficjów aż do trzeciego pokolenia, „wyjąwszy tych, którzy zdrowiem albo substancją zaszczycałiby ojczyznę, lub którzy *ex antiquis familiis externis* przyjęci będą.” (3)

Otóż widzimy jakie znaczenie miała ziemia w dawném prawie i jakie nadawała prerogatywy, torując szerokie drogi do dostojęństw i beneficjów. Taki tedy *natus i possessionatus* od dziada pradziada, pomimo rzekomej równości, zawsze paradował przed szlachcicem z neofitów lub scartabellatem. Niedziw więc że chciwość w rozszerzaniu dziedzictwa uczepiła się szlachty, bo prócz odwiecznego „*beatus qui tenet*,” szlachcicowi prawo nie pozostawiało innego dorobku nad miecz i lemiesz; przez ziemię zaś dochodził do godności i znaczenia, a przez te ostatnie zwiększał mienie królewszczyznami i beneficjami. Nakoniec ob-

(1) *Skartabellaci* zwani prawdopodobnie od tego, iż byli nobilitowani „*ex charta bellica*,” to jest za zasługi wojenne. Statut wiślicki zwie ich *świerczakami*.

(2) Konsk. 1775 r. (3) konsk. 1775 r.

szerniejsze posiadłości szerszy też torowały gościniec wpływów i wyniesienia nad innych, bo taki magnat, jeżeli mu się nie udało posłować na sejm z jednego powiatu, miał ich kilkanaście i kilkadziesiąt w zapasie.

A więc po tém co się rzekło łatwo zrozumieć, dlaczego owa święta ziemia, którą, jak powiadają, Bóg dla wszystkich stworzył, dała asumpt do tylu zatargów i niesnasek, a skutkiem tego sprawy graniczne tak się zagęściły w dawnych czasach.

Otóż zpod pióra prostego bajorza wyrwała się mimowoli rozprawka prawno-historyczna; submitujemy się za onę przed nadobnymi czytelniczkami, które bezwątpienia ciekawe są co rychlój wiedzieć o dalszych losach zakochanych, a nielitościwie rozłączonych nieubłaganą wolą rodzicielską. Lecz, niestety, powinność logicznego opowiadacza zmusza nas trzymać jeszcze przez chwilę ich ciekawość na wodzy, a zajrzeć do starych kronik i szpargałów, z których tę opowieść snujemy.

V.

Bogatkowie i Bohatkowie.

Za króla Stefana, przy sławném dobywaniu Połocka, znajdował się niepospolity wojownik Piotr Bogatko, rotmistrz usarskiej chorągwi, który w téj potrzebie walecznością znakomitą się wslawił, o czém wzmianka jest w niektórych starych kronikach, również jak i o tém że w nagrodę męztwa dostał od króla starostwa bielskie i lidzkie. Wszelako kroniki zamileczają, iż towarzyszem w chorągwi Piotra był niejaki Jan Bohatko, człek właśnie dla nas najważniejszy, jako mimowolny fundament niniejszój opowieści, która bez niego nie mogłaby wystąpić na jaw ku ucieksze, jak tuszymy, czytelnika.

Bogatkowie i Bohatkowie ród to jednolity i jednoplemienny, na dowód czego dośćby przytoczyć,

co o nich dawni heraldycy wyrzekli, że: „Bogatkami ich kiedyś w mazowieckim księstwie nazywano, ale gdy się do Litwy przenieśli, Bohatkami zawołani...” Nareszcie wspólne im godło służyło, obaj się pieczętowali Pomianem. A że u nas w dawnym obyczaju szlacheckim nietyle jedynakość brzmienia nazwiska, ile herb wspólny stanowił pokrewieństwo i tak zwani „stryjcy herbowni” pocztywali się jeżeli nie za krewnych, to przynajmniej za koligatów — bez wątpienia tedy stosunek podobny zachodził pomiędzy rotmistrem i towarzyszem, o czym jest w dokumencie, który leży przed nami.

Dokument to z początku szesnastego wieku i jak wszystkie ówczesne akta natrzępiony łaciną, a zawiły w stylu, przez co do zrozumienia nie łatwy; wolimy przeto, miast długiej cytaty, streścić go w głównej osnowie.

Aktem tym jest rodzaj intercyzy ślubnej pomiędzy Janem Bohatką, a Hanną Bogatkówną córką rotmistra, której tytułem wiana ojciec oddaje połowę dziedzicznej, rodowej wsi Bogacice, w województwie mazowieckim, ziemi łomżyńskiej położonej, dzieląc takową pomiędzy córkę a syna podówczas jeszcze małoletniego.

Podajemy tu wyjątek z tego ciekawego dokumentu:

„...A iż rzeczony Jan Bohatko sentymentem

prawdziwie synowskim afekt mój *purum* rodzicielski sobie skaptował, składając co do tego w rozmaitych circumstancyach dowody dojrzałego rozsądku, a tak głową jak ręką *fidelissime* mnie się zasłużył; gdyż i w ostatniej walnej potrzebie połockiej życie moje mizerne z widocznego niebezpieczeństwa podwakroć salwował, a to z oczywistą ryzyką własnej całości, albowiem sam przytém plejzyrowany w rękę prawą od nieprzyjaciela, dwa palce postradał. Czując się tedy debitorem, co do recompensowania tych jego zasług i rzetelnie synowskich ku osobie mojej sentymentów, a bacząc na obopólny afekt, skłaniający go z córką moją Hanną — stanowimy: za wolą naszą i wezwaniem błogosławieństwa Wszechmogącego, tę córkę nam najdroższą Hannę w dozonny afekt i małżeństwo urodzonemu Janowi Bohatkowi, towarzyszewi chorągwi usarskiej, znaku hetmańskiego, a nam wielce miłemu koligatowi herbownemu, polecić. Rozdzielając z siebie pomiędzy one najmilsze dziatki nasze tak sentyment nasz rodzicielski, jako i doczesną substancją, którą nas Bóg miłosierny w łasce Swój nieprzebranej obdarzył, takową w dwóch równych schedach, jak to się poniżej powie, przekazujemy téjże Hannie i jej bratu, a synaczkowi naszemu najmilszemu, Michałowi, *ad praesens* jedénasty rok od urodzenia liczącemu. Co ni-

niniejszym dokumentem w aktach ziemi łomżyńskiej korroborowanym, a podpisami i pieczęciami uproszonych tym końcem przyjaciół i świadków konsygnowanym—*ad perpetuam rei memoriam*, stanowimy i mieć chcemy...⁷

Daliej następuje szczegółowy podział ziemi pomiędzy dwoje dzieci rotmistrza, przy dokładnym oznaczeniu granic, co byłoby zadługiem i zbytecznym do przepisywania. Jedno tylko w dalszym akcie zwraca naszą uwagę, że jakkolwiek rotmistrz nie szczędził przysłemu dzieciowi komplementów i sentymentów, o równości zaś podziału széroko rozprawiał, wszakże, o ile się widziéć daje, skłaniał się bardziej ku duchowi dawnego prawa, które dziewczki z ojezystej fortuny tylko do czwartej części przypuszczało— oraz uwzględnił arystokratyczne pojęcia ówczesnej szlachty, chylące się bardziej ku stronie imienia. Był tam jakiś warowny zameczek, a ten przypadał na dział syna. Że wodą dzielić trudno, więc i staw duży z młynami został przy zamku, a i rozmaite inne dogodności tam się znalazły.

Tak tedy ze wsi rotmistrza jednolitej, powstały dwie dzielnice: Wielkie Bogacice po mieczu i Małe Bogacice po kądzieli.

W konkluzji dokument ów miłość, braterstwo i zgodę dzieciom obu dzielnic polecał, a snadź pod dobrą wróżbą to wykonał, bowiem wzorowa,

jedność i miłość dochowywały się jeszcze we dwa prawie wieki po śmierci protoplasty obu rodzin. Dziwném to nawet było, a ledwie że do uwierzenia na one czasy, kiedy zatargi o granice tak się w Polsce rozpanoszyły.

Zadalekoby nas zaprowadziło, gdybyśmy chcieli przechodzić dzieje rodowe kilku pokoleń rotmistrza po mieczu i kądzieli, które w świętej zgodzie pomiędzy sobą dotrwały; wszakże wspomnieć nakazuje sprawiedliwość, że fundamenta tej zgody i jedności założyli małżonkowie Jan z Hanną. Rotmistrz bowiem, dopełniwszy dzieła fortuny i razem postanowiwszy córkę, zmarł w rok niespełna, a że był wdowcem i braci nie miał, opiekę nad małoletnim synem Michałem osobnym testamentem (mamy go pod ręką) powierzył swojemu zięciowi.

Każdy, komu nieba niełaskawe dały przejść w młodości przez ony czyściec cudzej opieki, wie czém jest takowa i jak zpod swych skrzydeł pi-skłęta wypuszcza (nie obrażajcie się wy *biali kru-kowie*, sumienni opiekunowie, bo niema prawidła bez wyjątku). Ale niestety, nie od dziś szpony opiekuńcze mienie sierot rozdrapują; gdyż przed półtorasta jeszcze laty Celestyn Czaplic (1), jeden

(1) Pomiędzy innemi wsławił się ten Czaplic, jako umiarkowany i cnotliwy marszałek wielce burzliwego sejmu w r. 1766.

ze sławniejszych humorystów i kalemburzystów polskich, będąc sędzią grodzkim łuckim, odezwał się do jednego z onych *sławnych* opiekunów: „to prawdziwa opieka, co sieroty opieka.”

Otóż snadź Bohatko należał do tych wyjątków, czego dowód również mamy przed oczyma. Jest to manifest dziękczynny Michała Bogatki za opiekę szwagrowi, który po dojszciu do lat wyznaje, iż mu Jan, jako opiekun, nie tylko w całości fortuny dochował, ale nadto wiele ją przysporzył.

Począwszy tedy od tego mocnego fundamentu zgody, przez kilka pokoleń prosperowała ta budowa. Przez dziwny zaś zbieg okoliczności obie dzielnice, założone przez rotmistrza, dotrwały w pierwotnej swjej formie. Rozmaicie tam bywało z dwoma rodami: wyposażono dziewczki piędzmi, spłacano braci młodszych wianem żon; inni ginęli na wojnach za młodu bez potomnie; dwóch zmarło w zakonie — słowem jak to się dzieć zwykło pomiędzy ludźmi. Lecz koniec końców nie rozdrobniły się w tych rodach ani dzielnice ziemi, ani serca wspólnie się po bratersku miłujące: jeden drugiego zwał bratem, jakby zamek i dworek jeden dach świętej zgody pokrywał.

VI.

Pra-prawnukowie.

Dusza rotmistrza w chwale Bożej radować się musiała, widząc na ziemi swoje dzieło tak pobłogosławione, i kilka już pokoleń, jak rosły, wzmagaly się, tak i schodziły ze świata w świętej zgodzie i jedności. A choć tam może zasypały się dawne granice, osunęły się kopce, nikt na to nie baczył, każdy od ojca do syna swojego pilnował, a najmniejsza chmurka waśni nie przeleciała ponad głowami potomków rotmistrza.

Nasza opowieść rozpoczęła się właśnie, kiedy lat ze dwieście minęło od skutecznienia podziału fortuny, czyli małżeństwa Bohatki z Bogatkówną. Rody ich zawarły się teraz w dwóch przedstawicielach: na Wielkich Bogacicach siedział pod-

stoli wyszogrodzki Marcin Bogatko, obaj ludzie jeszcze czerstwi, lubo za pięćdziesiątkę sięgali. Coś to tak brzmiało przez dziwny traf, jakby ów Marcin rotmistrz z Janem towarzyszem zpod Połocka; i niema się czemu dziwić, bo dawnym obyczajem chrzestne imiona często się powtarzały w jednym rodzie.

Marcin opłakał już dwie żony, które wielce miłował, a z kilkorga potomstwa, które mu pozostawiły, jeden chował mu się syn, którego, na rodową tradycyjną pamiątkę owego niegdyś przodka wychowanego przez Jana Bohatkę, nazwał Michałem. Żal po dwóch towarzyszkach życia i po utraconych dzieciach uczynił go ponurym, odludkiem, może trochę żółciowym i śledziennikiem, a prócz sąsiada z dworku, Jana Bohatki, którego zwał bratem i w rzeczy jak brata miłował, nierad kogobądź widywał i od ludzi stronił.

Skarbnik zaś także miał robaka, który mu toczył serce ciężką troską. Żona jego od lat kilku, powiwszy mu córkę, zaniemogła ciężko i obłożnie, a najgorliwsze męża starania nie mogły podźwignąć niebogięj z łoża boleści. Jan, choć znosił nieco mężnięj swój kryż, jednak i jemu z tym smutkiem było nie do ludzi. Nareszcie musiał sam jeden podolać wszystkiemu, bo i małą dziecinę piastować i chorą pielęgnować małżonkę.

Obaj zafrasowani bracia jedyną pociechę swych smutków znajdowali w dwojga szezebiotliwych istotkach, które to zaciszne i ponure ustronie napełniały i ożywiały ciągłym ruchem i gwarem. Byli to Michałek syn podstolego i Hanulka córeczka skarbnika.

Dzieci odziedziczyły od kolébki miłość, jaka łączyła od dwóch wieków oba te pokolenia jednego szczepu, a szczególnie ich ojców. Michałek, blisko o lat pięć starszy od Hanulki, przez instynkt wrodzony płci silniejszej, stał się jej piastunem, protektorem i obrońcą. Zaledwie od ziemi odrośli, najmilszą ich dziecinną igraszką była zabawa w męża i żonę. Surowa nauka gier ich dziecinnych nie tamowała; bo dotąd Michałka przygotowywał do szkół publicznych, jak umiał, stary karmelita definitor, który wysłużywszy półwieka służby zakonnej, a odpoczywając po trudach życia, pełnił obowiązki kapelana przy kaplicy zamkowej. Sam stary i strudzony, chłopca nauką nie przeciążał; ojciec tylko, człek rycerski swojego czasu jak każdy szlachcic, wprawiał syna zawczasu do korda, konia i rusznicy. Dość tedy młodym pozostawało chwil swobodnych na owe dziecinne miłości. Co do Hanki, jej nauka ograniczała się, jak dotąd, na poznawaniu, za pośrednictwem chorój matki, liter na *Heroinie* (tak się nazywała książka do nabożeństwa, wówczas

najbardziej rozpowszechniona)—ot i po całej edukacji.

Nie wnoście ztąd jednak, ażeby wychowanie u nas onego czasu stało niżej niż indziej; owszem, były już szkoły, akademie, a nadto młodzież chciwsza nauki oddawna zapędzała się po nią w obce kraje; atoli ogół szlachty cichój i pracowitej, pędzącej życie spokojne na ojcowskim zagonie, odrywając tylko rękę od lemiesza do szabli i znów do dawnej pracy powracając, ograniczał swą wiedzę na gospodarskiem i wojenném rzemiośle, a zresztą ksiądz nauczył wierzyć i Boga chwalić, ogładę towarzyską zdobyło się po świecie, prawa krajowego ile było potrzeba udzieliła praktyka, każdy zaś ojciec oddawał synowi tyle wiedzy, ile sam niegdyś od swojego zdobył. Wzrastały tak pokolenia jedne po drugich, a nauka poczciwości względem ludzi i pożytku dla ojczyzny od krwi do krwi przenosiła się.

Skarbnik i podstoli, patrząc sobie we wspólnój zgodzie i braterskiem umiłowaniu na niewinne igraszki dzieci, cieszyli się, że odżyją kiedyś w nowém pokoleniu i że nigdy się ten wspólny afekt nie skończy, dopóki potomków ich rodzin stanie na ziemi.

Nieraz téż mawiał jeden do drugiego uradowany:

— Snadź, miły bracie, Bóg w łasce Swojój wlał

spory zapas miłości w obie nasze rodziny, kiedy już od wieków niema pomiędzy nimi śladu najmniejszej niesnaski. I te miłe dziatki, da Bóg, przetrwają pomiędzy sobą w przykładowej zgodzie, rozmnażając nasze rody.

Na to zwykle pan skarbnik, westchnąwszy, odpowiadał:

— Ee, kto tam wie! Bohatków już nie będzie na świecie; Bóg mi odmówił potomka po mieczu, a widłami to pisano, w jakie ręce dostanie się to niebożątko, moja Hanulka.

Na tém się zwykle kończyła kwestya familijna, że pan Jan Izę cichaczem otarł, a pan Michał, równie zasmucony, corychlój starał się zmienić przedmiot konwersacyi.

Trwały tak rzeczy w Bogacicach wielkich i małych. Dwoje dzyatek oddawało się igraszkom wiekowi swojemu właściwym, a starzy zdawali się więcej nad to, co mieli, niczego nie pożądać.

Atoli, jak to zwykle bywa na tym padole, że węzeł najściślej związany, za podmuchem przeznaczenia, człek sam sobie roztarga, tak téż i owa serdeczna czwórka rychło rozprządz się miała.

Wstępował właśnie na tron Poniatowski, a wkrótce potém powstała sławna niegdyś, a pożądana i przyobiecYWana w pactach conventach kilku królów polskich szkoła rycerska, niezaprzeczenie jeden z barwniejszych kwiatów w ciemnej

koronie tego monarchy. Co było żyło z panów i szlachty zamożniejszych, lub przynajmniej z jaką taką konneksją i parentelą, aby się z synaczkami do téj szkoły docisnąć, na wypródki o to się dobijało. Bogatkowi na jednem i drugim nie zbywało; bo począwszy od rotmistrza Marcina, wszystko to byli ludzie gorącego rycerskiego animuszu, a przez ożenki koligacili się z przedniejszemi domami.

Skoro tedy wieść dokumentna o onéj szkole dotarła do Bogacie, podstoli postanowił, rozumie się po walnej naradzie z panem bratem i ks. definitorem, bez której nic ważniejszego nie przedsiębrał, Michasia pomieścić w szkole rycerskiej. Lecz aby powziąć o niej dokładniejsze wyobrażenie, a razem by wstęp tam dla syna ułatwić, który z powodu wielkiej konkurencyi był utrudniony, postanowił osobiście do stolicy dotrzeć

Trudno dziś sobie wystawić rzetelnie, czém była podróż w owe czasy, osobliwie podróż pana niewyziérającego za zagrodę domową, a tém bardziej do Warszawy, o której szlachta ziemianie, stroniący od życia publicznego, posiadali jakieś zamglone wyobrażenia. Sam wybór trwał kilka tygodni. Trzebaż-bo się było w stolicy przystojnie zaprezentować, a kto wie, może i przed królem jegomością stawić, co dla szlacheica na one czasy nie było trudnością. Wietrzyły się te

dy pasy co droższe, lamowe, i kontusze przodków, czyszczone karabele, odświeżano kolébki i rzędy końskie—słowem życie zagrody spokojne, a ciche, wywracało się na nice.

Młoda para także ciekawie i z zajęciem przypatrywała się tym niezwykłym przygotowaniom, nie przeczuwając w prostocie ducha, że w nich zwisiała nad nią złowroga chmura pierwszego rozstania.

Oszczędzimy czytelnikom naszym szczegółowego opisu podróży i pobytu w stolicy pana Marcina, który że przeciągnął się nad spodziw parę miesięcy, zaniepokoił wielce tak pana Jana, jako i całą osadę; wieści bowiem pewne były jeszcze wtedy trudne, a lubo poczty istniały, niechętnie im się zwierzano. Już pan Jan zamyślał sam dotrzeć do Warszawy i osobiście spenetrować, co by tak długo pobyt pana brata w stolicy przewlekało, gdy w tém pan Marcin z wielką radością całej osady nadciągnął.

Ale nie sam przyjechał; z nim przybył młodzieniec, licencyat szkół pijarskich i stary wyga weteran sierżant. A przyjechał podstoli uradowany, gdyż za wielką tylko protekcyą wyrobił wakans do szkoły dla syna, co niełatwem było zadaniem, bacząc jak się do niej ciśniono.

Że ówczesne dzieci (za tak zwanych barbarzyńskich czasów mniej jeszcze rezonowały, oso-

bliwie z rodzicami i starszymi, Michałek więc odebrał rozkaz ojca, jak zazwyczaj związły a do-
rażny, aby nazajutrz równo ze dniem stawił się
pod komendę dyrektora i wachmistrza, a ściśle
wykonywał wszelkie ich rozkazy, bo im na wy-
padek krnąbrności prawo rodzicielskie w całej
rozszybłości przysługiwało. Michałek stawił się
do apelu i dowiedział się dopiero nazajutrz, że
pan dyrektor ma go oznajmiać z rozmaitemi
naukami, a pan wachmistrz nauczać musztry i wo-
jennego egzercerunku. Przez to samo więc no-
wy uczeń wychodził z pod feruły ojca definitora,
przy którym odtąd pozostawały jedynie rzeczy
sumienia i wiary.

„Na co to i dlaczego?” — spytałby niezawodnie
dzisiejszy malec, po wypaleniu papierosa. Szcze-
ściem że te ostatnie nie były jeszcze wtedy wy-
nalezione, wola zaś rodzicielska zamieniała wszel-
kie racye, medytacye i deliberacye. Ergo Micha-
łek, z woli lub niewoli, zabrał się do książek pa-
na dyrektora, które go niepomału nudziły, a chęt-
niej do musztry pana wachmistrza będącej mu
rozrywką, może dlatego, iż wojenne rzemiosło
było we krwi szlacheckiego dziecka. Bawił go
piękny karabinek, zastosowany do jego sił i wie-
ku, którego używali kadeci w szkole rycerskiej.

Dobre to wszystko, lecz niestety, tyle godzin
oderwanych od miłych zabaw z Hanulką, rozpa-

czą napelniały chłopaka: radby się był zbuntował przeciw tój nauce; ale to było niebezpiecznem u pana podstolego, rodzica dawněj daty, a powtórę, przezorni nauczyciele, poszedłszy do głowy po rozum, zawyrokowali iż zabawa z Hanulką będzie rodzajem nagrody pracy i pilności w naukach. Chłopak, wobec takiěj podniety, wziął się na pazury, może nietyle aby zadowolić nauczycieli, ile dla dogodzenia gorącej chęci prędszego złączenia się z miłą towarzyszką. Zabawy zaś rzadsze stawały się droższymi i pożądańszymi; na nudy czasu nie było i dziecinna para, zrazu przerażona nauką, powoli oswajac się z nią zaczęła.

Już rok mijał od powrotu podstolego z Warszawy, a Michałek godnie odpowiedział oczekiwaniu nauczycieli. Musztrował się i bronią robił niemal lepiej od wachmistrza, bo starowinie drżała już czasem ręka, księgi zaś pana dyrektora spenetrował co do jednej. Wszystko się tedy miało ku lepszemu, bo nawet Hanulka, wbiwszy się w pychę z mądrości swojego młodziutkiego towarzysza, coraz go silniěj miłowała. Nie wiedziała biedna dziatwa, jak srogi grom spaść miał na ich rozmiłowane głowy, tém sroższy, im niespodziańszy.

A był to czas, kiedy ludzie niczego w skrytości nie dokonywali; wszystkiem się dzielono, tak chlebem jak i sercem, troską i radością — czas

kiedy u ludzi dobywano wedle potrzeby radę, pomoc, wesołość w szczęściu, kompasją w frasunku. Nikt się nie chował z pomyślnością, nikt samotnie nie zgryzł twardego orzecha smutku. Każdą uroczystość jednego świętowała gromada, a nad czyjąś osobistą boleścią płakały setki oczu. Nota bene, mówimy tu o życiu wiejskiem dawniej szlachty, nie zapędzając się na pole życia publicznego i politycznego, które wszędzie posiada inne warunki.

Skoro tedy preceptorowie podstolica uznali dzieło swoje za skończone, a ucznia za dostatecznie wyćwiczony w tém, czego nauczyć go zobowiązali się, podstoli, poczytując to za ważniejszy casus domowego życia, zapragnął pochwalić się synaczkiem, wychodzącym z dzieciństwa i stawiającym krok pierwszy na polu nauki. Zawezwał przeto sąsiadów, aby się chłopiec przed nimi submitował, odebrał ich błogosławieństwo, a przytém i popisał z nabytej mądrości. Tym końcem zaprosił kilku przedniejszych oficerów i towarzyszy z miejscowej chorągwi, aby naukę pana wachmistrza zweryfikowali; a co do pana dyrektora, to jeszcze trudniej było, bo zjechał sam ks. rektor z Pułtuska, z kilku profesorami. Męcali tedy ojcowie młodego dyscyplusa na wszystkie strony.

Cóż dopiero gdy przyszła część wojskowa pa-

na wachmistrza, kiedy Michałek popisował się strzelbą i jazdą, a wszelakim cudzoziemskim egzercerunkiem, który już w użycie u nas wchodził. Rozsypywali się w pochwałach dla młodzieńca, a przytomny temu pan namiestnik hetmańskiej chorągwi w uniesieniu zawołał, przyciskając młodego wojaka do piersi:

— *Ut sum sodalis*, mości podstoli, daj mi tego kawalera. Zaraz go zrobię towarzyszem, a przy piérwszój lustracyi podam na oficera. Do czego te szkoły rycerskie? To chyba na to, żeby szlacheckie dzieci przerabiać na paniczyków, uczyć ich służby pokojowój i z podwikami zawczasu oswajać. Chwała Bogu, już tyle wieków bije się naród, a każdy się tego uczył tyle, co na karkach nieprzyjacielskich.

Stary był wyga namiestnik, posiwiały pod znakiem, a razem z innymi weteranami nie uznawał szkoły rycerskiej; ale mu zaraz młodszy oficer, już taktyk na nowy manier, skontrolował:

— Uczciwszy powagę i rangę waszę, mości namiestniku, ośmielę się przedstawić wm. panu, że to dobre było na dawne wieki, kiedy to się z Tatarami tańcowało siędy tędy, jak który umiał, a brało odwagę i rycerskim animuszem; ale dziś, kiedy wszystkie ościenne mocarstwa zrobiły już z wojennego rzemiosła naukę, nam wstecz się co-

fać niewolno, bo kto wie z którym przyjdzie do rozprawy. A ja powiadam, że jak tego kawalera wywiedzą w szkole, która już złożyła dowody wielkiej staranności w wychowaniu...

— To pójdzie tam na pazia do jakiejś dulcynei i Boże odpuść.... jeszcze gorzej — przerwał z przekąsem namiestnik.—Ale zamilczę, przez respekt dla młodych uszu... Bóg z wami! My już swoje zrobili z naszą zacofaną taktyką, obaczymy, jak się ta wasza szkoła popisze.

Młodziuchny bohater tej uczty, miasto tryumfować z odniesionego sukcesu i weselić się z innymi, trwogą się przejmował na te niezrozumiałe dlań wyrazy i poglądał na towarzyszkę, która w kąciuku pocichutku ocięrała łzy admiracyi dla swojego małego druha, nie domyślając się jeszcze o co chodziło.

Dopiero przy końcu uczty, kiedy podstoli, wzięwszy syna za rękę, prowadził go kolejno po starszeństwie do każdego gościa, aby przykleknąwszy przed nim, odebrał błogosławieństwo na drogę; gdy każdy niemal błogosławiący zapłakał, błogosławiony nieborak także zalał się łzami. Ale biedny chłopczyzna nie tyle rozrzewniony był solennością samego aktu, ile na tę myśl okropną, że niebawem odjedzie do tej strasznej szkoły, a co boleśniesz, rozłączy się z ukochaną Haulką.

Rozdziérająca serce przyszłość odsłaniała się przed jego zapłakanyim wzrokiem.

Nie uśmiéchaj się, stary niedowiarku, podziéłający to ze wszech miar fałszywe zdanie, że młodzi, a nawet dzieci, nie doznają ciężkich boleści, równie jak i dojrzałi ludzie. Może ruchliwy umysł przedzój zaciéra smutne wrażenie, ale że go doznaje i boleje nad niéim, jak każdy stary, to więcéj niż pewno.

Ale prawda, tak się niezręcznie spisałem, że cała rzecz dotąd nietylko dla dzieci, lecz i dla czytelnika pozostała tajemnicą, którą póspieszamy w krótkich słowach objaśnić. Podstoli, za bytnością w Warszawie, wyjednał przyjęcie dla syna do szkoły rycerskiej; lecz że, według regulaminu, Michałek, kończący obecnie lat czternaście, był zastary do początkowej klasy i musiał wstąpić odrazu do wyższej, ztąd owa nauka, egzamin i t. d.... cośmy już opowiedzieli.

Biédne dzieci, z bijącemi serduszkami oczekiwały tylko na rozjechanie się gości, a skoro znaleźli się sam na sam w gęstwinie ogrodu, ze łkaniem padły sobie w objęcia. Ale piérwszy Michałek, podnosząc butne czoło jak mąż dojrzały, otarł z łez oczy i głosem męzkim, jakby nie swoim, wyrzekł stanowczo:

— Nie, droga Hanulko! ja ciebie nie opuszczę, jabym tego nie przeżył!

VII.

Ojciec definitor.

Moje to szczęście, że dzisiejsi wielcy myśliciele podobnych ramot jak owa moja do rąk nie biorą, chcę tu bowiem prawić o rzeczach, na któreby oni ramionami ruszyli.

Tak to bywało, że żaden dawniejszy dom szlachecki nie obywał się bez księdza. Skoro to był dom uboższy, poprzestawał na odwiedzinach proboszcza lub wikarego; lecz pod każdą strzechą ksiądz stawał się nieodzownym, a nietylko bywał kierownikiem duchownym, ale nadto ważną częścią rodziny, poradą w zwątpieniu, pociechą w smutku, towarzyszem radości, powiernikiem w zmiennych alternatach, a przyjacielem doświadczonym we wszelakich przygodach. Jeżeli zaś

i wtedy rzadkie bywały domy, oddalające od siebie duchownych, to i ogół od nich się usuwał.

Zrastały się niejako serca ze swym duchownym przyjacielem. On to, jako sam bez rodziny, wciełał się łatwo w dom przyjazny, cieszył się społem nad kolébką, błogosławił wieniec ślubny, a gorącemi łzami obléwał trumnę.

Nie mówię ja tu wprawdzie o wysokich dygnitarzach hierarchii kościelnej, nurzających się w zawikłaniach polityki światowej, ale o skromnym wiejskim proboszczu, eichym a pobożnym, który ciepłym sercem ukochać umiał świat otaczający, jakby własną rodzinę. Niemasz tu również mowy o wielkich teologach, lub komentatorach ojców kościoła, ale o tych skromnych, cichych, a pobożnych apostołach, którzy prostotą pełną miłości i ciepła do serc prostaczków trafiać umieli. Są ludzie, którzy to poczytają za zacofanie. Dysputować z nimi nie myślę; rzucę tylko jedno pytanie: kiedy nam lepiej było, wówczas, czy dzisiaj?

Możniejszy dom szlachecki, byle stać na to było, nie obszedł się wtedy bez kaplicy i kapelana. Funkcyą tę na zamku bogacińskim od lat blisko dziesięciu sprawował ksiądz Torkwat Bogatko, kapłan zakonu karmelitów trzewiezkowych, a jakiś daleki krewny podstolego. U dziadka jego jeszcze był na opiece i poczuwszy wokacyą zakonną, z jego domu do konwentu wstąpił.

Biografia długiego życia ks. Torkwata jest krótka, jak każdego żywota w cichości i pokorze ducha Bogu poświęconego. Przeszedł przez wszystkie stopnie hierarchii swojego zakonu od najniższych, bywał rektorem po studyach, nauczycielem, wkońcu rektorem szkół świeckich, które zakon swoim sumptem utrzymywał; kaznodzieją, przełożonym w kilku klasztorach; długi czas obierany był prowincyałem, ostatnio zaś na wypocznienie po długich trudach definitorem. Aż nakoniec po półwieku kapłańskiej służby, kiedy już sekundyją odprawił, a sama reguła zwalniała go od niektórych surowości klauzury zakonnej, dla świeżego powietrza na wsi i wytehnienia po długoletniej pracy, osiadł na kapelanii u Bogatków, z którymi go łączyły tak powinowactwo, jak i zażyłość w trzecim już pokoleniu. On to wszystkich Bogatków i Bohatków ochrzcił, pożenił, pogrzebał ich rodziców, a na starość pod opiekuńcze skrzydła miłości garnął młode pokolenie.

Był to przeszło osiemdziesięcioletni starowina, cichego i pokornego ducha a wesołego umysłu, darów udzielanych przez Boga wiernym swoim, w nagrodę pilnych zasług. Pomimo wieku podszłego, rzeźwym był jeszcze i czerstwym; jedne mu tylko nogi nie służyły, któremi suwał powoli; lecz z poddaniem się woli Bożej niemoc tę prznosił, a sam w żart ją obracał, mawiając:

— Prawda że włóczę trochę tylnemi łapami, ale zawsze dokąd mi potrzeba dowlokę się. Chwała Bogu i za to, że co mi ubyło w tamtych łapach, to w przednie przeszło. Zatoż tym nie daruję: niech pracują za obie pary.

Lub innym razem powiadał wesoło:

— Bóg wie co robi, bo czy to ksiądz do tańca? A do różańca, to i tak wystarczy.

Choć to niby został tu na gracyi i wytehnieniu u krewnych, ale przeto nie wypoczywał wcale. Już to naprzód cały się poświęcał obowiązkom kapelana, które wypełniał gorliwie; a poza niemi, zamiast opowiadać co robił, możnaby śmiało postawić pytanie: „czego nie robił?...” Strzegł i chował w porządku archiwum i bibliotekę zamkową; założył piękny ogród, który utrzymywał starannie, prowadził rejestra ekonomiczne i gospodarskie obydwóch braci. Radą i doświadczeniem przyczyniał się do udoskonalenia roli; znał przeróżne orkana gospodarcze, kuchenne i piwniczne, a wogóle we wszystkich sprawach całego domu, który umiłował jakby swój własny, ostatnie słowo i dobra rada była przy ojcu definitorze. Z doświadczenia długoletniego znał się na sztuce lekarskiej, którą praktykował z powodzeniem, nikomu zaś nie odmówił porady, po którą téż tłumnie się z okolicy lud zbiegał.

Poza powinnościami, któremi dobrowolnie sam

się spętał, miał siła rozmaitego „próżnowania,” jak sam nazywał, „byle przednich łap nie założyć.” Bawił się stolarnią i tokarnią, robił więcierze na ryby i sidła na ptaszki, które raz złowiwszy, tak oswoić umiał, że po jakimś czasie wypuszczone na wolność, w odwiedzinach do niego przybywały; a znał je dokładnie, każdego wymienił z nadanego mu nazwiska, błogosławił je znakiem krzyża, a potem, kiedy znów zaleciały przed jego ganeczek po pożywę, gromił niejednego:

— A to ty szarobury, ty żółtobrzusku! Ochrzciłem cię przecie, bestyjko, jak co dobrego, a ty ani się dowiesz do starego, he?

Wszystkie zwierzęta domowe przychodziły do ojca definitora w gościnę; wrazie choroby leczył je, pieścił, a posiadał nad nimi dziwną władzę. Kiedy ze stada dziki jeszcze koń ująć się nie dawał, posyłano po ojca definitora, a gdy ten zawołał swoim słodkim głosem, rozhukane zwierzę przychodziło do ręki, a nawet pod jego pieszczotami dosiąć się dawało.

Mawiano o nim, iż jest „mąż Boży,” którego nie tylko ludzie słuchają, lecz mu i natura ulega. Stary ogrodnik Grzegorz opowiadał a przysięgał się, że jeżeli jaki kwiat zapóźni się z rozwinięciem, a owoc nie dojrze, na prośby ojca definitora przez jedną noc zakwitnie i zarumieni się.

Ależ zato był silnym poplecznikiem i obrońcą wszelakiego Bożego stworzenia od znęcania się człowieka i żadnej wyrządzonej w tym względzie krzywdy nie przebaczał.

A ludźmi zawładnął ks. definitor, jakby naj-surowszy despota, tak-to ich zręcznie a dyploma-tycznie oplątał; nie żeby gromił lub karciał, albo uciekał się do drażliwego środka władzy du-chownej, zapomocą konfesyonału, lecz żartem dowcipnym i niezłośliwym umiał dotrzeć do tego celu, do którego inni dążą przez surowość i pa-stwienie się nad bliźnim.

Najzbawienniejszy wpływ wywierał ks. Tor-kwat na samego podstolego, który był, jak to zwano, gorączka, zapamiętały i sierzysty wielce. Otóż umiał jego gniew powściągać, pasyą ozię-biać, surowość ujarzmić. Była to już, można powiedzieć, rola dyplomatyczna, odgrywana przez księdza z niemałą zręcznością, przez co najwię-ciej zasłużył się domownikom, gdyż ci od czasu zagoszczenia kapelana na zamku, coraz mniej do-znawali skutków zapalczywości pana.

Z dziećmi definitor był iście starém dzieckiem. Sporządzał Michałkowi szabelki, rusznice dre-wniane, nim on prawdziwemi nauczył się władać; Hanulce robił rozmaite zabawki, a igrał z dziećmi jak rówieśnik. Pozyskał też ich nieograniczone zaufanie, tak iż nie miały lepszego powiernika

i do nikogo śmielszemi nie były, jak do staruszka księdza. On niezawodnie wpłynął na to najwięcej, że Michałek, oderwany od towarzyski przez naukę, uczynił w niej znaczne postępy.

Nie podzielał ks. definitorka taktyki surowej podstolego względem syna w utajeniu przed nim przyszłego wstąpienia do szkoły rycerskiej; ale że upór ojca był nieprzeparty, a napozór niewinny, sam dochował tajemnicy, która skoro przed działkami się ujawniła, te, wyplakawszy się w ogrodzie na osobności, umyśliły szukać pociechy na łonie starego przyjaciela.

— Pójdziemy, moja Hanulku, do naszego ojczaszka (tak staruszka dzieci zwały). On mądry i dobry, na wszystko znajdzie sposób i radę. Mam zresztą plan, który mu przełożę, i obaczysz że dobry.

— A jaki?... — spytała z przymileniem ciekawa dziewczeczka.

— Oho!... tak zaraz!... nie powiem, dlatego samego, ażebyś w piekle nie była; bo ojczaszek powiada, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła — odparł figlarnie chłopiec, całując rumianą buzię towarzyski.

Sama już myśl o definitorku wlewała otuchę w dzieci, że on wszystkiemu zaradzi i już ta rozmiłowana para zabawiała się cały wieczór swobodnie, ufając nieprzebitej tarczy mądrości i do-

broci ojczaszka, pomimo iż fatalny odjazd naznaczony był za tydzień.

Był zwyczaj w domu, iż równo ze dniem odprawiał definitor mszę, której wszyscy domowi przed udaniem się do dziennéj pracy słuchali, a do której Michałek bardzo pobożnie zawsze posługiwał. Nazajutrz jakoś mu brakło cierpliwości i uwagi, może po raz pierwszy w życiu, tak iż kapłan go parękroć poprawił nieznacznie, aby inni tego nie zauważyli, i chłopaka przez to na admonicyą nie narazić.

Po mszy dzieci zazwyczaj udawały się do ojczaszka, który, spożywając swoje śniadanie, dzielił je pomiędzy swoich skrzydlatych gości, przybywających na tę ucztę, co niezmiernie zabawiało dzieci, a zawsze jakaś łakotka z niewyczerpanych zapasów księdza i im się dostała.

Skoro wesoło zasiedli do uczy, otoczeni szczenioboczącym rojem skrzydlatych przyjaciół, a starszek każdego powitał lub zbureczał, choć zawsze kęsem gościnnym opatrzył—różnie tam sobie przygadywał i przekomarzał się z dziatkami, aż w końcu ozwał się do Michałka w te słowa:

— Powiedz-no mi, chłopaku, czy miło-by ci było, gdyby Bóg nie zwracał na ciebie uwagi?...

— Jakto, ojczaszku, ja nie pojąłem? — spytał malec, zakłopotany niezwykłym argumentem.

— Alboż to nie znasz przysłowia, które zda się powiadałem ci — „jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie?”... A gdyby ten Kuba, przypuścmy, dostąpiwszy łaski posługiwania do świętej ofiary Pańskiej, strzelał po kościele błędnymi oczyma, był roztargniony, otwierał gębę jakby muchy nią łapał i zamiast przejąć się ważnym aktem spełniającym się we mszy, myślał o niebieskich migdałach?... Może też Wszechmogącemu podoba się tak obojętnie patrzeć na tego Kubę, jak Kuba na Niego... he, a co wtedy?

Biędny chłopczyzna, pomieszany, zapłoniony wstydem, ze łzami całując rękę staruszka, ozwał się nieśmiało:

— Znam to, ojczaszku drogi, do siebie, iżem ciężki grzech popełnił przy dzisiejszej mszy...

— Ale co ty tam prawisz — przerwał rubaszenie staruszek, widząc skruchę chłopczyzny, którego żal mu się robiło.—Przecie ja mówię tylko o niejakim Kubie, wcale nie o żadnym Michałku, albowiem ty, coś tak pięknie przed kilku dniami przystępował pierwszy raz w życiu do stołu Pańskiego, z głębokiem zrozumieniem tego ważnego aktu, nie popełniłbyś takiej płochości jak Kuba, bo wiesz jaka jest świętość tej ofiary.

— Ach! bo ojczaszku, żebyś wiedział jaki mam ciężar na sercu, tobyś mi wybaczył — zawołał Michałek ze łkaniem, rzucając się na po-

czeiwą pierś staruszka, która chętnie wszelką garnęła troskę.

Dziweczka, która stała dotąd na uboczu, lubując się stadkiem zlatujących ptaszków, na odgłos płaczu towarzysza głośniej mu jeszcze zawtórowała.

— Bóg z wami, dziateczki, wystraszyście mi skrzydlatych gości — rozpoczął łaskawie zakłopotany definitor, a tuląc główkę chłopczyny w swych dłoniach, prawil dalej z łagodnym uśmiechem.

— Więc mówisz, chłopcze, że masz ciężar na sercu? Zrzuć-że go copędzěj, bo ci zgniecie pierś, dostaniesz garbu i po całym zachodzie, bo ułomnych do szkoły rycerskiej nie przyjmują. Ano powiedz, co ci tak cięży? Dźwigniemy we dwóch, to zawsze lżej niż jednemu.

— Kiedy ja nie śmiem—odparł chłopak zakłopotany.

— Odkądże to ja taki straszny, czyliż kogo żywcem połknąłem?—prawil wesolo staruszek dla ośmielenia chłopaka; a wskazując na ptaszka, który mu wydziobywał ziarna z dłoni, dodał uśmiechnięty:

— Patrz-no, ten „krzywonos” już od pięciu lat karmi się z mojej ręki, a przecież dotąd go nie połknąłem... A ty, kandydat do szkoły rycerskiej, który przy staraniach i dobrym animuszu

wyjdzie na rycerza, a boisz się starego mnicha, który ledwie nogami włóczy.

A tak chłopaka przygłaskał do siebie, tak utulił serdecznie, że wkońcu ośmielony jął powiadać:

— Czy prawda, że ojczasek, nauczając nas o sakramentach świętych, mówił że sakrament pokuty i ciała a krwi Pańskiej winien poprzedzać sakrament małżeństwa?

— Ano tak, moje dziecko, ale jeszcze nie widzę, dlaczego ta nauka miałaby tobie ciężać na sercu?

— Ojczaszek tak dobry i pobłażliwy dla wszystkich, że taki dopowiem swego—rozpoczął chłopak z rezonem, jakby dodając sobie odwagi.

— A no, mów, mów, o, to właśnie chodzi—ośmielał go staruszek, klepiąc zlekka po twarzy.

— Ponieważ odprawiłem dwa pierwsze sakramenta—ciągnął chłopiec dalej—a więc teraz mogę śmiało przystąpić do sakramentu małżeństwa i oto przyszedliśmy z Hanulką prosić kochanego ojczaszka, aby nam tego sakramentu udzielił.

Staruszek definitor, zwykle przytomny i w odpowiedziach skory, zamilkł na ten niespodziany argument, jakby mu kto usta zawiązał.

Tymczasem Hanulka, karmiąca ptaszki księdza, zbliżyła się do niego, a całując go w rękę, rzekła:

— Ojczaszek taki dobry, niczego mi dotąd nie odmawiał... Pójdziemy do kaplicy na nasz ślub, tak jak w zeszłą niedzielę Magdy z Józefem.

Staruszek z podziwem miłości i pobłażania spoglądał na te niewinne, pełne prostoty główki dzieci, które wychował, a przyciągając Hanulkę do siebie, z łagodnym uśmiechem przemówił:

— Dobrze, moja Hanulko, i owszem...

— Poczciwy, kochany ojczaszek!—zawołała uradowana dziewczyna, zawisając na szyi starca.— Pójdźmy zaraz, to ja będę żoną Michałka, a on moim mężem.

— Ale poczekaj, dziecko moje, nie dałaś mi dokończyć. Zgodzę się na to wtedy, kiedy oboje dojdziecie do lat Józefa i Magdy, a Bogu się podoba zachować mnie do tego czasu na tym świecie. Ale posłuchajże mię, chłopcze—zwrócił się do Michała—Hanulka jeszcze dziecko, jej się nie dziwię, ale ty przecie kawaler już z pewną nauką, a w drodze niejako do tak poważnej szkoły, od której kraj spodziewa się mężów czynu i obrońców, zamiast zwrócić uwagę, jakby należało, na karierę świetną, otwierającą się przed tobą, zaprzątasz sobie głowę niedorzecznościami, jakbyś tego nie wiedział, że do małżeństwa przynajmniej mężczyzna winien być pełnoletnim. Pójdźże chłopcze po rozum do głowy i rozważ, co czynisz.

— Ja chcę żeby Hanulka była moją, żeby

podczas mojego pobytu w szkole nie wydano jej za innego, inaczej nie chcę tej szkoły... ucieknijmy z Hanulką w świat—odezwał się Michałek stanowczym głosem, już nie dziecięcym, a zdawało się że w oczach rośnie na męża. Ks. definitor zasepił się i mówił sobie w duchu:

„Jabłko niedaleko pada od jabłoni;” czysto natura popędliwa i niepohamowana ojcowska i całego ich rodu.

Głośno zaś rzekł do Michałka, już z surową perswazyą:

— Choć nieprzystojny twojemu wiekowi zaślepił cię upór, to jednak wiedzieć powinienes że w żadnym razie, a tembardziej jako małoletni, do aktu tego bez woli rodziców przystępować nie możecie i nikt go inaczej spełnić nie może, zabrania bowiem tego tak prawo kościelne, jak i krajowe. Zatem należy, żebyś ojcu swojemu to samo zdeklarował.

— Wiadomo przecie ojezaszkowi, że z panem ojcem mówić mi nie wolno, ale tylko odpowiadać gdy zapyta, i dlatego postanowiłem uciec się do waszej łaski.

— Więc chcesz, chłopcze, ażeby ja, sługa Boży, szafarz ś. ś. sakramentów, udzielał je w tajemnicy, po złodziejsku, wbrew woli starszych? Za kogóż ty mię poczytujesz?... A zresztą zbierz myśli, zapytaj rozsądku, ażali możebnym jest

czego żadasz... Więc przypuścemy, że połączę was z Hanulką. I cóż dalej poczniesz? Osiądziesz na gospodarstwie, czy co?... A gdzież twoja ziemia?

— Nie, pojedę do szkoły rycerskiej i całą siłę wyteżę na naukę, abym został oficerem...

— A kiedy tak — odparł definitór uśmiechnięty, a rad że, jak mu się zdawało, wychodzi z kłopotu — więc jedź, ucz się, a wróciwszy oficerem, zastaniesz Hanulkę dorosłą panną i pobierzecie się, o co będę Boga prosił i cotydzien na tę intencyą parę mszy odprawię... Więc o cóż ci chodzi?

— Tak! — odparł chłopiec wcale niezadowolony — podczas kiedy ja tam będę w książkach ślezczał i musztrował się, Hanulkę tymczasem wydadzą za męża. Ona ma teraz rok dwunasty; pan ojciec zaś zapowiedział, że inaczéj do domu nie wrócę, jak oficerem, a pan wachmistrz twiedzi, że przy największej pilności trzeba na to przynajmniej sześciu lat czasu.

— Więc Hanulka poczeka.

— Poczeka, zapewne! A panna stolnikówna, którą przymusili wyjść za męża, ciągnęli prawie do ołtarza, tak że ojczaszek odmówił błogosławienia tego ślubu i sam powiadałeś, że się stał tam przymus niegodziwy.

— Nie myślę, chłopcze, aby z Hanulką stało się to samo — odparł definitór, mimowoli wcho-

dząc z malcem na tor poważnej rozmowy.—A zresztą — dodał — pomódl się i jedź, bo inaczej być nie może. Poleć całą sprawę Bogu, który wie najlepiej czego do szczęścia człowiekowi potrzeba.

— Do mojego szczęścia trzeba tylko Hanulki—wypowiedział Michałek, jakby dziś nazwano dramatycznie, aż zdziwił się staruszek, bo w owym wieku takie sentymentalne dzieci jeszcze się w Polsce nie rodziły.

— Mój Michałku — rozpoczął definitorem z pewnym odcieniem niecierpliwości w głosie—wiesz że od ojca jedynie zależy. Czemu tego wszystkiego nie masz mu powiedzieć?

— Jakby to ojczaszek nie znał mojego pana ojca. Sfuka mnie, a do tego gotów obić...

Mowę mu przerwało głośnie łkanie Hanulki, która, zawisłszy na szyi młodego towarzysza, przez łzy wołała:

— Już niech tam będzie jak chce, ale nie mów twojemu ojcu, bo ja się boję!

Pocziwemu starowinie żal się zrobiło dziełek; przyciągnął je ku sobie, głaskał młode główki i do piersi je przyciskał, mówiąc z pieszczotą:

— Moje wy biedne, głupie główki! Cóż na to poradzić?... Ja, jeśli będę żył, to dopilnuję twojej Hanulki, żeby na ciebie poczekała; a ty chłopcze jedź do szkoły. Wszakże sześć lat, to nie

wiek, a przejdą niepostrzeżenie. Ot ja, Bogu chwała, żyję osiemdziesiąt lat więcej nad ten termin, a jeżeli się Panu podoba, jeszcze jakiś czas posuwam nogami na tym świecie... Jedź chłopaku do szkoły, ucz się dobrze, wyjdź na dzielnego wojaka, ja zaś tymczasem dopilnuję tu twojej Hanulki, a będziemy się też trochę uczyli, bo żona oficera powinna być z edukacją... Idźcież teraz dzieci, korzystajcie z kilku dni, które razem macie spędzić, a resztę polećcie Bogu.

Dziweczka dała się jakoś uspokoić perswazyą i pieśczołą starca, a pojmawszy tymczasem parę ptaszków, z gości definitora, niemi się zajęła. Lecz Michałek nie dawał za wygraną i całując staruszkę w rękę, z pokorą ale stanowczo powiedział:

— Wybaczcie, ojezaszku, że raz pierwszy w życiu będę wam nieposłuszny, ale nie pojedę do szkoły wprzód, nim będę pewny, że mi nikt Hanulki tymczasem nie zabierze.

— Jakże na to poradzisz, mój chłopcze?

— Już nie wiem jak, ale ucieknę z domu, czy z drogi, czy ze szkoły, będę się tulał po lasach, byle bliżej Hanulki, i już nie wiem co, ale wszko-
le nie zostanę.

— A to piękne i szlachetne postanowienie! — rzekł ksiądz surowo.

— W każdym razie stałe, bo ojczaszek sam powiedział, iż mąż stateczny winien być stałym w przedsięwzięciu — odparł chłopak z dziwnym nad wiek spokojem.

— Tak, zapewne, jeżeli owo zgadza się z powinnością i prawem; bo skoro rozbójnik postanowi kogoś zamordować i wytrwa w swoim, czyliż można podziwiać siłę jego woli?

— Jakkolwiek jest—odrzekł niezbity z toru Michałek—jam to sobie postanowił i wybaczenie, ojczaszku, że pomimo waszych demonstracyj, na swoim postawię.

„Ojcowa nieszczęśliwa natura” —myślał defintor w duchu, a głośno zwrócił się do Michałka:

— Skoro tedy religia i obowiązek nie trafiają do twojego przekonania, zastanów się nad tém, że prawo samo, tak duchowne jako i świeckie, sprzeciwia się twoim żądaniom i nietylko ja, ale żaden kapłan podobnego ślubu pomiędzy małoletnimi pobłogosławić nie może.

— Więc w takim razie ja, drogi ojczaszku, powiedziałem swoje, od czego się nie cofnę, i idę przemyśliwać nad sposobami wykonania moich zamiarów—powiedział smutno Michałek, a ucałowawszy rękę starca, zabiérał się do wyjścia.

„Pokazuje się, że napróżno mozolił się nad przerobieniem téj surowej natury. Uparty i nieugięty jak podstoli, a z oczu mu patrzy, że gotów

się odważyć na wszystko” — pomyślał ksiądz, smutno kiwając głową.

— Czekał-no, chłopaku, będzie jeszcze czas na wykonanie szalonych, a powiem że i bezbożnych zamiarów; ale tymczasem pomówmy statecznie i rozumnie. Żądanie twoje, jak widzisz, jest niewykonalnym, więc cóż na to poradzić?

— Jeżeli ojczaszek nie znajduje rady, to sam sobie radzić będę, krążąc tu i pilnując, aby mi Hanulki nie porwali.

-- A gdyby i tak być miało za wolą jej rodziców, co byś na to poradził?

— Piérwszybym ją porwał...

— Głupie wy i biédne dzieci — prawil ksiądz zasmucony. — Ale poczekajcie, będę ja jakoś nad tém pracował, abyście zostali sobie przyrzeczeni za wspólną wolą waszych rodziców. Wszakże ta pewnośc powinna ci wystarczyć i szkoła nie na tém nie ucierpi?

— Najdroższy ojczaszku, gdybyś to chciał sprawić! — zawołał chłopak, zalany łzami radości, u nóg księdza Torkwata.

VIII.

Dyplomacya ojca Torkwata.

Pokiwał staruszek głową za odchodzącymi dziećmi, a zafrasowany trudną misją nań spadającą, zapomniał już o skrzydlatych gościach, które mu habit dziobały, a suwając nogami po izdebce, głośno myślał:

„*Mutantur tempora!* Owóż masz dzisiejsze dzieci. Ledwo to od ziemi odrosło, a już chcą stawać na ślubnym kobiercu... Biedne dziateczki! niewinnać to w rzeczy ich miłość; ale Michałek gorąco kapany, jak dwie krople wody podstoli... Alboż on nie uciekł z kolegium jezuickiego z syntaksy i nie ożenił się z pierwszą żoną?... A Bóg tam wie kto ona była. Gdyby staremu podkomorzemu, ojcu podstolego, śmierć w porę nie prze-

szkodziła, byłby też narobił breweryj. Już miał zanieść manifest przeciw synowi, wydziedziczyć go, a gdyby był pojmał, możeby zaćwiczył na kobiercu, bo to oni do tego skorzy. Kiedy już tam krew z rodu taka gorąca, może i lepiej że Michałek zapewni sobie towarzyszkę życia z poczciwego gniazda.... a gotów także podrwić głowę, więc uciec ze szkoły jak ojciec, a z podstolim ciężka sprawa, chociaż sam nielepszy, ale synowi nie przepuści... I trzeba biednym dziatkom jakoś dopomódz. Tylko jak tu się wziąć do tego politycznie, żeby lekarstwo nie było gorsze od choroby...”

— A cóż to, ojcze bracie, jeszcze do tego czasu nie odmówiłeś pacierzy po mszy, że coś szepczesz? A ja, według zwyczaju, przychodzę na czarękę. Już obiegłem gospodarstwo, a tu *hora canonica!*—ozwał się podstoli, wchodząc do izdebki.

— A! służę panu bratu (tak bowiem się jako herbowni tytułowali)—odparł definitor, nagle wyrwany z zamyślenia, a otworzywszy szafkę, postawił gąsiorek gdańskiej, która do słońca złotem świeciła, i obok niej piernik toruński.

Gość wypił czarękę, a zakąsając piernikiem, dodał, jak to codnia czynił, znaną sentencją:

„Non meruit dulcia, qui non guttavit amara,
Kto nie pił wódki, od piernika wara”...

— Ale czego to tak zadumaliście się, ojcze bracie? Może wam czego brakuje, powiadajcie!

— Z łaski Boga i pana brata mam więcej niżeli potrzebuje, a gdyby mi się nawet zachciało ptasiągo mleka, to ot ile to tych ptaszków— odparł uśmiechnięty staruszek, wskazując na zapóźnioną gromadkę skrzydlatych gości, a potem dodał—ot, ja się sobie zasumowałem, na myśl jak nam będzie tęskno po odjeździe Michałka. Wyobrażam sobie, co to dopiero waszmości panu bratu, jako ojcu.

— A co mi tam po smarkaczu, niech jedzie, gdzie mu każą. Ani się spostrzegę, czy on jest, czy go niema. Ale zkaźde to ojcu bratu, po tylu latach zakonnego żywota, wziął się raptowny afekt do smarkaczów?—mruknął podstoli.

— Przyznajcie jednak, panie bracie, że Michałek dobre chłopię; pilnym był zawsze w naukach, a i ks. rektor, i pan namiestnik i inni stateczni egzaminatorowie oddali mu sprawiedliwość, że przez ten rok wielkie zrobił postępy w nauce. Już dla tego samego winienby zasłużyć na wasze względy.

— Nie widzę w tém zasługi żadnej, ojcie bracie, bo gdyby się chłopiec opuścił, pótybym éwiczyl, póki by się nie wziął na pazury i na jednoby wyszło.

— Już to pozwolisz, panie bracie, że co do tego, skontruje, bo bywają po szkołach negusy, którym skóra stwardnieje od bicia, a mimo to do

głowy nic nie lézie. Zawsze to chłopakowi jakieś uznanie się należy i chciałem z panem bratem o tém pomówić...

— Dobrze się więc składa, ojcze bracie, bo i ja właśnie z tém przychodzę, a ręczę że jako ludzie niedzisiejsi, pewno wpadliśmy z bratem na jedną myśl.

Pocziwemu staruszkowi aż lżej się robiło, a wyteżając uwagę, zbliżył się do podstolego i rzekł:

— Słucham pana brata, słucham.

— Ano, kiedy powiadasz, ojcze bracie, że chłopak jest pilny, więc byłbym zdania, które i waszmość niezawodnie podzielisz, żeby mu, na długi czas opuszczającemu dom rodzicielski, dać pamiątkę...

— Słusznie, panie bracie, bo chłopczyną zasłużył na nią — przerwał skwapliwie defnitor, sądząc się blizkim celu i że rozmowę na pożądanym tor naprowadzi.

Podstoli prawil dalej:

— Ale widzisz jegomość, chciałbym to uczynić w cichości, nieostentacyjnie...

— Rozumiem, rozumiem, i chwali się to panu bratu, jak Pismo św. nas uczy: „niech nie wie lewica, co dawa prawica.” Chociaż się to mówi co do jałmużny, ale skromność w niczym nie wadzi...

I cóż to pan brat obmyśliłeś? Ja także mam względem chłopca pewien projekt...

— Ręczę żeśmy się zetknęli.

— No, mów, mów, panie bracie, radbym wiedział.

— Zawezwiesz chłopca, ojcze bracie, jutro przypuścimy przed prymaryą do siebie; ja tu przybędę *sub secreto* i waść, jako ojciec duchowny... ano, rozumiesz mię?...

— Ani trochę, panie bracie.

— Damy malcowi na pamiątkę, że z domu wyjeżdża, piętnaście tylko bóckowskich, a żeby mu wstydu nie robić przed czeladzią, dopełnimy tego *semotis arbitris*... A co, czy nie zgadłem myśli ojca brata?

— O *horrendum!*... i toż to jest ojciec chrześcijański, pastwiący się nad własną krwią dla zabawy!?—zawołał mnich oburzony, wznosząc ręce dogóry. — I zacóż go chcesz katować? — dodał—zato że był pilny w naukach, że pracował, a przed ludźmi polechtał twoję dumę ojcowską nabytami nad wiek wiadomościami?...

— Ależ, ojcze bracie — odparł podstoli skonfundowany — czyliż nie pamiętasz na dawną maksymę: *qui bene amat, bene castigat*? A zresztą to już tak było przyjęte od dawnych czasów, że bito złych aby się poprawili, a dobrych by się nie psowali...

— I któż przyjął tę regułę? chyba osły wierzące. I toż jest wasz sposób rodzicielski zjednywania sobie serc dzieci? Bijcież się tu sobie i pozabijajcie, ja zegnám i dziś jeszcze wyjeżdżám do klasztoru — zawołał staruszek z gniewem, tém sroższym, iż się temu sentymentowi nieczęsto oddawał.

— Ojcie bracie, téj krzywdy i boleści mnie i mojemu domowi nie wyrządźcie i wiercie, że jeżeli to *pro memoria* dla chłopaka mojego obmyśliłem, to jedynie suponując iż to się stanie z waszą aprobatą... Ale powiedzcie, ojcie bracie... co to wy obmyśliliście dla chłopca? — spytał pokornie zakłopotany podstoli.

— A co obmyśliłem? jużci nie bizuny, bo na nie nie zasłużył; ale wyznam, że po téj inwencyi pana brata trudno mi przystąpić do rzeczy.

— Powiadajcie jednak, ojcie bracie, wiadomo wam bowiem jak was estymuję i skwapliwie waszym mądrym się poddaję radom — odpowiedział słodko podstoli, przerażony perspektywą odjazdu ulubionego zakonnika, który tymczasem cedził przez zęby swoje argumenta, z obawy aby obcesowem wystąpieniem rzeczy nie popsuć.

— Oto jabym myślał, ażeby chłopczynę w dotychczasowej pilności utrzymać, wartoby go czémś zachęcić.

— Proponowałem ja właśnie ojcu bratu najskuteczniejszy specyfik — wtrącił nieśmiało podstoli.

— O tym niema mowy, panie bracie, bo się na waszych *boćkowskich* specyfikach nie znam... Ale oto myślę sobie: chłopak pierwszy raz dom rodzicielski opuszcza, przerzuca się między obcych, niewiadomo jak się tam pokieruje i czy z równą ochotą a pilnością weźmie się do nauki...

— A to mu jęj napędzę — przerwał podstoli z gorączką.

— Już wiem co przez to rozumiesz, panie bracie, ale nie o tym chcę powiadać. Wartoby chłopakowi ukazać wprawdzie jakąś nagrodę, jakiś cel, do którego by dążył, bo to młode, jak raz się zwiechnie, żadne tam wasze „boćkowskie” specymeny nie naprowadzą go na dawną drogę.

— Ja przyznam się, że coś ojca brata nie rozumiem, do czego zmierzasz.

— Ano do tego, krótko mówiąc, panie bracie, że tęsknota za domem trapi chłopczykę; oni się razem chowali z Hanulką, jakby rodzeni...

— Czegóż więc chcesz, ojcze bracie, żebym Hanulkę razem z tym smarkaczem posłał do szkoły rycerskiej? — przerwał niecierpliwie podstoli.

— Nie to, ale *est modus in rebus*, możnaby ową tęsknotę zmniejszyć, obiecać chłopcu — poczynął, jękając się, ksiądz, z obawy ażeby przez gwałtowne wystąpienie sprawy nie popsuć.

— A cóż u kata, ojcze bracie, mogę obiecać?— przemówił coraz niecierpliwiej podstoli i dodał:— Raccie się jaśniej tłumaczyć, ojcze bracie.

— A więc krótko powiem—rozpoczął staruszek, zabiérając się na odwagę — że biedny chłopczyzna twierdzi, że tęsknota za towarzyszką lat dziecinnych przeszkodzi mu do nauki w szkole...

Nie dał dokończyć podstoli, a zerwawszy się z miejsca cały zapérzony, wołał groźnie: — Ja smarkaczowi onę tęsknotę wybiję z mózgownicy!...

Po tych słowach już biegł do drzwi, od których mu definitor drogę zastąpił.

— Puść mię jegomość, puść! — wołał z rosnącą pasyą podstoli.

— Będiesz, panie bracie, miał nadto czasu do pastwienia się nad dzieckiem. Pozwól się wprzód pożegnać. Ja, przy łasce Boga, słabemi nogami dowlokę się do klasztoru; niech stare moje oczy nie patrzą się na to zgorwienie i obrazę Bożą.

Podstoli, choć trzęsący się z gniewu, jednak ochłonał powoli i rzekł nieco spokojniej:

— Bóg mi świadkiem, ojcze bracie, iż niepoślednią żywię estymę dla waszego rozumu i bogobojności; aleć powiem szczerze, żeś mi cały dom rozpuścił, jak bicz dziadowski. Dalej jeszcze, a ja już nawet i *bockowskim* rady nie dam.

A ukazując ptaszki swobodnie przelatujące po sprzętach izdebki, ciągnął dalej:

— Ot na przykład, czy i to do czego podobne, aby te bestyjki tak tu się zagospodarowały?

— A waść, panie bracie, kazałbyś je oćwiczyc?—odparł z przekąsem definitor.

Podstoli tymczasem uspokoił się i powolnie przemówił:

— Nie pojmuję dotąd ojca brata, czego żądasz. Możebyś Michałka nie posłał do szkoły i dalej psuł swojemi pieścizotami?

— I owszem, szkoła dobra i ten zamysł pana brata pochwalam.

— Więc czegoż chcecie, ojcze bracie?

— Oto obmyśliłem sobie, aby dla pobudzenia chęci do nauki w chłopcu, żeby tęsknota po towarzysze nie stała mu na przeszkodzie, obiecać, że skoro dostanie rangę oficerską, ożeni się z Haulką...

— A! ojcze bracie, czyś oszalał? Toż tybyś dzieciom gwiazdy z nieba zdejmował! Wiedział Bóg co czyni, że cię do stanu duchownego na *sterilisa* przeznaczył — prawil podstoli, z ironią kiwając głową.

— A żeby jeszcze z rąk pana brata wyrwał ten boćkowski argument, także dobrzeby uczynił dla twojego syna i domowników — odparł ksiądz z szyderstwem.

— Kto smaruje, ten jedzie, a kto bije, zawsze się czegoś dobije — odciął się podstoli, a potem

prawił, przedrwiwając: — Więc może, według zdania ojca brata, przed wyjazdem do szkoły trzeba dzieci połączyć, wyprawić im wesele?

— Zawsze byłoby to lepiej i bardziej po Bożemu, niż bizuny.

— Czy waszeć to sobie tak baraszkuje, czyli mówisz naprawdę?

— A jak pan brat myśli?

— Ja myślę, iż jeżeli to nie żart, to ona mowa dziwiłaby mię niepomалу w ustach kapłana. Choć to niby rzeczy przyszłe, ale nie mieści mi się w głowie, jak ojciec brat mógł proponować związek małżeński brata z siostrą; przecie to mosanie *incestum*.

— Jakie tam *incestum* i jakież to rodzeństwo?

— Przecie wy sobie z Janem, ojcem Hanulki, bracia.

Definitor, wskazując na drzewo genealogiczne, wiszące na ścianie, a które sam ułożył ornamentami przyozdobił, rzekł:

— A to zkąd; waszeci pra-pradziad i Jana praprababka byli bratem i siostrą, a Michałem z Hanulką są w szóstém pokoleniu linii pobocznych, a zatem mogą się łączyć nawet bez dyspensy. Gdzież tu *incestum*?

Podstoli, już zapomniawszy swój sierzdystości, zaciekawiony, przypatrywał się z zajęciem drze-

wu genealogicznemu, po którym palcem wodził definitor, eksplikując stopnie pokrewieństwa.

— No proszę ojca brata, a ja zawsze sobie imaginowałem, żeśmy cioteczni z Janem, tak to jakoś...

— Chwali się ten wasz sentyment braterski, zawsze to wy herbowni, ale sam widzisz, że pokrewieństwa niema, i dzieciom waszym nic do małżeństwa nie przeszkadza.

— Ba! i Bogacice całe znówby się zlały w jedno w ręku Bogatków.

Jakby mimowoli, szlachcic przemawiał przez podstolego.

Definitor zaś, ciągle zajęty przeglądaniem drzewa genealogicznego, ozwał się jakby od niechcienia:

— A to także dziwna, jakby jakaś predestynacya, albowiem, jak tu widzę, Bogacice rozpadły się na dwoje przy Michale i Annie; więc może sądzono im znów zlać się w jedno przy tych imionach?

— Mówisz, ojcze bracie, przeznaczenie? — wtrącił podstoli zamyślony, a dalej mówił jakby głośno myślał: — Dzieci są jeszcze, trudno myśleć o postanowieniu... a zanim smarkacz ukończy szkołę, o dziewczkę ktoś się posunie, bo posażna. Piękny to kęs ziemi, a u Jana więcej dzieci nie będzie..

— Owóż właśnie, panie bracie, żeby się nie posunął, zaręczyć dzieci...

— Zaręczyć dzieci w tym wieku? Co też ojciec brat prawisz?

— Zdarzają się przykłady.

— Hej, mówisz, zdarzają się?

— Nawet historia przedstawia nam niektóre. Niedalój jak królowa Jadwiga z Wilhelmem księciem rakuzkim, w młodszym wieku niżli dziś te dzieci...

— Ba, gdzież tam do królów szlachcicowi!

— Ale nie polskiemu, panie bracie; dziś panuje Poniatowski, a jutro tak samo może na tron wstąpić Bogatko...

— Ano tak, a nawet pono Poniatowski nie wywiedzie się do trzeciego przodka, choć mu pochlebcy koncypują *sui generis* heraldykę. A widzisz waśc na tém drzewie ze dwadzieścia pokoleń Bogatków, a wszystko posesyonaci tytułowani, z urzędem ziemskim lub wojskowym — wypowiedział dumnie podstoli, musnąwszy wąsa, jakby już jedną nogą na stopniu tronu stawał. — Więc sądzisz, ojcze bracie, że to byłoby możebnym?

— Czemu nie — odpowiadał definitor, jakby od niechcienia, widząc że już parę stron słabych poruszył.

— Ale jakże-bo to sprawić?

— Nic łatwiejszego, panie bracie. Przyrzec dzieciom, że skoro Michałek ukończy szkołę i zostanie oficerem, to się pobiorą i tak się też stać

może, jeżeli to będzie z wola Bożą; a wtedy chłopak niezawodnie będzie się brał na pazury do nauki, ażeby sobie ten termin skrócić.

— Musi to być dobrze, ojcze bracie, skoro wy, człek taki mądry, obmyśliliście — mruzczał sobie podstoli, mięknąc.

— Dziewka jest dobra, bogobojna, zacnej matki, po chrześcijańsku chowana, wszelką więc macie rękojmię pomyślniej przyszłości — prawi, ksiądz.

A podstoli, nie słuchając, tak sobie myślał głośno:

— Bogacice zaokrąglone w jednych ręku, dobrał mosanie, kondycya... Ba, ale cóż na to brat Jan powie i pani bratowa?

— Już ja w tém. Przecie z Janem miłujecie się jak rodzeni bracia, a jmc pani skarbnikowa, potulna niewiasta, innej woli nie ma nad mężowską; zresztą wielki afekt żywi dla waszego Michałka i nieraz mi powiadała w konfidencyi, że nad niego nie pragnie lepszego losu dla swój jedynaczki... Więc cóż wy na to, panie bracie?

— Wiécie, iż ja chętnie zawsze słucham mądrych rad waszmości—rzekł potulnie całkiem już udobruchany podstoli.

Z uwagi jak ojciec definitor dyplomatycznie przeprowadził najtrudniejszą część rokowań na rzecz ulubionych dzieci, łatwo przyjść do wnio-

sku, że pod ręką staruszka dobry koniec pochwalił dzieło: rodzice dziewczeczki nie byli przeciwni deklaracyi duchownego swata i uszczęśliwiona para dziatwy stawiała się oblubieńcami w przyszłości.

I tego powiadać nie potrzebujemy, że akt tak ważny rodzinny nie mógł wówczas odbyć się w tajemnicy. Tłumnie się zgromadzili łaskawi. Dzieci odebrały przyrzeczenie, że skoro Michałek zostanie oficerem, połączą się węzłem dozgonnym. Ksiądz definitor nad owemi ślubami odczytał modlitwę, a święconą wodą skropiwszy te główki niewinne, do łez się rozrzewnił przy stosownej nauce. Był też-to dobry i serdeczny człowiek, ten kapłan staruszek!

I tego pewni być mogą czytelnicy moi, że akt taki nie odbył się na sucho, a i podstoli, na tę okazję podchmieliwszy sobie, jak to mówią „przez imaginacyą zajechał na koronacyą” i zwierzał się łaskawym *sub secreto*, że po Poniatowskim będzie panował Bogatko, a gdy mu się już bardziej potroilo w oczach, pewnym był że asystuje zrę-kowinom Jadwigi z księciem rakuzkim, z północ-ka zaś nawet, że z Władysławem Jagiełłą.

I wszystko dobrze było. Łaskawi dotrwali aż do odjazdu narzeczonego, którego ojciec sam miał do Warszawy odwieść i w szkole instalować.

W moment sam odjazdu, kiedy strzemienne puhary krążyły, wielką radość rozniosły wesołe echa po domu: sławna bowiem klacz arabska, ozdoba stada podstolego, o której płodności już zwątpiono, wydała na świat piękne źrebię.

Dopieroż radość! Posypały się wiwaty, a któryś tam ze szlachty zawołał:

— Dobry to *omen*, mosanie, kiedy kawalerowi na drodze do rycerskiego zawodu rodzi się koń. Znaczy to że będzie z niego dobry rycerz.

— A toż ja mu daruję tego konia, ale go nie dosiędzie wprzód, aż zostanie oficerem — rzekł rozradowany ojciec i zdziwionym oczom domowników ukazał się czyn rzadki na owe czasy, kiedy pieszczoty rodzicielskie skąpo się udzielały — pocałunek na czole syna, który nogi ojcowskie łzami wdzięczności skropił.

— Szanuj-że się, chłopcze! — upominał któryś ze starszych przyjaciół domu — masz w perspektywie piękną towarzyszkę życia i dobrego konia, dwie rzeczy, które nie każdy trudami i zabiegami całego życia zdobywa.

Odprężono kolébkę i brykę, już gotową do odjazdu, bo okazyja była zbyt solenna, aby jéj wspólnie nie ucziéć, a uszczęśliwionéj dziatwie rozstanie jeszcze na jakiś dzień się przewlokło.

Wszakże wybiła fatalna godzina; dzieci ociérały lzy nietyle gorzkie, bo nadzieją słodzone, gdyż

z wyroku rodzicielskiego Michałek nie miał wrócić w progi rodzinne, aż z oficerską szlifą, a wola pana rodzica w domu tym wpisywała się niestartymi głoskami ewangelii.

Tylko ksiądz staruszek, sprawca tej radości, umacniał młodych przyjaciół modlitwą i ufnością w miłosierdziu Boskiem, a łzą ciepłą spólcucia główki młode orzeźwił.

IX.

Pięć lat następnych.

W krótkich słowach obejmiemy lat kilka, które w Bogacicach po odjeździe Michałka przeszły z wielką jednostajnością. Moznaby powiedzieć z poetą. „wszystko tak jak było,” gdyby nie zerwanie téj miłej pary dziełek, która przedtém wszystko sobą rozweselała.

Wedle hierarchii powieściowój, winniśmy zacząć od maluczkiej bohaterki opowiadania, jak odjazd miłego i rozłączenie na nią oddziały. Oplakała nieboga każdy kącik, każde drzewko, najmniejszą okoliczność przypominającą jój brak ukochanego towarzysza, szukając go na każdém miejscu, jakby grała z nim w chowanego.

Lecz szczęściem na straży tego dziecinnego frasunku stanął serdeczny staruszek definitor.

Ten wziął osamotnioną pod swe miłosne skrzydła, a gdy ją dziewczęce przekładać, że za lat sześć połączy się z Michałkiem nazawsze, tamując lzy, spytała go naiwnie:

— Ojczaszku, a czy to długo sześć lat?

— Jakby ci to, moje dziecko, powiedzieć?... — jąkał się staruszek, zakłopotany trafnym rozwiązaniem tak głęboko dziecinnego problemu. — Ot na przykład ja żyję już czternaście razy tyle z czubkiem — dokończył uśmiechnięty.

— Tak, ale ojczaszek na nikogo nie czeka.

— Czekam, moje dziecko, na Pana Boga.

— A On przyjdzie?

— Nie, moje dziecko, ale ufam w Jego miłosierdzie, iż zawezwie mię do siebie.

— I ojczaszek nie tęskni, czekając?

— A nie, bo pewny jestem że się doczekam.

— A no to i ja się doczekam, kiedy to czternaście razy mniej. Ale gdy już będziemy z Michałkiem mężem i żoną, to się ani na moment z nim nie rozstanę; będziemy wszędzie biegali, będzie mi budował domki z gałęzi, ale nie takie małe, tylko wielkie jak zamek...

— Tak, wszystko to będzie, tylko nie trzeba płakać, bo oczęta spuchną i Michałek kochać przestanie.

— Nigdy nie będę płakała — zawyrokowała stanowczo dziewczyna, ociągając oczęta z resztek łez, które się tam zagnieździły.

Prócz tych, definitor różne inne wynajdywał pociechy: wśród zabawy zabrał się z dziewczyną i do nauki. Jedno piskłę przybyło do jego izdebki pomiędzy skrzydlatych gości.

Za parę lat, gdy dziewczyna podrosła, a jej główka dojrzała przy nauce definitora, pojęła owo ostatnie słowo konieczności „inaczej być nie może,” a wtedy towarzysz stary stawił jej przed oczy inną pociechę.

Przy pożegnaniu ozwał się był, niby od niechcienia, do podstołego:

— Zapewne, panie bracie, rozkażecie Michałowi w pewnych peryodach pisywać do siebie, aby mieć o nim wiadomość...

— Ot jeszcze czego! — przerwał surowy ojciec—będę ślipiał nad jego bazgraniną. Ja tam sobie zobliguję kogoś ze starszizny szkolnej, aby mię zawiadomił, gdyby smarkacz osłował, a wtedy się obaczmy! — zakończył srogim a wyrazistym gestem.

Wszakże choć ojciec nie życzył sobie, aby syn pisywał do niego, nie zabraniał mu jednak wyraźnie pisywać do innych. Więc definitor, skorzystawszy z tego, szepnął chłopakowi, aby w czasach rekreacyi prowadził z nim korespondencyą, a nie trzeba dodawać, że chłopak był skwapliwie posłuszny.

I tak mnich staruszek stawał się pośrednikiem równie niewinnęj jak jego życie miłości. Hanulka niecierpliwie wyczekiwała listów i już je umiała biegle czytać, a nawet i przypisywała coraz wprawniejszą rączką pozdrowienie dla przyszłego oblubieńca.

Przejdźmy teraz do innych osób, aby się dowiedzieć, jaki wpływ wywarło na nie to niespodziane zdarzenie. Biedna matka Hanulki, od jej urodzenia na resztę życia przykuta do łoża boleści, uradowała się niezmiernie wczesnemu zapewnieniu losu swój jedynaczki, a w uniesieniu wdzięczności całowała ręce staruszka — już to dlatego, że i Michałka wielce lubiła, już że w tym związku upatrywała przyszłe szczęście córki. Prosiła tylko Boga, aby jej nie zabierał ze świata, aż obaczy ziszczoną tę nadzieję macierzyńskiego serca.

Przy łożu choręj gromadzili się przyjaciele nieobecnego Michałka, aby o nim pomówić. Bywał tam dom cały i skarbnik równie, rad wczesnemu postanowieniu jedynaczki; brakło tylko podstolego, przy którym tej rozmowy rozpocząć nie śmiano, a to dlatego, że ojcowie dawnęj daty względem swych dzieci, a szczególnie synów, uzbrajali się w jakąś surową, nieprzeciętną niczém obojętność.

Przy łożu chorój w tém przyjazném gronku odczytywano listy Michałka, stające się coraz cieplejszemi, ku pociesze już dojrzewającej Hanulki i jej serdecznój matusi.

Wszakże dla podstolego było to tajemnicą, a przynajmniej udawał nieświadomego, gwoli taktyce rygoru ojcowskiego. Parę razy tylko, po kilkoletniej niebytności Michała, definitor ośmielił się zerwać zasłonę tajemnicy wobec surowego ojca, mówiąc mu na próbę:

— A powiem wesołą nowinę panu bratu: Michałek już dostał szewron na rękawie, bo tak tam u nich w szkole odznaczają postęp w naukach i dobrą konduite.

— A z kąd-że ojciec brat masz tę wiadomość?— odparł obojętny rodzic.

— Ano niekiedy chłopczyzna w chwilach wolnych pisuje do mnie.

Machnął ręką podstoli.

— I ojciec brat zadajesz sobie pracę czytania bazgraniny tego smarkacza? Co mię to obchodzi? Gdyby się nie uczył, to co innego; pojechałbym zaraz do niego z *boćkowskim*.

Po pewnym przeciągu czasu jeszcze próbował definitor rozgrzać serce ojcowskie radosnemi wieściami, cieszącemi dom cały.

— A wiesz, panie bracie—oznajmił— że dzielny twój synaczek jest kapralem, *alias* najpierw-

szym uczniem klasy, i już otrzymał srebrny feldcech u szpady, co jest niejako, introdukcyą na rangę oficerską?

Lecz i to, nad obojętne machnięcie prawicy ojcowskiej, nie wywołało ku zgorszeniu przytomnych innéj sensacyi.

Wszakże i ten surowy rodzic, skoro się ukrył od wzroku rodziny, nieraz się w duchu ucieszył synkiem i warunkami w jakich się on znajdował; szczególnéj zaś rad był jego przyszłemu połączeniu, chociaż bardziej z punktu szlacheckiej przepii.

— No, dziewczka zdaje się dobra, bo to z poczciwych rodziców, ale niech ją trzymają w ryzach. Główna rzecz to, że może jeszcze za mojego życia, da Bóg doczekać, znów się połączą obie dzielnice w ręku Bogatków. Piękny to kęs Bogacie całe, bo to i wypasy i łąki pokawałkowane diabła warte... Choć to ja kocham pana Jana jak brata rodzzonego, ale zawsze miał rankor do tego przodka mojego, co to tak rozszczepił dziedziczną ziemię. Któż to widział dawać ziemię podwikom, kiedy są synowie?

Po każdéj takiej deliberacyi dumném okiem mierzył podstoli rozległość téj przestrzeni, którą syn jego miał w jedną połączyć całość.

Żyli tedy tak sobie wszyscy, każdy po swojemu, w téj słodkiej tęsknocie po nieobecnym, aż

nagle na ten ich spokój niespodziane padło nie-szczęście.

Hanulka, zawdzięczając ojcu definitorowi dobrą naukę i czując opiekę, rozciągnęła nad starcem pilne starania, a że już znacznie podrosła i dojrzała, zajęła się czynnie zamkową kaplicą i utrzymywaniem w porządku aparatów kościelnych. Pod młodą jej rączką kaplica zamkowa, niegdyś zaniedbana i ponurego widoku, odświeżyła się, a zajaśniała czystością i kwiatami; starannie wyprana bielizna, gustowne firanczki przy świętych obrazach nadawały téj małej świątynce pozór świeżości, który tylko zpod ręki białogłowskiej wytryska.

Corana tedy dziewczyna miała we zwyczaju uprzątnąć kaplicę, przygotować aparaty do mszy, a dopiero wtedy udawała się do ojczaszka, który że coraz słabnął na nogi, wsparty na jej ramieniu, przesunął się do kaplicy i wtedy dzwoniono na mszę.

Pewnego poranku Hanulka, po dopełnieniu pobożnej powinności, udała się do ojczaszka, ale wbrew zwyczajowi nie znalazła go na nogach. Zatrzymała się przy drzwiach, w przypuszczeniu że staruszek pierwszy raz w życiu zasnął, gdy wtém usłyszała zdwojony świegot ptactwa, któremu łagodny głos staruszka wtórował:

— A nie pójdziecie, nudziarze? Widzicie że nie mam! Ziarno w szafie, ale powinien tu zaraz nadejść mój zakrystyan (tak zwał dziewczynę, od czasu objęcia przez nią steru kaplicy), to was nakarmi.

Nie pojawiwszy odrazu tych słów, ale słysząc że o nią chodziło, Hanulka uchyliła drzwi i dziwny uderzył ją widok: na skromnym posłaniu definitor leżał w habicie, którego według zakonnego zwyczaju nigdy nie zrzucał, ptaszki zaś, wlatujące przez otwarte całą noc okno, skubały go na wszystkie strony, domagając się porannej strawy. On ni by je gromił, a ujrzawszy Hanulkę, rzekł uśmiechnięty:

— Niech będzie pochwalony, dzień dobry ci, mój zakrystyanie. Dobrze żeś przyszła, uwolnisz mię tych zbójów, którzy mię zadziobią... Ach! wy hultaje, żarłoki! Moja Hanulko, weźmij tam ziarna z szafy i nasyp temu tałałajstwu... albo daj mi tu na dłoń, to sam ich nakarmię na pożegnanie.

Dziewczyna, spełniając rozkaz, dziwiła się temu niezwykłemu zdarzeniu, że staruszek nie był na nogach, kiedy czas mszy nadchodził, pierwszy to raz bowiem przytrafiło się, od kiedy zapamiętała. Lecz przyjrzawszy się obliczu starca, znalazła je znacznie zmienionem i pobladłem. Z trwogą więc i niepokojem pytała:

— Ojezaszku, czyś nie chory? Możeby ci coś zaradzić?

I jako lekarka z powinności ówczesnej niewia-
sty, poczęła się krzątać około chorego, badając
jego dolegliwości.

— Ej nie mi tam nie jest—mówił uśmiechnięty
ze zwykłą słodyczą—owszem, czuję się rzeźwym
i wesołym. Widzisz, moja dziewczeczko, serce mi
powiada, że doczekałem się mojego Oblubieńca.

Na te słowa, mające pomiędzy nimi umówione
znaczenie, łzy dziewczynie spadły z oczu.

— A czegoż ty płaczesz, psotnico? Czyżbyś
płakała, gdyby Michałek przybył? Ot widzisz,
jam już się doczekał swojego, a twój za rok przy-
będzie; tylko że nie powinnaś mi zazdrościć, bo
ja dłużej trochę czekałem.

Tymczasem ludzie, przyzwyczajeni codziennie do
rannego nabożeństwa, zaczęli zdążać do kaplicy,
podstoli zaś i skarbnik zajrzeli do izdebki defini-
tora, chcąc się dowiedzieć, dlaczego dotąd nie
dzwoniło na mszę. Znaleźli staruszkę na posła-
niu karmiącego ptaszki z dłoni i dziewczeczkę płą-
czącą.

— Co to wam, ojeze bracie?—spyтали zaniepó-
kajeni.

— A co, jak widzicie, już stałem się klocem,
już tu na tój ziemi nic nie sprawię. Poszlijcie
panowie bracia, jeżeli łaska, do klasztoru po ojca

przeora, bo jutro nie będzie komu mszy wam odprawić, a także chciałbym się pożegnać z zakonem i z tym światem.

Hanulka zaniosła się od płaczu, a stary strofował ją łagodnie:

— Taka to z ciebie przyjaciółka, moja córuchno. Ja pewno, gdyby twój oblubieniec przyjechał, śmiałybym się na całe gardło, ale nie beczał. No, nie płacz, bo oczy spuchną, i skoro Michałek przyjedzie, będziesz brzydką.

Wszakże prócz osłabienia, szczególniejszego objawu choroby nie dostrzeżono, a stary, karmiąc ptaszki, rozweselał swoim spokojem zafrasowanych przyjaciół.

— Panie bracie podstoli — ozwał się staruszek, otulając słabemi dłońmi swoje ptaszki — chociaż niezasłużony, proszę was o jedną łaskę. Oto ażeby tę izdebkę zostawić po mnie niezajętą dla moich skrzydlatych przyjaciół, a pewny jestem, że mój zakrystyan, Hanulka, będzie o nich pamiętała.

I tak do wieczora cieszył wesolością zasmuconych przyjaciół. Pod wieczór przybył z sąsiedniego klasztoru przeor z dwoma zakonnikami; z nimi odprawił definitor pożegnanie zakonu i świata, przyczem spokojem ducha i pogodą oblicza zbudował, a pocieszał wesolością liczne grono obecnych, żegnających tę wielką odchodzącą duszę.

Hanulka postanowiła czuwać noc całą przy łóżku drogiego ojczaszka, a gdy leż powstrzymać nie mogła i łkając wołała ze smutkiem:

— Ojczaszku, nie opuszczaj mnie!... Cóż ja biedna pocznę bez ciebie?

— Taki to nasz świat — odpowiedział — że jedni bez drugich obywać się muszą... Zresztą Bóg nad nami wszystkimi, a za rok będziesz już miała najwłaściwszego swemu wiekowi opiekuna. Wszak ostatnie pismo donosi, że Michałek za parę miesięcy rozpoczyna egzamin na oficera... Bóg łaskaw, wszystko dobrze będzie i gdyby jakie trudności się znalazły, to je przetrwajcie. Ja ztamtąd niegodny czuwać nad wami będę i modlić się u tronu Najwyższego o waszą pomyślność.

Jakoś z północka więcej słabnąć zaczął. Hanulka we łzach pośpieszyła mu z pomocą, lecz on ją jeszcze pocieszał, chociaż słabnącym głosem.

— Nie turbuj się o mnie, moja Hanulko. Mój Oblubieniec powiada mi, że jeszcze słońce tu na ziemi zobaczą i bez pożegnania z mojami ptaszkami nie odjadę.

Jakoż wistocie zabłysło słońce jasne, wiosenne, a skrzydlaci goście definitora, jakby przeczuciem wiedzeni, gromadniej się dziś zbrali.

Rad-że im był staruszek, jak dziecię; witał każdego z osobna po imieniu, a tak się ożywił

i orzeźwiał, że obudzona w dziewczynie nadzieja w uśmiechu na usta się przeniosła.

Lecz nagle ze skrzepłych dłoni wysypało się ziarno i ptaszki żalobnie zaświegotały, a niektóre wyleciały w powietrze, jakby na swych skrzydłach unosząc świątobliwą duszę ku niebu. Stygnące usta staruszka wyszeptaly niezrozumiale:

— Hanulko!... ptaszki!...

Na głośny płacz dziewczyny zbiegli się ludzie i czynili modły za nieskalaną duszę, wracającą do swój nadziemskiej gospody.

Bywają na świecie istoty ciche, jednostki niepozorne, zajmujące miejsce w ogromnej cyfrze ludzkości, które przeszedłszy życie bez szumu i rozgłosu, zdają się ważyć tak mało na wielkiej szali ludów, że świat ogólnie o nich mówi: „tak z nim, jak bez niego...” Tymczasem nieraz ludzie tacy w cichości swojej stają się niedostrzeżoną osią, około której wiele się obraca, małym, wątlém ogniwikiem spajającym silne łańcuchy.

Tak też zdało się, iż z odejściem ojca definitora niewielka próżnia zrobiła się pomiędzy zamkiem podstolego i dworkiem skarbnika, i w rzeczy samej ubył cichy tylko księżyna, sprawiający codzień świętą ofiarę i karmiący ptaszki. Jedno i drugie było łatwém do zastąpienia; inny ksiądz mógł odprawiać mszę świętą, a ptaszki przecie i bez niego żywiłby Ojciec niebieski.

Tymczasem zdało się, jakby ze śmiercią staruszka-kapłana zastygła dusza ożywiająca dom ten cały; zatamowało się źródło gorącej wiary i nadziei, które od niego na innych obficie spływało, zastygło serce ciepłe, darzące wszystkich miłością.

Najdotkliwszą jednak stratę poniosła w starcu Hanulka, bo utraciła mądrego oświeciciela młodej główki, pocieszyciela w długiej tęsknocie po towarzyszu lat dziecinnych i oblubieńcu.

Oddała się też dziewczyna po tej bolesnej stracie całemu żalowi, jaki tylko w głębinach młodego serca rozgościć się może. Jedyłą jej pociechą było zachowanie w nietykalności tego serdecznego przybytku ojczaszka i żywienie osieroconych ptaszków, które, jak jej się zdawało, przylatując po zwykłą pożywę, z nią razem oplakiwały niepowetowaną stratę i lubo hojną żywione dłonią, oglądały się jeszcze za tym, którego brakło.

I matka Hanulki straciła wiele, bo pociechę i otuchę w ciężkiej swjej chorobie.

Domowników odbiegła porada w każdój przygodzie, pociecha w smutku, spółczucie w złej doli, oraz tarcza przeciwko surowości podstolego, który, utraciwszy zaporę niepohamowanój swjej pasy, folgował jej coraz bardziej.

Obaj bracia, skarbnik i podstoli, nie mogli przeżalować staruszka, może już dla samego zwy-

czaju, iż od lat tylu uciérali się o jego łagodność i słodycz.

Mało ubyło napozór, jak to powiedzieliśmy, jeden cichutki sługa Boży, a jednak dom cały na długo okrył się żalobą.

Lecz z powinności kronikarskiej nam dłużej nad tym żalem zatrzymać się nie godzi; przed nami bowiem ważniejsze przesuują się wypadki.

Za czasów, w których się nasze opowiadanie toczy, prawowanie się i pieniactwo wogóle było bardzo rozpowszechnioném pomiędzy szlachtą, a najpowszechniejszym do nasycenia téj pasyi pochopem były granice. W majątkach jeszcze rozgraniczonych wodą, uroczyskiem lub nieużytkami, o co się gorliwie starano, wszczęcie granicznych waśni nie było tak łatwém; lecz w Bogacicach, przeciętych na dwie połowy glebą jednej natury, pretekst był nietrudny.

Skarbnik tedy i podstoli tuzali się sobie czasem o granice, posyłali niekiedy wzajemne pozwy, sprowadzali kondescensye; lecz póki żył definitor, ten zawsze to perswazyą, to przełożeniami, a często gęsto jowialną drwinką sprawę zatarł i zgodę sprowadził. Te to nawet odwieczne spory prawdopodobnie były powodem, że nieboszczyk sprawę dwojga rozmiłowanych dziatek przyjął do serca, ażeby oszczędzić terażniejszym i przyszłym pokoleniom zgorszenia i obrazy Bożej.

Lecz jakże się biedny omylił w dwóch przeciwnych rachubach, bezwiednie zakładając fundament straszliwych następstw!

Po dokonanych zrękowinach dzieci, że to nanowo Bogacice w jednych ręku miały się koncentrować, ferwor procesowy, sam przez się upadając, przerzucił się na równie niepomiarowaną drogę ustępstw, w których obaj bracia jęli się prześcigać:

— A cóż, panie bracie, nie posiałeś tego roku gryki?

— Nie mam gdzie, już wszystko zająłem.

— A to pole od lasu?

— Przecież to jegomości poletek.

— A czyliż jest między nami *moje i twoje?*

Wszystko to naszych dziatek; sięjże sobie grykę na mojem polu, a ja zaś w tym roku użyję twego konopiska nad stawem. Z tego będzie grosz dobry, bo jedno i drugie w tym roku popłaca.

Przez ciąg lat kilku takie zmiany sprowadzić musiały ostateczne zatarcie granic, z czego cieszył się niezmiernie ojciec definitor, a nawet patrzył z chlubą jak na swoje dzieło, że wszelkie kopce graniczne, jako bezcelowe, rozsypały się i niedze pozaorywano.

X.

Zając niezgodny.

Na punkcie tedy granic zapanowała święta zgoda; lecz antagonizm panów swatów przeniósł się na łowy. Jeszcze za życia ojca definitora, nieraz już z tego pomiędzy braćmi wynikały kłótnie i usterki; umiał je atoli ksiądz zagodzić zręcznością i łagodną ironią. Lecz skoro nie stzło tego mądrego pojednawcy, nuda i tęsknota, którą po sobie w domu zostawił, popchnęła każdego z sąsiadów do rozszerzenia zajęć i rozrywek, aby żal dojmujący w sobie zagłuszyć.

Najmilszą zabawą dla podstolego i skarbnika zawsze bywały łowy, którym teraz oddali się pasyą, a to témbardziej, że wkradła się pomiędzy nich emulacya.

Bywało zwyczajem braci myśliwych prowadzić akuratne rejestra łowieckiego sukcesu. Nawet trofea myśliwskie ze szlachetniejszej zwierzyny przechowywali w rozmaity sposób: głowy dzików i niedźwiedzi przybijano dokoła na ścianie wielkiej sieni zamkowej; toż samo rogi jelenie i łosie; pomiędzy niemi zawieszono kity lisie i omyki zajęcze, nakoniec ptaki większe, jak orły, sępy, jastrzębie, czaple i t. p. Szkielety zaś wilków, dawnym zwyczajem, wieszano na szubienicach, wystawionych w widoczniejszym miejscu, poczytując to za postrach dla żyjących, ażeby ich od szkody powstrzymać.

Były dwie ściany, skarbnika i podstolego, i kiedy koloru pierwszej trudno było dojrzyć zpod mnogich trofeów, druga prawie nie była pokrytą. Toż samo działa się z szubienicami wilezemi, że u skarbnika łamały się pod szkieletami, kiedy u podstolego kilka ich zaledwie wiatr kołysał.

Oblikwidacya onego powodzenia myśliwskiego dopełniała się zazwyczaj w ostatni dzień każdego roku, po walnych łowach, na które mnóstwo się myśliwych i szlachty z okolic zjeżdżało. Tu się odbywał roczny rachunek sukcesu myśliwskiego obydwóch braci, w którym zawsze przekręskował skarbnik, z wielką konfuzyą dla podstolego; ten bowiem, jako gorączka i sangwinik, mniej bywał

zręczny w łowach. Gdy co mu szło nie po myśli, to klął, lajał, znęcał się nad ludźmi, a czasem i do psa strzelił, jeżeli gonił nie według jego zachcenia. Skarbnik zaś, powolniejszy, wytropił akuratnie i brał na upatrzonogo.

Rokrocznie podstoli obiecywał sobie przesadzić spółzawodnika, o co mu témbardziejziej chodziło, że przy każdym obrachunku rocznym doznawał konfuzyi wobec zgromadzonej szlachty, która, widząc jego zawziętą w tém ambicyą, podochociwszy sobie, nieraz podrwiła z tego łowieckiego animuszu.

W rok smutny śmierci definitora, przyjętym już zdawna zwyczajem, w wigilią uroczystości nowego lata, podstoli sute łowy wyprawiał. Siła panów braci sprosił, nietylko bliższych, ale i dalszych, miał to bowiem być dla niego dzień dawno niedoznanwanego tryumfu, gdyż rok mu ten szczególnie się poszczęścił, że skarbnika o kilkanaście sztuk zwierzyny przekręskował.

Ze zwyczaju gospodarz oddawał przewodztwo łowów temu ze starszych gości, który najlepszym był myśliwym, zazwyczaj podkomorzemu ciechanowskiemu, prym trzymającemu między ówczesnymi zawołanymi łowcami.

Polowanie, jak zazwyczaj, szło dobrze, zwierzyny rozmaitéj, ba i grubszej, moc ruszono. Podstoli zawczasu tryumfował, w tój supozycyi iż do ostatniego momentu rok ten szczęściem mu do-

pisze. Lecz jak na to skarbnik dnia tego, flegmatyk jak zawsze, tłukł spokojnie co się tylko pod flintę nawinęło, tak iż nikt prawie nie strzelał prócz niego, a co gorsza, ani razu nie spudłował, co podstolego do pasy doprowadzało, zwłaszcza kiedy podkomorzy ze swęj powinności, objeżdżając na swoim podjezdku łowy, rzekł do niego:

— Ej! panie bracie, *finis coronat opus*. Widzi mi się, że i ten rok nie będzie dla waszeci szczęśliwszym, bo powiadam ci, skarbnisio ze swoją flegmą tłucze a tłucze, jak nigdy nie pamiętam. Już całe dwa wory przeróżną zwierzyną napełnił.

— A to wszystko z łaski jnci pana podkomorzego, żeś mi ladajakie stanowisko wyznaczył — odparł podstoli.

Podkomorzy, jako stary a wytrwany łowiec, wiedząc że niepowodzenie myśliwych zaślepia, nie brał tego do serca, ale odparł spokojnie, a żartobliwie:

— A czy znasz bratku przysłowie: „złej tanczniczy i fartuch na zawadzie?” Wszakże jeżeli jegomość życzysz sobie, możesz stanowisko zmienić. Jako wielki twój łowczy, zezwalam na to, ale jeszczeć przytoczę przysłowie, że „na miejscu kamień porasta.” Lecz ponieważ rozmawiać się nie godzi, bo to płoszy zwierzynę, życzę sukcesu.

Po tych słowach poczłapał dalej starowina, nie dając wielkiego baczenia na tę animozją myśliwską.

Na dawnych łowach rygor wielki obserwowano i nikt bez upoważnienia wodza łowów, którego w tej okazji wielkim łowczym zwano, wyznaczonemu stanowiska zmieniać nie mógł. Podstoli, otrzymawszy zezwolenie, puścił się na odszukanie szczęśliwszego miejsca; lecz nie wiodło mu się jakoś, bo ledwo jedno opuścił, już tam zwierzyna pociągnęła. Wszędzie zaś po drodze, dowiadując się o sukcesach skarbnika, doreszty utracił krew zimną, tak pożądaną w każdej imprezie, a szczególnie na łowach. Zafrasowany o utratę pierwszeństwa, obmyślił nakoniec odszukać stanowisko skarbnika i stanąć w pobliżu, aby mu zwierzynę zpod lufy sprzątać. Niecałkiem to było godziwe, według myśliwskiego obyczaju, ale zapamiętały podstoli już cały zawrzał pasyą i ambicyą.

Ujrzał nakoniec pana brata, ze zwykłą jego flegmą, jakby przykutego do stanowiska, a tuż obok niego leżały całe kupy rozmaitego ubitego zwierza.

— Winszuję panu bratu sukcesu — przemówił podstoli z przekazem.

— Dziękuję, bo wistocie jakiś niezgorszy — odparł sarnik spokojnie.

— A czyś brat wsadził jakiego inkluza do rusznicy, że tak tłuczesz a tłuczesz?

— Ten to jest samy, co już od lat tylu w niej siedzi; dość spojrzeć na moje ścianę w zamkowej sieni.

Granie psów przerwało rozmowę braci, która niekoniecznie zgodnie się zapowiadała. Skarbnik z zimną krwią opatrzył tylko proch na panewce i strzelbę w rękę poprawił, a podstoli puścił się na spotkanie zwierzyny. Był to ogromny kozioł, który jakby po śmierć wypadł na lufę skarbnika. Niedługo też czekał końca. Podstoli gniwnie tylko odsapnął i już ze sobą nie rozmawiali. Kilka razy jeszcze powtórzył się podobny wypadek, że kiedy rozgorączkowany pognął za zwierzyną, spokojny skarbnik doczekał jej się na stanowisku.

I nowa pauza, a podczas niej podstoli obliczył okiem zwierzynę zabita przez antagonistę, znając zaś na pamięć roczny rachunek, ujrzał się z nim narówni. Odtąd więc jeden celny strzał o przewadze stanowił. Dałby był może połowę swego mienia za to, żeby już się skarbnikowi nie powiodło, a on jeszcze jedną sztukę zastrzelił i przez nią szczęśliwszego od lat tylu spółzawodnika przekręskował.

W tém nowo dało się słyszeć psów granie, wszakże bez wielkiego ujadania; widocznie że go-

niły zająca. Podstoli pasyonował się, zżymał, bo na tym nędznym zajączku spoczywała jego chwala.

Że to już wieczór zapadał, a myśliwi byli zmęczeni, jednocześnie z psów graniem ozwała się trąbka podkomorzego, zapowiadając sygnałem pojezdnego koniec łowów, aby po tém gonieniu psy już zbierano. Ostatnia to więc była nadzieja tryumfu podstolego, który już na miejscu nie mógł ustać, pasyonował się, miotał, to znów czynił wota pobożne, zmagając sobie w duchu:

— Święty Hubercie, wielki patronie łowców, daj mi tego zająca, a wystawię ci piękny ołtarz, z twoim wizerunkiem w srebrnych ramach.

Ręce mu drżały, krew zbiegała do głowy i wzrok mu zasłaniała, gdy słyszał że psy w przeciwną się stronę skierowały.

— Święty Hubercie — szeptał — spraw przynajmniej niech pogonią na innych; niech żaden go z nas nie zabije. Wtedy stanę narówni z nim, a na rok przyszły sprowadzę z Warszawy sagalaszówkę i taki przekręskuję tego flegmatyka. A jeżeli zechcesz, to ci i kaplicę postawię, tykoż mię wysłuchaj!

Po téj modlitwie zdawało się podstolemu, iż jego śluby zostały przyjęte, bo zaledwie je uczynił, nawet psy pogoniły w przeciwną stronę i uszczęśliwiony łowiec odetchnął, iż z dwojga

spodziwanego złego, mniejsze się stanie i będzie ze strasznym spółzawodnikiem narówni.

Wtém nagle dał się słyszeć strzał, a widocznie chybiony, nie zawołano bowiem na upad, a jak to się nierzadko zdarza, zwierzy na znów nawróciła na braci. Skarbnik oczekiwał jęj z właściwym sobie spokojem, ale podstoli całych sił dobywał, bo to, mosanie, o honor chodziło!

Wybiegł nakoniec nieborak zajęc i niedługo czekał na swój koniec: dwa strzały padły jednocześnie.

— Supozycya nie jest afirmacya, a ja waszmość upewniam, że ja zabiłem zajęc — wrzasnął podstoli.

— Więc jeżeliś waść tego pewny, to musisz także wiedzieć, co się stało ze strzałem skarbnika — mówił podkomorzy już nieco rozdrażniony, a pochyliwszy się nad zajęc, przewracał go i opatrywał.

— A ja powiem waćpanu — dodał — że tu są dwa strzały: jeden ot tu pod prawym słuchem, a drugi o dwa cale od niego w ziemi...

— To ten jest mój pod słuchem — wrzasnął podstoli.

— A dla czego nie ten w ziemi?

Tymczasem myśliwi, usłyszawszy pojezdne i ponieważ psy ściągano, zeszli ze swych stanowisk

i z ciekawością otoczyli dysputujących, a podchwytując ostatnie słowa, zawołali:

— A tak, tak, czemuż nie ten w ziemi?

I widocznie, jak się to praktykuje, stawali po stronie spokojniejszego, przez co podstolego tak rozjątrzyli, iż coraz uparciej stał przy swoim.

— A ja waszmościów upewniam — wrzasnął, że to jest mój śrut, ten tu pod słuchem, poznaję go dokumentnie.

Zewsząd śmiechem powitano ten wyskok i któryś z weselszych zawołał:

— A ja pewny jestem, że to śrut skarbnika.

— A jak to się śrutu jedne od drugich odróżniają.

— Czy waszmości śrut znaczony cyfrą, czy klejnotem herbownym? Cha! cha! cha! — zaśmiało się zewsząd, drażniąc pasyą podstolego, który nie chamując się dłużej, zawołał:

— Niech skarbnik przysięże, że to on zabił zająca, to ustąpię całej pretensyi...

— Cha! cha! cha! — przerwał tę rozmowę śmiech chóralny — a to coś nowego: przysięga na omyk zajęczy. Czemu nie na świnię ucho? przecie położyliśmy kilka dzików!...

— Albo nie — wołał podstoli, trzęsąc się z gniewu — rozstrzygniemy to inaczej. Poszlijmy po broń do domu i rozprawmy się; kto wyjdzie cało, przy tym racya.

Znów śmiech powstał i wołali:

— A to będzie rozumnie, po Bożemu i po szlachecku... Jeszcze czego! Lepiej strzelcie do siebie z rusznic, a kto żyw zostanie, weźmie zająca.

— A jeżeli się obaj zastrzelą? — wtrącił jakiś facetus.

— Ano, to każdego pochowamy z połową zająca.

Te wyskoki humoru rozśmieszyły wszystkich, a nawet i skarbnik, ochłonawszy z gniewu, przystąpił przyjaźnie do swata i rzekł:

— I za co my się tu swarzym, panie bracie, kiedy ty zabiłeś zająca.

— Daj waść na to parol — rzekł już spokojniej podstoli.

— Do czego parol, czy to warto?

— Wymagam parolu, bo waść poczynasz ze mną, jak ze smarkaczem kapryśnym.

— Parolu dać nie mogę.

— Dla jakiej racyi?

— Bo całkiem pewny nie jestem.

— Cóż u stu katów, kiedyś nie pewny, to się bij — wołał podstoli, wracając do pasyi.

W téjże chwili podkomorzy, podjechawszy na swoim szlapaczku, ozwał się wesolo:

— Winszując, mości skarbniku, boś końcem dzieło pochwalił. Musiałeś tam ścisnąć jakieś kolanko na szczęście, boś nam wszystko sprzątnął zprzed nosa. Ale co teraz, to już *satis*, bo jeżeli

tak dalej pójdzie, to na przyszły rok zwierzyny nie zostawimy.

Po tych słowach zadał w róg głośniej, zwiastując łowów koniec.

Atoli bracia, jak jednocześnie strzelali, tak teraz razem znaleźli się przy zdobyczy, po którą każdy rękę wyciągnął. Lecz spojrzawszy sobie groźnie w oczy, obydwaj odskoczyli, jakby dla nabrania lepszego zamachu do walki.

Pierwszy podstoli zawołał gniównie:

— To waszeć taki myśliwy, że polujesz na cudzą zwierzynę? Takie myśliwstwo, z przeproszeniem, inaczéj się zowie. Ale zamilczéć wolę.

Skarbnik, chociaż niby flegmatycznój natury, ale niemniéj był choleryk ukryty, a więc odeprze z ironią:

— Mogę waszmości odstąpić tego własnego zajączka, bo mam tu siła grubszego zwierza—i ręką wskazał na dużą kupę ubitéj zwierzyny, która na jego stanowisku leżała.

— Biorę tego zająca, bo jest mój, padł od mojego strzału — prawil podstoli drżącym od gniewu głosem, wyciągając rękę po zdobycz.

— Już mówiłem, niech mu służy ten zajączek— wtrącił skarbnik z przekąsem.

Podstoli umknął rękę i już miał na ustach jakieś grubiaństwo, bo cały się zapérzył, gdy stanął pomiędzy nimi podkomorzy i rzekł jowialnie.

— Jako wielki łowczy, ogłaszam zgodę pomiędzy panami chrześcijańskimi!... Ale o co waszmościom idzie? Dopókiśmy w kniei, władza najwyższa przy mnie i dekret będę ferował. Indukujcie więc sprawę...

— Już po sprawie, bo oto zabiłem tego lichego zajączka, który się panu bratu podobał, i jemu go chętnie odstępuję — zawołał z szyderczą słodyczą skarbnik.

— Fałsz jest, ja go zabiłem! — ryknął w pasyi podstoli.

— Nieboszczyku zajączku, rzeknij, który z waszmości cię zabił? — krzyknął podkomorzy do ucha zającowi, chcąc przez ten żart wyszydzić powstający rankor dwóch braci.

Skarbnik się wprawdzie rozchmurzył, ale podstoli ozwał się zasępiony:

— Pewny jestem, że gdyby przemówił, skonfundowałby pana skarbnika.

— Nie wiem — przerwał mu drugi — ale to pewna, że sam pan podkomorzy, przytomny upadkowi zająca, winszował mi konkluzyi łowów.

— Czy tak wistocie, mości podkomorzy, i czy wmość pan widziałeś dokładnie, od czyjego strzału padł zając? — pytał podstoli.

— Żebym to mógł sumiennie afirmować, tego nie powiem. Właśnie nadjeżdżałem tutaj, kiedy padły strzały waszmościów prawie jednocześnie;

ale który mianowicie był celny, lub może oba, tego już nie wiem...

— A dlaczegóż waszmość pan winszowałeś skarbnikowi, czy to przez jakiś szczególniejszy dla niego afekt? — zawołał z gniewem podstoli.

— Przez żaden afekt, ale wiem to dowodnie z długoletniej myśliwskiej eksperyencji, więc i teraz suponowałem...

— A do stu tysięcy! — wrzasnął z impetem skarbnik — weź-że sobie waćpan i tego zająca i wszystką zwierzynę, jaką dziś i kiedykolwiek zabiłem, ale nie śmiészmy ludzi temi żakowskimi wybrykami!

— I racya jest, bo zda mi się, że gdybym polował w murzyńskiej ziemi na lwy, jeszczebym się nie swarzył o to szlachetne zwierzę, tak jak waćpanowie o lichego kota — przemówił z perswazyą podkomorzy.

— To waćpan mi czynisz darowizny? — mruknął podstoli, nie zważając na perswazyą podkomorzego.

— Niech sobie będzie i darowizna, ale raz już skończmy te niewczesne zatargi — odparł skarbnik, odwracając się z niechęcią.

— A co to waćpan sobie myślisz — wrzaśnie, pieniać się od gniewu, podstoli — żeby Bohatko dawał prezenta Bogatkowi? Wy przybłądy tylko z łaski naszój ziemię tę dzierżycie. My od ta-

kich chamów, co tam gdzieś z Rusi z podejrzanym indygenatem przywlekli się, pewno nie nie weźmiemy... A to mi hołysz do darów! Nie siedziałbyś tu bez łaski moich przodków!

— Tych przodków, których niegodni są zaprawdę potomkowie, spiérający się o zające, bo oni za łbami bisurmańskimi uganiałi się — odparł gniewnie skarbnik i już z zaciśniętymi pięściami miał się rzucić na przeciwnika, ale ich szlachta przegrodziła.

— A na rany Chrystusa, mości panowie, porzućcie te żakowskie imprezy! Czyliż na to nas sprosilście, aby nas ufetować niewczesną i gorszącą pomiędzy braćmi a swatami kłótnią? Bądźcież ichmościowie zdrowi! Szkalujcie się sobie, ale ja na to patrzeć nie chcę — wtrącił z pokłonem podkomorzy, jakby się miał do odejścia.

— A dajcież pokój, mości podkomorzy, nie godzi się pozostawiać ich w takiej zajadłości. Gotowi się jeszcze potłuc — ozwie się jakiś szlachcic.—Ot lepiej waszmościowie zdajcie się na sąd ludzki—radzimy.

— Niech ich jmépan podkomorzy rozsądzi.

— A jabym ich odesłał do króla Salomona, niech przepołowi tego zająca między dwóch myśliwych, jak niegdy owo sporne niemowlę między dwie matki — wyrwał się jakiś facetus i tém całą kompanią rozśmieszył.

— Zgoda! niech wyrzeczy pan podkomorzy, poddajemy się jego mądrym wyrokowi—zawołali jednocześnie obaj zapaśnicy.

— Ależ moi panowie, jakież tu dekret można ferować?—wzbraniał się podkomorzy.

— Ano, jakibądź, wedle waszego uznania. Nie godzi się pozostawiać pomiędzy nimi takiego rąkoru, jeszcze pod rok nowy; to grzeszna rzecz!

— Sądźcie, moi podkomorzy, sądźcie! — zawołano zewsząd.

Zamyślił się stary, a potarłszy łysinę, rzekł:

— Ano czy zgadzacie się na mój wyrok?

— Niéma co pytać, muszą się zgodzić i to nieodwołalnie zawoła szlachta.

— Zgadzamy się — powtórzyli zapaśnicy.

— Kiedy tak—rozpoczął sentencyonalnie głosem ferującego wyrok podkomorzy — to osądzę was stosownie do mojego urzędu. A ponieważ niepodobna afirmować stanowczo, który z wasmościów mianowicie jest mordercą owego niewinnego zajęczka, ergo temu zdobycz przyznaję, na czyjej ziemi leży ów zajęczak.

— Vivat! Niech żyje podkomorzy! Oto co się nazywa mądrze osądził!—wrzasnęła szlachta.

— Mędrzej od samego króla Salomona.

— A więc czyja ziemia, niech bierze tego zajęca, a omyk da drugiemu — wtrącił facetus. — Ale czyjaż to ziemia? niech wiemy.

— Moja! — Moja! — zawołali jednocześnie skarbnik i podstoli, sięgając po zająca.

— Jakto, wspólna?—spytał zdziwiony podkomorzy.

— Tam do diabła, jeżeli wspólna, to za nie mądry wyrok—zawołał któryś z kupki i szlachta w śmiech.

— Nie wspólna, tylko moja własna! — wrzasnął podstoli, a za nim toż samo powtórzył skarbnik.

— Niech ludzie powiedzą, czyja to jest ziemia?—zakonkludował podkomorzy zniecierpliwiony, a zwracając się do sług i myśliwych licznie tam zgromadzonych, zapytał:

— Moi kochani, wy najlepiej wiedzieć musicie, do kogo z ichmościów należy ta ziemia; przecie około niej pracujecie.

— A to jest naszego dziedzica, jmc pana podstolego—dała się słyszeć odpowiedź z jednej kupki; drudzy zaś jednocześnie się ozwali:

— A to naszego jmc pana skarbnika.

— Cóż u kata, czylim się spił, czy mi we łbie zakołowało? — wrzasnął podkomorzy z pasją, a zwracając się do ludzi, dodał:

— Moi ludzie, mówcie przecie jak się należy. Zpod śniegu widać, że ta ziemia była poorana, któż jój tedy używał?

— A tu, proszę jegomości, łońskiego roku był jęczmień jmépana podstolego — odpowiedzieli jedni.

— A przedtém żyto naszego pana skarbnika—
dodali za nimi drudzy.

— A co! nie mówiłem że tu tylko jeden Salomon rozsądzi i trzeba przepołowić zająca na dwoje? — wtrącił facetus.

Podkomorzy tarł niecierpliwie czuprynę, aż wkońcu rzecze:

— Być-że tu musi gdzieś granica.

— Ta ona tu kiedyś była, proszę jegomości—
odpowiada wódarz, wysuwając się naprzód;—ale od kiedy ichmościowie zaręczyli swoje dzieci i jęli wspólnie gospodarować, to wszystkie granice zarano i kopców nawet zaoszczędzono. Lecz o ile mi się pomni, grunt ten jest mojego jegomości, jmépana podstolego.

— Stuliłbyś gębę, albo ci ją zamaluję, bo ty nastałeś tu ino drugi rok po śmierci starego Jurka wódarza, a ja tu już bez trzydzieści lat gospodaruję. Było tu niegdyś stawisko, cośwa je osuszyli—zawołał groźnie inny staruszek, nastając na mówiącego.

— Mości panowie! — rozpoczął z powagą podkomorzy—ci ludzie mimowoli napomnieli wam tę ważną okoliczność, iżście swatami i macie połączyć dziatki wasze dozgonnym węzłem. Przeto

azaliż godziwym jest między wami ów zatarg, i o cóż?... o marnego zająca, którego rzucić psom, a sami jako bracia herbowni i swatowie, podajcie sobie ręce.

— Ot co się nazywa mądrze powiedziane! Zgoda, panowie! — wołała szlachta.

Rzucili się tedy jedni i drudzy, chcąc popchnąć zapaśników w przyjazne objęcia. Skarbnik też niebardzo się opierał; ale podstoli, stanawszy twardo, zawołał:

— Co tam za braterstwo i swatostwo! Nie z tego! Teraz mi schodzi bielmo z oczu, iż z ujmą czei szlacheckiej chciałem się pobratać z przybłędami, od których teraz wobec waszmościów czynię reces uroczyście. Niech dość mają na tém, że od mojego przodka wydrwili kęs odwiecznego dziedzictwa Bogatków... Hm!... jacyś Bohatkowie, może jeszcze nie szlachta, tylko bamy ruskie...

— Weźnij waepan nazad te słowa. Złość-to i niegodziwy rankor przez ciebie mówią—upominał podkomorzy.

— Com powiedział, tom powiedział i tego się na sądzie ostatecznym nie zaprę... Nie chodzi mi już o tego zająca, ale jakimś włóczęgom nie dam sobie ziemi wydziierać, w skutek czego mam teraz zaszczyt udać się do urzędu podkomorskiego jmépana, prosząc o rozgraniczenie i usypanie kopców wedle prawa.

— Naprzód wiedz waść o tém, iż jako podkomorzy ciechanowski, nie mam juryzdykeyi nad ziemią łomżyńską, która tu jest, a gdybym ją i miał, to niech cię kaci rozgraniczają, kiedyś taki niepohamowany impetyk i targasz najświętsze węzły dla niechrześcijańskiego rankoru i niegodziwej fantazyi, a nie słuchasz dobrej rady i przełożenia... Bądź mi waszmość zdrów i zostań ze swym gniewem a nienawiścią, na które moje chrześcijańskie sumienie i siwa głowa patrzeć mi nie pozwalają — wymówił podkomorzy surowo, a po tych słowach, wdziawszy delią podróżną, którą trzymał hajduk, już odchodził, kiedy podstoli, opamiętawszy się, uprzejmie rzecze do starca:

— Mości panie podkomorzy! nie uczynicie mi przecie tego despektu, aby pod noc oddalać się od moich progów.

— Gdzie panują zawiść i niezgoda bratnia, ja tam gościem nie bywam—odparł sucho podkomorzy i zwrócił się do skarbnika uprzejmie:

— Mój skarbnisiu, nie odmówisz mi tam jakiego kąta, abym się przespał.

— I mnie, i mnie!—zawołali wszyscy za podkomorzym.

— Całym sercem przyjmuję ten wysoki zaszczyt, który mię spotyka, i rad jestem ugościć w ubogiej chacie miłych mi wielce waszmość pa-

nów. Wszakże zastrzegam przy téj okazji po-
błażliwość na lichy mój traktament, bom się nie
przygotował na ten honor, którego mam dostąpić.

— Ej co tam!... czém chała bogata, tém rada —
wołała szlachta, podążając za podkomorzym.

Według przyjętego zwyczaju, uczyty po łowach
odbywały się w zamku, raz dlatego że jako ob-
szerniejszy, więcej mógł pomieścić łaskawych,
a także dla choroby skarbnikowej, aby jój nie
czynić niepokoju. Takie zatem znalezienie się
całej kompanii było gorzkim *ad intende* i niemi-
łą dla podstolego niespodzianką, który opuszczo-
ny, w otoczeniu tylko wylęklój własnej czeladzi,
patrząc za odchodzącymi gośćmi, pięściami groził
w stronę skarbnika, mówiąc zapienionemi od
gniewu usta:

— Ha! trutniu, przybłądo! Chciałeś osiąść
całe mienie Bogatków... i pod pozorem jakiegoś
braterstwa, podsuwałeś dziewczkę mojemu smarka-
czowi, kazałeś się jój bawić w amory... podstawi-
łeś starego klechę definitora!... Ale ja to tała-
łajstwo wykurzę, jak szerszenie z ula... Jutro
zaraz zapozwę o granicę do sądów podkomor-
skich!

Po tych słowach zwrócił się do włodarza, kry-
jącego się pomiędzy wylęknioną służbą, i wydał
rozkaz:

— Mateuszu! Zaraz mi tu spędzić gromadę lu-

dzi, ile będzie potrzeba, żeby do rana wkopano na tém miejscu żerdź, jaką najwyższą znajdziesz w lesie, a na wierzchu powiesić tego zająca. Niech skarbniczek kochany patrzy ze swojego okna na to *pro memoria*, że go tu zczasem zawieszę, jak tego lichego kota... Obaczmy czyj będzie zajęć i czyja ziemia... Nim księżyc wejdzie, możecie pracować przy pochodniach. Dasz ludziom gorzałki, tylko niech mi się nie popiją, a równo ze dniem żeby wszystko było jak powiadam. Rozumiesz?

— Rozumiem, jegomość—odparł z pokorą wódz, śpieszący ku spełnieniu pańskich rozkazów.

— A słuchaj-no jeszcze! Ustanowisz mi tu wartę i gdyby ktokolwiek odważył się żerdzi dotknąć, bić co się zmieści... choć zabić!... bez względu na osobę. Ja odpowiadam za wszystko... słyszałeś?

— Słyszałem, jegomość.

I oddalił się wódz, nie śmiąc deliberować nad dziwacznym rozkazem pana.

Podstoli chmurny samotnie szedł na zamek, przygotowany na przyjęcie licznych gości, którego okna rzesistém światłem gorzały. Przechodząc koło izdebki nieboszczyka definitora, ujrzał zdziwiony, a nie bez pewnej trwogi, słabo migocące światło w okienku. Mimowoli zadał sobie pytanie:

— Czyliby ten mnich jeszcze i po śmierci przy-

chodził tu snuć dalej intrygi ze skarbnikiem? Nie im to nie pomoże, bo ja tych trutniów przepędzę.

Zżymał się jak chłopię przestraszone. To światło widocznie go niepokoiło; ale zapytać kogo-bądź wstydział się i pozostał przy tém urojeniu, iż to jest jakaś nadzwyczajność, zjawisko, może przestroga, iż niegodziwie sobie poczynił. Lecz im go to bardziej trwożyło, tém więcej wzmagał się w uporze; grała w nim wyobraźnia, a wtórował jej może rodzący się wyrzut sumienia, bo w innym razie na światło nie zwróciłby nawet uwagi, lub zapytawszy, dowiedział się że ono było bardzo niewinną intencją Hanulki, która objąwszy rządy izdebki swojego ulubionego ojczaszka, utrzymywała w niej czystość, karmiła corano skrzydlatych gości, a w wigilią każdój uroczystości, jako skromne a pobożne votum za duszę przyjaciela, zapalała lampkę przed obrazem. Oto był ów wielki dėszech, który z małej chmury padł na gniewne czoło podstolego i wielce je zasepił.

Nakoniec wszedł do komnat płonących światłem jarzącem. Stoły były suto pozastawiane, puhary i roztruchany połyskiwały, misy pełne dymiły się, a czujna służba była na swoich miejscach. Cały ten ład sprężysty, ta obfitość zastawy jawnie uwydatniły podstolemu jego osamotnienie. Zachmurzył się jeszcze bardziej.

Służba, oczekująca gości na zamku, nie mogła być dotąd świadomą tego co zaszło na łowach, bowiem przed odejściem pana nikt nie śmiał ruszyć się z miejsca; skoro tedy stary piwniczny ujrzał pana samego, w obawie że może światła nie było w sieni, zwrócił się do kilku pacholków, mówiąc:

— A biegnijcie rychło z pochodniami, przyświecić państwu!

— Czego się tam stary tłuczesz? — mruknął gniewnie podstoli. — Sprzątnąć wszystko, wieczórę rozdać służbie, pogasić światła i rozpalić na kominie w mojej sypialni.

Piwniczny roztworzył usta, bo nie pojmował niespodziewanego rozkazu, i po chwili, jako stary poufały sługa, zaryzykował pytanie:

— To u nas nikogo nie będzie, jegomość?

— Mogą być bizuny za deliberowanie. Nie rezonuj, ale rób coć każę, a żywo! — wrzasnął pan, przebiegł śpiesznie komnaty, jakby go owe światła piekły, a para z mis krztusiła, i zamknął się w swęj sypialni.

Jaką noc przepędził podstoli, powiadać nie trzeba. Targało go sumienie, jako zazwyczaj człowieka, który dobrowolnie posuwa się w przepaść, z bystrzej pochyłości gniewu i pomsty.

Wyjrzał przez okno: wedle rozkazu na najwyższej żerdzi kołysał się trup biednego zajęczka

niby chorągiew, wiodąca do zawiści i zawziętości, na którą poglądając, sam zajątrzał gniew swój i zaciskając pięści, mruczał w pasy:

— Miły skarbniku! dopóty nie spoczne, aż i ciebie zawieszę na żerdzi, jak tego małego zajączka!

I tak pomiędzy wczora jeszcze przyjaznemi domami zawisła dziś kość, a raczėj *zając niezgody.*

XI.

Ptaszki nieboszczyka.

Niestety, nie stało pomiędzy zwaśnionymi wielkiego pojednawcy definitora. Jednak izdebka jego, której światło nocne zaniepokoiło podstolego, ciągnęła go zawsze ku sobie jakowąś nieprzewyciężoną atrakcją. Skoro więc zrana wyszedł na dziedziniec zamkowy, mimo wiedzy i woli zbliżył się do niej. Właśnie w tej chwili ptaszki stadkami kołatały do okna, a widząc je zamkniętym wbrew zwyczajowi, gdyż z otworzeniem opóźniła się dziś ich dobroczynna karmicielka, głośniejszym świegotem domagały się zwykłej gościnności.

— Owóz ten mnich był początkiem wszelkiego rozprzeżenia, a nietylko ludzi, ale i ptastwo roz-

puścił. Poczekajcie, ja was tu nauczę znać *mores!* — mruknął gniéwnie podstoli, a dostrzegając na dziedzińcu zamkowym pachółka, skinął nań, aby mu przyniósł parę rusznic nabitych drobnym śrutem. Jął się tedy podkradać z bronią pod ptaszki, które oduczane przez nieboszczyka księdza od bojaźni ludzkiej, żadnego nie przewidując niebezpieczeństwa, dziobały sobie z niecierpliwością okno, lub zbierały zabłąkane na przy murku okruchy; przez co dozwalały najspokojniej podejść się zblizka nieprzyjacielowi. A nie w tém dziwnego, bo przez pamięć dla zacnego kapłana, cały dom patrzył na te stworzonka, jak na świętą pozostałość po tym bogobojnym człowieku. Nikt też ptaszkom najmniejszej krzywdy nie wyrządził, nawet dzieci, srogo o to upominane przez rodziców, a tę skrzydlatą gromadkę zwano pospolicie *ptaszkami nieboszczyka*.

Padł fatalny strzał w kupkę i odrazu kilkanaście trupów położył, reszta z piskiem trwogi i żalu, jakby z płaczem, uleciała w niebo, na skargę do swojego dawnego dobroczyńcy. Szyby od strzału zadzwoniły i rozsypały się. Podstoli wszakże, niezadowolony sprawionym popłochem pomiędzy skrzydlatą rzeszą, a widząc że niektóre z ptaszków, nieoznajmione ze złością ludzką, na miejscu pozostawały, ponowiwszy strzał, dotknął reszty okien, domordował biednych maro-

derów, żywą czeredę rozproszył i zacięrając ręce, lubował się dziełem swojego okrucieństwa.

Kiedy to się działo, Hanulka tymczasem z dziecinki miłej, dojrzała na piękną, a z łaski opiekuna mądrą dziewczycę, a oplakawszy serdecznemi łzami swojego dobroczyńcę, pragnąc prócz żałoby niezatartej w sereu utrwalić dotykalnie pamięć po tym dobrym człeku, wyprosiła sobie u murgrabiego zamku jego izdebkę, której iż lichą była, nikt zająć nie śpieszył—i tam założyła sobie świątynkę, poświęconą czei zmarłego. Zachowała w tymże samym porządku nędzne jego sprzęciki, jak je pozostawił; corano przybywała, aby ład dawny zachowywać, pomodlić się za duszę zmarłego i nakarmić skrzydlatych jego gości, którzy przy nowej gospodyni zapomnieli o dawnym gospodarzu....

A może Hanulka przybywała i podumać o swoim oblubieńcu, odeczytywać dawne jego pisma do definitora, które dla lepszego przechowania i pamiętki pozostawiła na tém miejscu, gdzie je nieboszczyk przechowywał. Coraz droższemi stawały się dla niej te zabytki miłości, gdyż ze śmiercią pocziwego powiernika zakochanych urwała się korespondencya, tak droga dla oblubienicy; Michał bowiem nie miał już pisać do kogo ze star-

szych, a do dziewczyny nie śmiał, bowiem naówczas dzisiejsze tak zwane *billets doux* pomiędzy kochankami nie były jeszcze rozpowszechnione.

W izdebce, od której sama miała klucz i o niej staranie, bywała Hanulka częstym gościem, bo oprócz rannej powinności pożywy dla ptaszków, zabiegała tam na dumanie o miłym oddalonym; w każdą zaś większą uroczystość, dla lepszego odżywienia pamięci drogiego zmarłego, składała na jego kłęczniku, dochowanym starannie, wieniec kwiatów najpiękniejszych, na jakie pora roku zdobyć się mogła. Jakoż i w dzień nowego lata, chcąc przesłać powinszowanie duchowi ukochanego ojczaszka, zdobyła się na niezwyčajnie wspaniały wieniec, a uwiła go ze świeżych gałęzi jodły i świerku, przeplótnszy nieśmiertelnikami i dodawszy jeszcze parę letnich kwiatków, które z wielkiem staraniem w doniczkach wyhodowała.

Właśnie ukończyła dziewczyna to swoje arcydzieło pamiątkowego wianka, gdy owa burza rozszarpała się około fatalnego zajęcia, a wskutek tego w domek ich nieprzygotowany napłynęło tylu niespodzianych gości. Chociaż nie ukryły się przed jej bystrém okiem, a raczej rozmiłowaném sercem fatalne przejścia dnia tego, atoli powinność gospodyni domu, w zastępstwie chorej matki, zniewoliła ją do przygłuszenia trwogi i smutnych presentymentów.

Że szczupły dworek, pomimo szczerej gościnności, nie mógł pomieścić licznych łaskawych, ci zabawili się przy częstunku, jaki Bóg dał, i z brzaśkiem dziennym pożegnali uprzejmego gospodarza, nie szczędząc mu kondolencyi nad doznaną niesprawiedliwością i przyrzekając protekcją w razie potrzeby.

Po wyjeździe gości ojciec był chmurny. Pytał go o nie nie śmiała, lecz to ze słów gości, to z pochwyconych rozmów sług, kręcąc się przy gospodarstwie, Hanulka dosyć się dowiedziała, aby ulotne dotąd przeczucia przybrać w smutną rzeczywistości szatę.

Gdy zapłakała sobie w cichości nad smutną dolą, którą się nagle przed nią otwierała, dziewczynie nasunęły się mimowoli rozmaite myśli, w tém mniej więcej rozumieniu:

„Iść mi już do zamku nie wypada teraz, zanim Bóg łaskaw coś odmieni i zgodę między ojcami zesze.”

A lubo rozwaga głębsza potwierdzała to zdanie, jednak nasuwały się rozmaite zwalczające je argumenta.

„Tak, ale z drugiej strony za cóż biedne ptaszki głód cierpieć mają i jeszcze w tak wielką uroczystość jak dziś, a także w takie święto drogi duch ojezaszka nie ujrzałby zgóry wianka pamiętkowego... Nareszcie.... godzi się choć jeden

z jego dawnych liścików odczytać, aby i jemu oddalonemu momencik poświęcić.”

Dziewczyna westchnęła tak głęboko, iż gdybyś nawet nie wiedział, snadno byś odgadł, o czém myśli.

„Nie, tak pozostać nie może.... przemknę się niepostrzeżona i dopełnię świątych powinności, a nakoniec tatko podstoli (tak go bowiem zwała) choćby mię i widział, to mię przecie nie zje, a jeszcze do kolan mu się pokłonię i będę prosiła, żeby ojcowie tój zawiści zaniechali.”

Pełna otuchy i nadziei w sercu młodém a rozmiłowaném, dziewczyna, nie namyślając się długo, ponieważ wszyscy w domu po długim czuwaniu przy gościach spoczywali, a ranek choć jasny, był nieco mroźny, okryła rozmarzoną główkę rańtuchem, wianek wzięła do ręki i rączym krokiem przez góry, doliny a lasy, jak spłoszona sarenka, puściła się ku zamkowi.

Nic nie zdawała się widzieć przed sobą, tylko izdebkę drogiego nieboszczyka, zgłodniałe ptaszki, a może... kto tam serce dziewczęce zbada i odgadnie? może przedewszystkiém liściki potysiąc-kroć odczytywane. Wszakże pomimo zaprzątniętej myślimi i pośpiechem główki, nie mogła dziewczyna nie zwrócić uwagi na żerdź wznoszącą się ponad wierzchołkiem najwyższych drzew, z wiszącym na niej zajączkiem; lecz że tam się siła

ludzi skupiła, bo właśnie co ukończyli tę cudaeką robotę, wyminęła to miejsce przez boczną drożynkę, a na zapytanie, coby to być mogło, rychło nasunęła się jój w myśli odpowiedź:

„A, to zapewne jakiś zabobon łowiecki, których jest tyle. Może teraz wieszać będą dla postrachu, ażeby nie psowały kapusty, tak jak wieszają wilków, żeby szkody w oborzenie czyniły”.

I żerdź jój zesła z oczu i już nie myślała o niej więcej, bo pomiędzy sercem a główką przedły się jój dziwne mary: o izdebce, ptaszkach głodnych, a już to niezawodnie i o listach.

Lekką nóżką, w oka mgnieniu przeleciała przestrzeń pomiędzy dworkiem i pałacem; minęła już most, zwodzony *pro forma*, którego nikt nigdy od stworzenia świata nie zwodził i nie spuszczał. Przez dziedziniec zamkowy, słaniając się ostrożnie pomiędzy drzewa, biegła wprost do izdebki, celu swój serdecznej pielgrzymki — gdy wstrzymał ją strzał, niezwykły o tój porze. Przystanąła na chwilę, a popatrzywszy w stronę, z kąd huk dał się słyszeć, ujrzała iż onym strzelcem był sam podstoli, lecz co miał na celu, dla odległości rozpoznać nie mogła. Ukrywając się pomiędzy gęstemi szpalerami zamkowego dziedzińca, jednym skokiem zbliżyła się do upragnionj izdebki, a ze swojego ukrycia dokładnie ujrzała podstolego mierzącego do okna, rozpierzechnione ptactwo i potłuczone szyby.

Wtém padł strzał drugi.

Hanulka mimowoli oparła się o drzewo, tak ją ów widok niespodziany przeraził. Smutno niewypowiedzianie koło serca się jęć zrobiło. (Powiemy w nawiasie, że dzisiejsza panna niezawodnieby zemdląła lub spazmów dostała, lecz to dziewczę, chociaż młode i czułe, ale nerwy posiadało starszylacheckie, niełatwo ulegające modnym przypadłościom.)

Biędacze łzy tylko rzęsiste mimowoli trysnęły z oczu, na widok zburzenia téj drogiéj świątyni pamiątek, a morderstwa dokonanego na niewinnych stworzonkach, które ona poczytywała jako pośredników między niebem a ziemią, między nią, a duszą niezapomnianego ojczaszka.

Ukryta między drzewami, spoglądała z boleścią na to ohydne pastwienie się złośnika, widziała biędne ptaszki w konwulsyjnych drganiach konania. Tego już widoku przenieść nie mogąc, zabaczyła wszelakiéj trwogi i w niewinnéj myśli, iż stworzeniu Bożemu, drogim gościom nieodżałowanego ojczaszka nieść może pomoc, wybiegła z ukrycia, poczęła zbierać zakrwawione ptaszki, dające jeszcze znaki życia, a nie zważając na obecność podstolego, przykładala je do serca, starała się odżywić swoim oddechem.

Zapamiętały złośnik jakby skamieniał na ten niemy wyrzut okrucieństwa. Długo stał milczący,

patrzając na to wszystko, aż gniew wziął górę i zawołał surowo:

— Po co tu waćpanna i co robisz?

— Chcę powrócić do życia te biedne istotki, nad których męczarnią niezawodnie płacze w niebie święta dusza ojca definitora — odparła spokojnie i bez trwogi dziewczyna, nie podnosząc oczu na surowe oblicze podstolego i zajęta swém miłosierném dziełem.

— Idź sobie aśćka zkąd przychodzisz i proszę mię tu zostawić w spokoju — wyrzekł surowiej podstoli.

Dziewczyna, wznosząc na niego wzrok smutny, lecz nie trwożliwy, odrzekła:

— Będę posłuszną, jeżeli taka wola pana ojca...

— Proszę mię nie zwać „ojcem“ i wybić sobie z głowy wszelkie sentymta, które wiem do czego zmierzają — przerwał opryskliwie podstoli.

— Do woli jegomości — odpowiedziała dziewczyna poważnie, a nawet z pewną dumą, chociaż z zakrwawioném sercem, zabiierając się do odejścia; lecz po chwili snadź żal jej się czegoś zrobiło, bo dodała pokornie: — Prosiłabym ino, aby mi wolno było zabrać kilka pamiątek po nieboszczyku definitorze, które przekazane mi przez niego, tu zachowywałam.

— I owszem, jak się podoba, choćby i wszystkie te rupiecie — mruknął podstoli odwrócony, bo

już, pomimo złości, serca mu brakło pastwić się nad boleścią dziewczyny, i odszedł śpiesznie.

Pozostawszy sama, Hanulka weszła do téj swojej sponiewieranéj świątynki, a nie mając nad sobą oka ludzkiego, dała wolę łzom i ciężkiej boleści. Dotąd bowiem nie wiedziała, jak daleko szło poróżnienie się między ojcami, lecz teraz, niestety, ujrzała zerwaną nic ostatnią, łączącą ją widomie z duchem i pamięcią zacnego dobroczyńcy—widziała węzeł ich przyszłego szczęścia, związany jego pocziwą ręką, roztargany na zawsze.

Z sercem przepelnioném ciężkim smutkiem, ze łzami w oczach, weszła po raz ostatni do swéj sprofanowanéj świątyni. Ujrzawszy ją, śmielsze ptaszki, oglądając się czyli im nowe niebezpieczeństwo nie grozi, zlatwały się do rąk swéj karmicielki, a ona im wysypała cały zapas ziarna, mówiąc ze łzami:

— Moje biędne ptaszęta!.. *jédzcie, jédzcie*, bo już was tu karmić nie będę. Ale jest Ojciec niebieski, który was nie opuści. Oby i mnie biędną pocieszył w ciężkiém strapieniu!

Potém zajęła się staraniem około mniej poranionych ptaszków, otarła je śniegiem, ożywiła własnym oddechem, a zawinąwszy w rańtuch, złożyła w spokoju. Potém uklękła do modlitwy na klęczniku definitora. Nakoniec zebrała starannie skromne pamiątki, przekazane jéj przez zmarłego

przyjaciela i opiekuna. Składały się one z różańca, obrazka, suchej palmy i wianuszka z Bożego Ciała, oraz z większych kilku sprzętów prostych, których razem zabrać nie mogła. Zda się powiadać nie potrzeba, że listy znalazły miejsce na jej sercu, ciężką boleścią zranioném.

Wyrwała się prawie przemocą z tego ulubionego przybytku, do którego ją siła drogich wspomnień wiązała, i pobięła prosto na przyległy cmentarz, aby złożyć wianek na drogim grobie. Tam się długo modliła a płakała i dopiero odgłos dzwonka z dworku, wzywający na obiad, ocucił ją z uroczystego zapomnienia w modlitwie, tój jedynéj i prawdziwéj pociesze serc stroskanych.

XII.

Bohatkowa zagroda.

Na odgłos dzwonka dziewczyna, złożywszy wianek na grobie nieodżałowanego ojczaszka, przemyła śniegiem splakane oczęta, aby ślady łez zatrzyć, zebrała ptaszki poranione, inne bowiem, które się ocuciły i pozdrowiały, puściła na wolność — i szybkim krokiem skierowała się ku domowi.

Nim zdąży tam dziewczyna, przypatrzmy się zagrodzie Bohatkowej. Był to dworek skromny, z kilku izb złożony. Jak wszystkie domki szlacheckie pod słomianą strzechą, pokorniotko sobie wyglądał, szczególnie wobec wyniosłego zamku Bogatki, i jeżeli dworek czém jaśniał, to chyba niesłychaną czystością, tym jedynym zbytkiem i roz-

koszą ubogich. Otaczały go dokoła porządne gospodarskie zabudowania, a na nich leżało piętno sprężystej ręki stolnika.

Ale wnijdźmy do wnętrza, gdzie niemniej znać było czynną i dbałą rączkę Hanulki, która we wczesnym już dzieciństwie była gospodynią domu, matka bowiem, dając jej życie, wpadła w ciężką niemoc, która na resztę dni przykuła ją do łóżka boleści.

Pani skarbnikowa była niewiastą jeszcze dość młodą i wdzięcznej urody, ale utraciwszy moc w nogach, od kilkunastu lat nie wstawała z łóżka. Lecz ta długoletnia choroba miasto rozlać boleść i cierpkość na jej charakter, uczyniła ją słodsza, wyrozumialsza, łagodniejsza, a dość było spojrzeć na jej piękne oblicze, zawsze uśmiechnięte, rozjaśnione rezygnacją chrześcijańską, aby wspomnieć słowa mądrego definitora, który mawiał do niej:

— Człek cierpiący z Bogiem i w Bogu stokroć jest szczęśliwszy od opływającego w największych pomyślnościach.

Cierpiała też w Bogu niewiasta, a to cierpienie nietylko nie ujęło jej wdzięku, ale wyrobiło na tej twarzy pięknej wyraz rezygnacji anielskiej, która do jej przyrodzonej kraszy dodawała czarujący charakter słodczy.

Nie była też skarbnikowa ciężarem w domu, ale owszem pomocą: szyła, pracowała rozmaicie, a dziewczętkę swoją uczyła wszystkiego co sama umiała, to jest być miłą Bogu i pożyteczną bliźnim.

Ze swego łoża boleści, jakby z tronu, rządziła tym swoim małym państewkiem, a wszystkich podbijała niewyczerpaną słodyczą, łagodnością i mężstwem w cierpieniu; nawet butny i nieco szorstki charakter małżonka uginał się jak wosk pod tą drobną, schorowaną rączką, która wodziła go jak na pasku, ale na pasku miłości i starania o dobrobyt domu.

Zajrzyjmy do wnętrza tego państewka, gdzie szeroko władnęła słodycz i rezygnacya słabiej białogłowy. Z ganeczku o czterech słupkach, ocienionego konarami lip odwiecznych, jako schronienie od letnich skwarów, wchodziło się do dużej sieni, z czyściuchną podłogą ceglana, usypaną w lecie tatarakiem dla aromatu, a w zimie jodłowemi gałązkami. Ściany tej sieni zdobiła broń rozmaita, symetrycznie pozawieszana na rogach łosich i jelenich, w kącie, na wygodnym sienniku spoczywał sobie bryś stary, wysłużony, a zawsze wierny stróż i przyjaciel domu.

Na prawo z sieni, w dużej, widnej izbie, na łożu świecącym czystością, na pół leżała skarbnikowa. Korzecik śnieżnej białości, zpod którego

wyrywały się bujne włosy, okalały twarz regularnego owalu, a dwoje oczu, świecących spokojem i cierpliwością, nadawały całej tej postaci wyraz anielski. Ręce drobne, w ciągłym ruchu, zpod których jakby sypała się robota, nigdy nie złożyły się w bezczynności. Cały dom krążył koło niej; czeladź to wchodziła, to wychodziła. Drzwi też nieraz się rozwarły dla chorych i ubogich, a nikt ich za sobą nie zamknął, nie otrzymawszy wprzód porady lub pomocy.

Dwa duże, o czystych szybach okna izby, wychodziły na piękny wirydarzyk, który podtrzymywany gorliwem a serdecznem staraniem Hanulki, obfitował w lecie w przeróżne kwiaty barwne i woniejące, w zimie zaś kilka drzew i krzaków iglastych sładziło przymusowy smutek ogródka, a kwiaty i krzewy, w doniczkach pielęgnowane w izbie, rozweselały wzrok choréj. Wprost jéj łoża szerokie drzwi rozwiérały się do małej izdebki. Była to kapliczka domowa, jasna, czysta i uśmiechnięta. Obraz Boga Rodzicy bolesnej, otoczony śnieżnej białości firaneczkami, krucyfiks mosiężny, świecący czystością, w otoczeniu kwitnących krzewów, a obok nich stół pod świeżym obrusem. Na nim-to nieboszczyk defintor sprawował czasem świętą ofiarę dla pociechy i umocnienia choréj i na intencyą jéj uzdrowienia.

Zaprawdę, często to bywa, iż jedna istota słaba i bezsilna napozór w wątlęj ręce dzierży losy mocniejszych, a dzierżąc je miłością, poświęceniem, poddaniem się bez granic, nakłada zlekka na innych brzemie swęj niezłomnej woli, pod którą się każdy uchyli, ale nikt się ze znużeniem nie ugnie. Taką była skarbnikowa, dźwignia całej tęg szlacheckięj zagrody, cel miłości małej otaczając ją gromadki.

Pozostaje nam jeszcze do określenia rola skarbnikowęj, jako matki, w oném wczesném postanowieniu swęj jedynaczki. Naprzód widziała w tэм zapewnienie zgody i jedności zwaśnionych niekiedy braci. Oceniając zaś stateczność Michałka, jego przywiązanie do Hanulki, wytrwałość w przedsięwzięciu, chęć do nauki, wszystkie te przymioty młodzieńca uważała za rękojmię przyszłego szczęścia jedynaczki, i chociaż chętnie się skłaniała do tych zamysłów, widząc w nich życzenie swojego dziecka, jednak zamiast rozpalać wyobraźnię młodej dziewczyny, hamowała ją owszem, starała się zwracać umysł jęg wrażliwy na drogę czynu, zając zatrudnieniem domowém i wdroyć do powinności gospodyni.

— Moje dziecko—mawiała córce—jeżeli Bogu się podoba was połączyć, winnaś mężowi przywiązanie bez granic, posłuszeństwo, opiekę nad jego dobrem, lecz nie zaprzataj sobie głowy zby-

tnią czułością. Bóg jeden wie, co się jeszcze z tém stanie. Oboje młodzi jesteście i ta nadzieja może się zmienić, jój spełnienie może was ominąć; więc na każde możliwe rozczarowanie gotuj sobie pociechę, które kobieta znajduje w pokorném poddaniu się woli Boga i spełnianiu rzetelném obowiązków, jakie jój los przeznacza.

Ogłędna ta matka, nie rozbudzając sentymentalności dziewczyny, uczyniła ją gotową i przewidującą na wszelkie niespodziane katastrofy. Może znając burzliwy animusz podstolego, przeczuwała co zająć mogło, lub tylko chroniła córkę przed zbytniém, jakby dziś powiedziano, zdenerwowaniem, dość że nauczyła ją zdrowo i trzeźwo patrzeć na wszystko, oraz wierzyć w nietrwałość rzeczy ludzkich.

Do mądrych nauk matki dodawszy tę okoliczność, iż młodych główek nie podniecała wtedy do marzycielstwa i miłosnego heroizmu szkoła nowa francuzkich romansów — stało się to, cośmy widzieli, że chociaż nad straconą nadzieją dziewczyna gorzko zaboliała, jednak nie oddała się rozpaczcy i zniechęceniu do życia, szukając jedynęj skutecznej opieki w modlitwie.

Zadyszana, dobiegająca do domu Hanulka, spostrzegła ojca, stojącego w ganku. Ten widok rozwiął w nięj na chwilę dojmujący smutek, a natomiast trwogą ją napełnił; wiadomo bowiem, iż

surowość z zasady była ówczesnych ojców udziałem, skarbnik zaś nie stanowił wyjątku zpod ogólnego prawidła. Nieśmiało więc zbliżyła się do ganku, spuszczając wzrok bojaźliwie. Atoli zdziwiona, usłyszała głos łagodny ojca, który ozwał się niezwykle miękko, zabaczając nateraz wyjątkowej cechy narodowego charakteru, iż głód u Polaka złość wywołuje:

— A cóż to się aścka tak zabawiłaś, a nam tu głód po kiszkach plądruje?

— Chodziłam karmić ptaszki w mieszkaniu ojczaszka i...

— Niech tam je Ojciec niebieski już odtąd żywi, a ty, moja dziewczko, tego zaniechaj i nie chodź tam więcej — przerwał skarbnik namarszczony, czując zaś iż mimowoli opanowywać go poczynął gniew, który widocznie postanowił hamować, dodał łagodnie: — Ale widzę żeś nałapała także ptaszków.

A zbliżając się do zwitka, który dziewczyna trzymała, dodał:

— Cóż to, biedne ptaszyny poranione, któż to je tak pokrzywdził?

Dziewczyna, choć nierada była ujawnieniu tego, o czém chciała tylko matce zwierzyć się w tajemnicy, zapytana musiała opowiedzieć całe zajście z podstolim i jego strzały do „ptaszków nie-

boszczyka," a chociaż opowiadanie o ile możności mitygowała, nie chcąc rozjątrzać gniewu ojcowego, jednak na niewiele się to przydało, bo skarbnik krzyczał w pasyi:

— Zły to i lichy człek ten podstoli; nietylko ludzi nie pozostawi w spokoju, ale i nad niewinnem Bożem stworzeniem się znęca...

I dalej miotał przekleństwa i groźby, ale mu przerwała sługa oznajmieniem, iż misa jest na stole.

Skarbnik się umitygował i niemal wesoły zasiadł do stołu, a przynajmniej udawał iż jest swobodnego umysłu, z córką się przekomarzał i wcale nie czynił jej wymówki iż na czas się nie sta-wiła; zkąd wniosła sobie Hanulka, że ojciec oszczędzał ją, jako ponoszącą ciężką stratę, i wielce posmutniała.

Po obiedzie skarbnik miał we zwyczaju drze-mać sobie z luleczką, latem na ganku, a w porze zimowej w swojej kancelaryi, i nikt z domowych wtedy mu nie przerywał. Hanulka zwykle czas ten przepędzała z matką, do której teraz było jej pilno, aby przy sercu jej ukoić swoje zgryzoty.

Teraz, ledwie spojrzwały na siebie serdeczne niewiasty, gdy Hanulka wybuchła długo wstrzy-mywanym płaczem. Miłującej matki oczy także się zwilżyły i obie niewiasty, bez słów, łzami się

porozumiały. Przyciskając do łona drogą główkę dziecięcia, skarbnikowa przemówiła:

— Moje dziecię, przeznaczeniem to jest ludzkim, a témbardziej nas słabych niewiast, przeboleć mężnie ten udział frasunku, który podoba się Najwyższemu na nas zesłać. On-to w łasce Swój nieprzebranój dotyka, ale razem udziela siły do przeniesienia niedoli.

Dziewczyna wpatrzyła oczy z łez osychające w pogodne matki oblicze, jakby chciała tam odczytać złowieszcze znaczenie tych słów pociechy.

Matka dalej mówiła:

— Moje drogie dziecko, szczęście ludzkie, to jak struna naciągnięta na instrumencie, która nas zachwyca piękną melodyą, a potem pęka i nie po niej nie pozostaje, tylko strzępki do wyrzucenia.

-- Ach! mateczko, jam bardzo nieszczęśliwa! — przerwała Hanulka z załamanemi rękoma. — Czyliż tego gniewu ojców Bóg od nas nie odwróci?

— W Jego to świętej mocy, moja droga — pocieszała matka, krzepiąc się sama na duchu upadającym pod boleścią córki.

— Wczora jeszcze imépan namiestnik winszował mi, że Michałek na wiosnę już będzie oficerem, a ja tyle czasu czekałam na niego i sama mateczko powiedziałaś, że cierpliwie i odważnie.

Za cóż u samego kresu, do którego dążyłam wytrwale, Bóg mi taki zawód zsyła?...

— Nie bluźń, moje dziecko, Bóg wie najlepiej co robi, choć tego ludzki rozum nie ogarnia—rozpoczęła poważnie matka. — Pamiętasz co powiedział nasz nieodżałowany definitor, jak zapisano, iż błogosławiony kto wytrwa do końca? A jeżeli Bóg w tych twoich zamysłach nie widząc szczęścia dla ciebie, inny ci los przeznacza...

— O, mateczko droga, czyliżbym mogła złamać śluby czynione Michałkowi?... Nie, ja nie mam innego wyboru nad niego, albo nad klasztor—zawołała dziewczyna, tuląc splekaną główkę na łonie matczyném.

— Moje dziecko—odpowiedziała skarbnikowa poważnie—czyliż tu nie masz klasztoru przy starym ojcu i mnie niedołącznej? Skoro Bóg nas powoła, uczynisz jak będziesz rozumiała, a pewna jestem iż dobrze, po Bożemu poczniesz sobie. Nie grzész, oddając się niepomiernemu żalowi, bo jeżeli Bogu się podobało usunąć od ciebie uśmiech szczęścia, może ci je przywrócić... Dziś gniew ojców nieprzejednany, jutro może się w przyjaźń zamienić nanowo; któż to rozumem ogarnie, co mu przyszłość gotuje? Ale ja ci powiadam: nie upadaj na duchu, nie trać ufności w miłosierdzie Boże, albowiem szepce mi przecucie, że będziesz

sześliwa. Bóg mi to da, jako zapłatę za moje cierpienia, za tę długoletnią niemoc, którą mnie grzeszną nawiedzić raczył.

Tak przy ciepłe macierzyńskiej piersi oschnęły łzy dziecka i przełożenia rodzicielki wróciły Hanelce jeżeli nie utracony uśmiech, to przynajmniej otuchę w każdym frasunku, siłę wytrwania i spokój.

XIII.

Przygotowania.

Lubo skarbnikowa z głębi macierzyńskiego serca umiała przez siłę woli wysnuć pociechę na smutek córki, jednak sama była ciężko strapioną, bo przeczuwała iż sroga burza nad domem ich zawisła, znany był jej bowiem zacięty charakter podstolego i wiedziała, że niemniej małżonek jej, chociaż może nietyle zapalczywy, wszelako do ustępstwa był niełatwym, w sprytniej tedy główce niewieściej gotowała całe pasmo subtelnej taktyki, dla zażegnania nadchodzącej nawałnicy.

Jakoż nie omyliły jej przeczucia. Z nastaniem jutra, którego poprzedzającą noc każdy z mieszkańców dworku po swojemu, w trwożliwym czuwaniu przepędził, dowiedziano się, że podstoli

równy ze dniem udał się w daleką drogę, a także i to wiadomym było, że pojechał do grodu.

Skoro ta wieść doszła do dworku, skarbnik dom cały na nogi postawił. Wytoczono odwieczny koczobryk i dawnym zwyczajem koniom przeznaczonym do podróży krew puszczone. Krzątali się wszyscy, bo stała się rzecz niesłychana, niepraktykowana w tym domu: skarbnik wybierał się w dalszą drogę. Starzy słudzy nawet wiary dawać temu nie chcieli, od lat bowiem dziewiętnastu, od kiedy pan wrócił z młodą małżonką, nigdy nie wyjrzał za granicę wioski, chyba czasem parę razy do roku za kupnem niezbędnych produktów do sąsiedniego miasteczka i to jeszcze niezadko wyręczał się w tym podstarościm. Mając kościół w zamku, a kaplicę w domu, zaspokajał potrzeby duchowe, a co do cielesnych tak był skromny i niewybrédny, iż załatwiał je domowym przemysłem. Pilnował gospodarstwa, doglądał chorą żonę, a za rozrywkę aż nadto mu wystarczały ulubione łowy.

Skarbnikowa, chociaż nie ruszała się z miejsca, jednak nie się w domu nie stało, o czémby nie wiedziała, dając na wszystko pilne oko. I teraz więc, lubo niezawiadomiona o projektach małżonka przez niego samego, ale spełniając jego wolę, czynny brała udział w przygotowaniach; frasowała się téż niemi niepomału, widząc w tej

niezwyczajnej podróży zapowiedź gromów, jakie na dom spaść miały, a wznosząc błagalne oczy na swoją bolejącą patronkę Matkę Najświętszą, u Nięj szukała rady i pociechy.

Dawniejsza, że tak nazwę, etykieta małżeńska nie dozwalała żonom jawnego mieszania się w sprawę małżonków; musiały trzymać ciekawość swoją na wodzy, nie dopuszczać się zbytecznych zapytań, a wezwane tylko stawały do rady. Jeżeli więc zdarzało się, że niejedna biała rączka silnie dzierżyła wodze matrymonialnego rydwanu, poczyniała w tém sobie jako wielki statysta z polityką, bo z dawnymi mężami kierowanie choćby maleńką łódką domową wymagało biegłego sternika. Wiedziała skarbnikowa, że ostatnią poradę z jęj zamkniętych pokorą ust wywoła małżonek i lubo po parogodzinnych przygotowaniach Hanulka już rzeczy z polecenia matki sama ułożyła i uprzężony żwawą czwórką koczobryk podtoczył się pod ganek—matka z córką, odmawiając poranne pacierze, nawet pomiędzy sobą roztrząsać i domyślać się zamiarów ojca i męża nie śmiały.

Kiedy już wszystko do drogi było gotowe, rozkazy domowym i podstarościeму wydane, niewiasty, zawsze przy modlitwie, usłyszały kroki skarbnika, skierowane do izby małżonki. Hanulka, jako to było we zwyczaju, wyszła z izby, aby po-
ufnej rozmowie nie przeszkadzać.

Skarbnik, w podróżnym stroju, nadrabiając mi-
ną, niby swobodnie i rubasznie, wszedł do izby
i rozpoczął odrazu, widocznie chcąc się prędkiej
załatwić:

— Ano, moja panno, wyjeżdżam na dłuższy
czas...

Urwał jakoś nieśmiało.

„Dokąd i poco?” — nasuwałoby się z porządku
rzeczy pytanie; lecz tylko w myśli uczyniła je nie-
wiasta.

— Niechże jegomością Bóg prowadzi i Święci
Pańscy, a zachowują od wszelakięj złej przygo-
dy — wymówiła z westchnieniem, kręśląc w po-
wietrzu krzyżyk nad głową mężowską.

— I ja, moja panno, polecam się opiece Bo-
skiej... Może uda mi się prędkiej załatwić. Posta-
ram się długo nie bawić — mruknął skarbnik,
a przechadzając się po izbie, widocznie oczekiwał
zapytania, nieuczynionego dotąd przez żonę; lecz
gdy takowe nie następowało, odchrząknawszy
parę razy, dodał prawie nieśmiało:

— A wiész, jadę do grodu.

— Do grodu? — powtórzyła niewiasta bez zdzi-
wienia, jednym tonem, jakby echo.

— Ano do grodu — wołał, zapalając się mąż, —
tak, do grodu. Nie dam się przecie zjeść w kaszy
temu szelmie...

— Jegomość! — przerwała śpiesznie żona, ukazując mężowi drzwi otwarte od kaplicy, jako lekką przestrożę iż się zapomniał.

Skarbnik nieznacznie nakreślił krzyż wielkim palcem na piersi i skłonił głowę przed ołtarzem, a mitygując się z trudnością, mówił spokojniej:

— A wiesz, że pan podstoli pojechał do grodu?

— Pojechał?

— Rozpoczyna ze mną sprawę graniczną... ale zjé diabła...

Zacisnął skarbnik pięście, lecz spojrzawszy na obrazy, znów się przeżegnał, i nie dokończywszy, rozpoczął z przymusowym spokojem:

— Sama powiedz, moja panno, czyli mogę tu siedzieć z założonemi rękoma, kiedy ten...

I znów stanęła mu na przeszkodzie ta kaplica.

— Cóż ty na to, moja panno?

— Jegomość wie lepiej co robić; te sprawy to nie nasza białogłowska rzecz, ja tylko modlić się będę; aby Bóg cię zachował w dobrém zdrowiu.

— I ja, moja miła panno, za przybyciem do grodu, dam na mszę św. na twoją intencją, aby Bóg raczył ci zdrowie powrócić.

Łzy staremu po tych słowach zakręciły się w oczach i widocznie już był rozbrojony; usiadł przy żonie, białą jej rękę tulił w szorstkich dłoniach i prawil niemal zalotnie:

— Powiedz-no mi, moja Marynko, ty co masz główkę nie do pozłoty. Muszę przecie jechać do grodu, bronić się, bo chodzi tu o mienie naszego dziecka.

— Od czego bronić się, bo ja nie rozumiem.

— Podstoli pojechał do grodu, grozi mi procesem granicznym.

— Przecie niéma jeszcze pozwu i sprawa nie rozpoczęta.

— To ja ją rozpocznę—wrzasnął znów skarbnik w gniewie.—Ja mu pokażę, co to zające na słupach wieszać, ja sam powieszę tego psubrata!..

Kobięta znów ukazała drzwi od kaplicy rozwarne.

Skarbnik złagodniał.

— Powiedz-że sama, Marychno, czy jako dobry ojciec, mogę czynić inaczej?... Czy nieprawda, że gdyby mnie nie było, samabyś tak postąpiła? Powiedz!

I znów ujawszy czule rękę żony, czekał jej odpowiedzi, jakby najwyższego wyroku.

— Nie mam ja innej woli nad twoją, na tom ślubowała przed Bogiem, i co uczynisz, byle z chwałą Bożą, dla mnie dobre będzie, ale gdyby to odemnie zależało, inaczejbym sobie poczynała.

— Ano radbym wiedział, coby ta mądra główka myślała—rzekł skarbnik rozbrojony, dotyka-

jąc ustami, przez sumiaste wąsy, białego czoła małżonki.

— Wzięłabym najlepszych obrońców...

— Jakich?... mów! — krzyknął skarbnik uradowany, że małżonka, w której rozum ufał, udziela mu dobrej rady. — Kogożbyś wzięła; powiedz, może znasz jakiego dobrego jurystę?

— Pana Jezusa i Matkę Jego Najświętszą — wymówiła kobieta uroczyście, wznosząc oczy na ołtarz kaplicy.

Skarbnik, tak zagadnięty, oniemiał, jako sam pobożny, i mimowoli zwrócił wzrok na święte wizerunki.

— Słusznie to jest i prawdziwie po chrześcijańsku — rzekł po chwili, już dobrze ochłonięty z pierwszego gniewu — ale powiedz sama, czyli godzi się nam ręce w tej sprawie opuszczać? Przecie mamy dziecko i jej to dobra pilnuję.

— Czyliż to jej dobro?... Ona biedaczka tyle lat czeka na swojego narzeczonego, a wasza niezgoda wydzięra jej to jedyne dobro, którego pragnie.

— Ej! co tam amory, moja panno!

— Nie amory, jegomość, ale miłość prawdziwa, ślubowana przed Bogiem za naszym zezwoleniem. Cóż jej po tym, jeżeli jej wygrasz choćby włókę ziemi, a zniszczysz na całe życie nadzieje młodego serca?

— No, a jeżeli podstoli nam co zabierze?

— To mu oddamy.

— O, niedoczekanie jego!...

— Mitygujcie się, jegomość, bo nasz obrońca jeszcze się rozgniewa — przerwała uśmiechnięta kobieta, ukazując kaplicę.

— Ano powiedz sama, moja panno, że to wstyd jakoś przegrać sprawę.

— Nie przegramy przy takich obrońcach.

— Ano to tak; ale jak powiadają, strzeżonego Pan Bóg strzeże, a cóż gdy nie pilnując się, utracimy kawał ziemi?

— Chociażby i połowę i całą, zawsze jeszcze zostanie nam na nasze skromne życie więcej niż trzeba. Przecie tyle mamy ziemi, iż jój uprawić nie jesteśmy w możności, a nakoniec jest tam moje szczupłe wiano. I z témbyśmy żyć mogli, a dziecku naszemu choćbyśmy zostawili niezmierzone obszary, jeszcze jój lez nie obetrzemy po téj stracie, którą przez całe życie oplakiwać będzie.

Nastąpiło potem milczenie. Skarbnik, zamyślony, przemierzał izbę szérokimi krokami, aż z téj zadumy wyrwał go turkot powozu. Woźnica objeżdżał po dziedzińcu niecierpliwiające się konie.

Skarbnik stanął przed żoną, a topiąc w nią wzrok miłosny, pytał prawie z dziecięcą pokorą:

— Może to i dobrze powiedziałaś, moja panno; ale konie zaprzężone, wszystko gotowe, trzeba jechać, ażeby ludzi nie bałamucić.

— Czy tylko dlatego?—spytała uśmiechnięta niewiasta.

— Ba, żeby mi kto poradził—ozwał się mąż, wtórując uśmiechowi żony.

— Najlepiej poradź się swojego obrońcy... A może jegomość nie odmówiłś dziś swoich sodalisowskich pacierzy, a to sobota?

— Ano, co prawda nie. Przygotowując się do drogi, nie miałem czasu; zmówiłem tylko „Ojcze nasz.”

— A możnaż tak się puszczać w drogę?

— Pozwól, moja panno, w twojem oratoryum tego dopełnić.

Wszedł skarbnik do kaplicy, ukląkł u stopni ołtarza i gorliwie rozpoczął długie sodalisowskie oficyum.

Skarbnikowa oczy radosnych łez pełne wzniosła na ołtarz i gorące błagania do modlitwy męża dołączyła.

Skarbnik bił się w piersi, a modlił, nie słysząc nawet, że niecierpliwy woźnica przejeżdżał wciąż po dziedzińcu konie.

Po godzinie prawie modlitwy, wstał skarbnik, jakby odrodzony, spokojny i niegniębny; ale

sam już nie wiedział od czego zacząć i jaki rzeczom dać obrót.

Żona, widząc go rozbrojonym, już teraz śmielej natarła, pytając z uśmiechem:

— Jakaż tedy jegomości obrońca dał radę?

— Tak mu się zasługujesz, moja panno, przez całe życie, że za tobą pociągnął... Ale cóż z temi końmi i ludźmi?...

— Pozwól że to wezmę na siebie.

Skarbnik skinął głową, na znak zezwolenia.

Małżonka poruszyła mały dzwonek przy niej się znajdujący i ozwała się do wbiegającej Hanulki:

— Powiedz, moje dziecko, Grzesiowi, że pan ojciec nie jedzie, a że ludziska, gotując się w podróż, wcześniej wstali i napracowali się, daj im po czarce anyżówki i po śledziu, bo to dzień postny.

Hanulka wybiegła, uradowana z nowego postanowienia. Skarbnik zaś, niemniej zadowolony, obsypując żonę pieścizotami, mówił wesoło:

— Otóż te podwiki, o których powiadają że włos długi, a rozum krótki, jak wszystko subtelnie umieją skombinować i sprawić wedle przypowieści, iż wilk syty i owca cała.

Długo jeszcze śmieli się i przekomarzali małżonkowie, a zapomnieli nawet, że podstoli żyje na świecie.

Zaledwie skarbnikowa wniosła pokój w rozburzony umysł małżonka, córka pośpieszyła po swoją część pociechy, a rzucając się na szyję matki, ze łzami rzekła:

— Najdroższa matuniu! niech ci Bóg nagrodzi, żeś umitygowała pasyą pana ojca, bom się setnie obawiała, aby gorzej nie rozburzył gniewu jmp. podstolego... Ach! ja go się tak boję, matulu, on taki impetyk! Gdybyście widzieli, jak on Nielitośnie ptaszki biędne nieboszczyka mordował...

W tém miejscu łkanie przerwało mowę dziewczyny.

— A jak mnie ofuknął—dodała z drzeniem.

— Ej! czy to warto bać się kogo na świecie? Chyba Boga jednego i to dla źle czyniących. Bez woli Jego świętej włos nam z głowy nie spadnie. I ty, moje dziecko, ufaj Opatrzności, że się wszystko przemieni i nie będziesz miała po czém płakać.

— Jak tam się Bogu podoba, ja swoją boleść oplacę i Jemu poświęcę, na intencją najdroższych rodziców, byle wam, mateńko, zdrowie wróciło i pokój doma panował—odparła dziewczyna z rezygnacją, zsuwając się do nóg matki.

— A ja ci powiem, Hanulko moja — prawila, otulając pieścotami głowę dziecięcia — że jeśli moja taktyka dalej się tak powiedzie i jeżeli w ojcu niechęć a rankor ku podstolemu umityguję, to choć ten w swęj passyi będzie dziwy nie-

słychane wyprawiał, wkrótce, nie znajdując podburzenia swęj złości, sam jęj zaniecha i...

Tu matka z umysłu przerwała, lubując się oczami córki, które żarzyły się nadzieją.

— I... i... matulu jedyna!... — zawołało radośnie dziewczę, klaszcząc w dłonie.

— I jeżeli tylko Bogu się spodoba, staniecie z Michałkiem na kobiercu.

Matka z córką splotły się w miłosnym uścisku, który umacniała nadzieja.

Byłaż to prawdziwa Boża zagroda, nad którą panował taki anioł pokoju i cierpliwości, jak ona chora niewiasta, siejąca dokoła siebie radę i opiekę.

XIV.

Kondescensya.

Z podstolim nie udamy się do grodu, nie będziemy się rozpatrywali we wszystkich jego zabiegach, podstępach i sidłach, jakie zamierzył stawić swojemu przeciwnikowi, a jeszcze przed zachodem dwóch słońc swatowi i przyjacielowi. Zadalekoby nas ta drobiazgowość zaprowadziła, a dotego bez potrzeby, bo nie wdając się w szczegóły, wkrótce obaczymy skutki gniównych zamachów podstolego.

Na owe czasy jasność i zrozumiałość prawa, czynność obrońców sądowych, nie były tak rozpowszechnione jak dzisiaj. Wtedy każdy sam sobie, jeżeli zdrowy na ciele i umyśle, był obrońcą; za chorych zaś, niezdolnych lub białogłowy,

stawał przyjazny sąsiad, ustanowiony prokuratorem, i w krótkich słowach wypowiadał co wiedział.

Jednak jurowie i prawniczekowie nędnie traktowali swe rzemiosło, trzymając się przy trybunałach spraw magnackich, w których się zdarzyły takie i owakie dorobki, a jeżeli coś niezwyčajnego wyskoczyło w grodzie lub ziemstwie i raz na długie lata zdarzyła się tłustsza pożywa, toż biegli na wyprzódki, aby ją pochwycić. Do takich zaś akcydensów nadawały się najlącniej sprawy graniczne, jak owa, którą wielkim miechem miał rozdmuchać podstoli.

Jakoż w parę tygodni wrócił on z grodu, otoczony całą zgrają przeróżnych jurów, a prócz nich nowi jak zpod ziemi wyrastali. Luszyk był na zamku, wino się lało, a prawnikowie jeden przed drugim wysadzali się na coraz szumniejsze sperandy.

— Jak mi Bóg miły, większą połowę gruntu dzierżą Bohatkowie przez setki lat nieprawnie; oddadzą z kalkulacją—prawił jeden.

Drugi zaś powiedział:

— Wszystko dzierżą bez fundamentu. Odbierzem, mosanie, i zlicytujem aż do poduszki.

A trzeci jeszcze lepiej:

— Zadamy, mosterdzieju, *imparitas*, bo to ono „h” w nazwisku pachnie chłopstwem, i jeszcze zabierzem ich w poddaństwo.

I tak pletli co im ślina, a raczój kufel niósł do gęby.

Podstoli zaś rósł w swój zawiści, płacił i hojnie podejmował.

A zajączek, ta groźba wielona, ogryziony przez drapieżne ptactwo, chwiał się już nagim szkieletem na wysokości.

Tymczasem spokoju skarbnika nie zaburzyło, czuwał bowiem nad nią ów anioł opiekuńczy; jedna tylko Hanulka czasem upadła na duchu, lecz i ją matka umocnić potrafiła.

Lubo prawniczkanie, nie znajdujący już dostępu do podstolego, próbowali szczęścia u skarbnika, wszystko to było napróżno. Jeden i drugi, tentując, czyli mu się tam jaka grzanka nie upieczce, zajrzał do skarbnika i molestował:

— Mości skarbniku, trzeba wezas myśleć o obronie. Widzisz jegomość, co tam jurów najechało do waszego antagonisty. Ale znam ich: to wszystko kauzyperdy, partacze, trybunalskim nie poradzą, a masz jegomość wiedziéć, iż jestem trybunalczyk i skoro się wezmę do rzeczy, asekuruję na sumienie, że podstolemu wszystko zabierzemy i puścimy go z kwitkiem, a do dwóch tygodni waszmość na zamku osadzę... i t. d.

Wszelkie te jednak propozycye, a miał ich siła, zbywał skarbnik jednakowo, co mu przysporzyło dobrego humoru i animuszu:

— Setniem wdzięczeń waszmości za łaskawe chęci, ale z takowych nie omieszkałbym korzystać, gdybym już nie zaopatrzył się w patrona.

— A może to który z tych tuzów trybunalskich? Dowierzać im, mosanie, nie można, bo jeżeli nie zaśpią sprawy, to gotowi sprzedać.

— Uczciwszy godność waćpana, lepszym jest od waszmości i od tych wszystkich, co objadają podstolego.

— To chyba jeden Baczyński z Lublina; ale nie urażając honoru jegomości, tego się setkami nie płaci.

— Ale Baczyńskiemu daleko do niego, choć żadnych kosztów nie likwiduje. Jeżeli wola, pofatyguj się jegomość owo do tej izby, pokłonić się mojemu wielkiemu obrońcy.

I prowadził zdumionego gościa do alkierza żony i pokłonił się głęboko przed obrazem Zbawiciela, mówiąc:

— A cóż, czyli znasz waść lepszego patrona, chociażby samego Baczyńskiego?

Jur skonfundowany odchodził, skarbnik zaś zawsze nabięrał otuchy i humoru, kiedy przybywającego kauzyperdę odprawił tą pobożną krotofilą, a i małżonka odezuwała jego humor, widząc męża swobodnym i niedzielącym pasyi przeciwnika.

Kiedy się to działo w obu nieprzyjaznych zagrodach, jurowie podstolego, nie zasypiając gruszek w popiele, latali do grodu i gdzie trzeba było, aby zawisła nad sąsiadami chmurę w nawałnicę przemienić, i skoro z wiosną wody opadły, a pora się nadawała do rozgraniczenia skarbnika zapozwano, aby razem z dokumentami *possessionis* stawił się na kondescensyą (1) podkomorską.

Słowo dla naszej opowieści niemałej wagi o sądach podkomorskich. Takowe składały się z podkomorzego, obieranego przez szlachtę właściwego województwa, powiatu lub ziemi, którego król z podanych sobie czterech kandydatów zatwierdzał. O ile szlachta za ważny poczytywała ten urząd, mamy w tém dowód, iż podkomorzego tytułowano zazwyczaj *princeps nobilitatis*. Przy

(1) *Kondescensyą* w ogólnem znaczeniu zwała się delegacya jakiegobądź sądu, na zewnątrz zwykłej jego rezydencyi. Bywały rozmaite kondescensye naznaczone od sejmu dla załatwienia sporów w najwyższej instancyi, lub przez trybunał nakazane, a przez sądy grodzkie wykonane, nakoniec przez też sądy zawyrokovane i dopełnione i t. p. Wszystkie one działały z równą prawomocnością, każdej jurysdykcyi właściwą. Sądy zaś podkomorskie, jako wyłącznie do rozgraniczenia służące, z natury swojej odbywały prawie zawsze czynności przez kondescensyą, t. j. zjeżdżając na grunt.

zagęszczonych téż dawniej sporach granicznych, nieradko od mądrości i sposobu działania tego urzędnika zgoda sąsiedzka, mienie i spokój całych rodzin zawisły. Podkomorzy do pomocy obierał sobie ze szlachty osiadłej dwóch tak zwanych limitantów, inaczej komorników, którzy z nim jurysdykcyą stanowili, wrazie zaś choroby lub niemożności stawienia się, w imieniu jego działali z urzędu.

Wyznać musimy, iż przy ważności i znacznej liczbie spraw granicznych, prawo lekceważyło nieco tę jurysdykcyą. Już sami komornicy, wyznaczani dowolnie przez podkomorzego, rekrutowali się najczęściej z drobnych właścicieli ziemskich szukających w urzędzie zarobku. Nieradko podkomorzy wyznaczał na ten urząd dawnych swoich oficyalistów ze szlachty, których, jako oswojonych z gospodarstwem wiejskiem, poczytywał za zdolnych pomocników; niekiedy znów palestrancik, niemający spraw, wyszachrował sobie szmat jaki taki ziemi, dla tytułu posesyonata, i pchał się na urząd ten, aby się na nim obłowić. Przyznać zresztą trzeba, że często i wybór bywał trudny, albowiem zamożniejsza szlachta, wiedzioną grubym przesądem, poczytywała sobie za dyshonor spełnianie urzędów nieobiężalnych i zależność od jednej osoby. Dodać jeszcze do téj wadliwości prawa można, że przy mnogości spraw

granicznych, podkomorzy z dwoma komornikami wydolać nie mógł na powiat lub ziemię, a często na całe województwo, jak to się w Litwie działo(1). Również wadliwy był sposób w jaki się ów sąd odbywał, na fundamencie dokumentów, które wiadomo jak w dawnych wiekach ciemno były pisane, lub słuchania starych ludzi. Planów porządnych dzisiejszych nie znano; niekiedy sporządzali je sami komornicy, lecz żał się Boże co to były za mapy. Mam jedną pod ręką, przed stoma laty sporządzoną. Jest to arkusz papieru grubego, zabazgrany kropkami i liniami, bez stopni i wyjaśnienia znaków, a o różnaitości kolorów nikt nawet nie pomyślał.

Wybacz, czytelniku, nieodzowne to prawie odbieżenie od rzeczy, do której nanowo pośpieszamy. Pewnego poranku skarbnik siedział sobie przy łożu małżonki, dysputując o rozmaitych gospodarskich sprawach, gdy dojrzał iż przez wirydarz pod oknami skradała się pomiędzy drzewami jakaś niepoczesna figura. Nim skarbnik przez

(1) Wprawdzie pozwalało prawo na Litwie, ciwunom, rotą podkomorską przysięgłym, sprawy graniczne rozstrzygać i każdemu jednego komornika mianować, lecz i to nie było wystarczającym.

otwarte okno miał czas zapytać co zacz i czego żądał, pod nogi padł mu papier, a raczej drzazga owinięta w kawałek papieru, rzucający zaś płot przesadził i co tchu zmykał przez zarośla.

Gdyby skarbnik nie był taki domator, łatwoby się dorozumiał, co znaczyło owo tajemnicze pisanie. Wszakże odrazu nie zebrał myśli i po chwili dopiero wrzasnął na całe gardło:

— Łapaj! trzymaj!

Lecz że ludzie byli przy robocie i nikogo nie miał pod ręką, ów podejrzany zdołał zemknąć, a skarbnik troskliwie zwrócił się do żony.

— Ażaliś się nie przestraszyła, moja ty niebogo?

— Czego? To zapewne chłopaki rzucają na siebie drewnkami i któreś aż tu wpadło—odparła spokojnie skarbnikowa.

— Gdzie zaś, na własne oczy widziałem, że to jakiś obdartus, a umykał jak zając. Ale obaczmy, może ten papier co ważnego zawiera?

Rozwinął go starannie skarbnik i czytał, a czytał długo, oczy przecierał, to znów się do światła obracał. Po chwili zaś, kiedy już zdawał się lepiej pojmować, policzki mu zagorzały gniewem i oczy się iskrzyły.

Skarbnikowa, z trwogą spoglądając na męża, ozwała się z niepokojem:

— Co ci jest?.. uspokuj się!.. Co to za papier?

— Pozew!—chrypliwym głosem ryknął skarbnik, rzucając z całej siły papier na ziemię.

Co prawda, z samego sposobu wręczenia tego dokumentu mógł się domyśleć o jego zawartości, gdyż do podobnych strategicznych wybiegów uciekali się woźni sądowi przy wręczaniu pozwów, osobliwie jeżeli strony były zażarte, jak tu można było przypuszczać. Bo chociaż woźnych jako urzędników sądowych prawo zasłaniało od wszelkich krzywd i za pogwałcenie ich osoby karało, to zawsze pomimo iż gwałtownik odsiedział więzę i grzywną opłacił swój impet, nie odlepiło się biędakowi, co mu nieraz przylepiono. Ztąd przeto zrodziła się owa przezorność w podawaniu tych cierpkich pigulek, zwanych pozwami.

— Otóż masz, doczekałem się! Ten łotr śmie mi pozew przysyłać!—krzyknął skarbnik, miotając się w gniewie.

Kobięta posmutniała, widząc iż nowe trudności do zwalczenia ma przed sobą, i wymówiła łagodnie:

— Przecie to było do przewidzenia. Niedarmo pan podstoli konferował ze swoimi prawnikami, a siła ich tam nazbięrał.

— Tak, ale ja tymczasem, jak negus jaki, ręce opuściłem i owóz są skutki. Pozywaję mnie, abym się stawił za trzy dni na kondescensyą... Ja się stawię... tak, stawię się, ale im głowy rozmiażdżę,

począwszy od samego podstolego... Co to mnie pytać o dokumenta, kiedy tu siedzę od dziada, pradziada... ciskać mi jakieś pozwy przez okno na wiórach...

To mówiąc, papier leżący na ziemi kopał nogami, a potem dodał:

— Masz tedy jejmość swoje rady. A chciałem przecie jechać do grodu, bo to zawsze szlachetniej być pozywającym, niż pozwanym... Jakes tedy namotała ten kłębek, tak teraz go rozplątaj. Ja wiem tyle, że im lby porozwalam! — zakończył z pasyą.

— Przecie jegomość masz swego obrońcę, on nam zginać nie da—ozwała się słodko niewiasta.

— Otóż właśnie źle jest, zem tych wszystkich stawiających się tu kauzyperdów napędził; trzeba było chociaż jednego zatrzymać, bo jak tu sobie z tym szpargałem poradzić?

Po tych słowach znów kopnął nogą papier na podłodze.

— Nie bluźnij, mój jegomość—ozwała się z łagodną perswazyą niewiasta—przecież masz wielkiego obrońcę, który cię nie opuści.

To powiedziawszy, wskazała na obraz Zbawiciela w kapliczce, dodając:

— Wielki to i święty obrońca, który świat cały własną męką i śmiercią od zatracenia w grzechu obronił, i dlaczegóżby miał nas opuścić?

— A prawda, moja panno, *mea culpa!*.. Gdzież to ja miałem głowę? — zawołał uradowany skarbnik, podejmując z ziemi ów papier. — Masz racya, moja panno, Ten nam będzie najlepszym obrońcą, najsilniejszą tarczą.

Wszedł do kaplicy, a ukląkłszy przed obrazem, modlił się długo i gorąco. Powstawszy zaś spokojny i pokrzepiony modlitwą, złożył pozew przed obrazem i rzekł uroczystym głosem:

— Ciebie, Synu Boży i Matkę Twoją Najświętszą, Przekzystą Pannę, stanowią jedynymi prokuratorami w téj mojej sprawie; innych obrońców nad Was mieć nie chcę, i nie będę nominował, a wszystko coby mnie spotkało przy Waszym świętym patronacie, chociażby i dotkliwe straty, przyjmę z poddaniem się chrześcijańskiem i bez szemrania, ofiarując na intencją zbawienia grzesznej mojej duszy.

Po téj modlitwie i niejako solenném ustanowieniu tego wysokiego, a niezwykłego patronatu, wyszedł skarbnik z oratoryum, pokrzepiony na duchu, spokojny, a niemal tryumfujący, jakby już sprawę wygrał, do żony zaś prawił wesoło:

— Moja panno, powiedziano przecie, czemu wierzę niezachwianie: *Si Deus nobiscum, quis contra nos?* Ale prawda, nie umiesz po łacinie, to znaczy: „jeżeli Bóg z nami, któż przeciw nam?” Teraz i stu takich podstolich, razem z kauzyper-

dami wszystkich trybunałów całego świata, nie mi nie zrobią.

Cieszyli się sobie skarbnik z małżonką i pokój, na chwilę zakłócony, znów zapanował we dworku, tak iż podstoli, poglądujący z wysokości zamku na wrogą zagrodę, dziwował się iż żadnych tam przygotowań nie czyniono; doznawał nawet ztąd niepokoju, suponując iż mają tam jakąś dzielną obronę, gdy wobec grożącej burzy tak cicho siedzą.

Podczas gdy zagroda skarbnikowa w błogim była spokoju, wcale inaczéj działo się u podstolego, który gotował wielkie przyjęcie na przybycie kondescensyi.

Wiedziéć téż trzeba, czém to były kondescensye w owe czasy; krótko mówiąc, każda z nich była okazją do zabawy i hulanki, a krom członków urzędowych, obrońców i świadków, sprowadzała roje pasibrzuchów, radych pożywić się cudzym sumptem.

Zazwyczaj kondescensye odbywały się po dworach szlacheckich, w pomieszkaniu powoda, który o wygodach i traktamencie zjazdu myśleć musiał, wszakże jeżeli strony zadaleko w kontrowersyi zabrnęły, a ztąd zjawiała się trudność sprowadzenia ich razem, przytém aby od żadnej ze stron sędziowie nie przenosili zarzutu tak zwanego chlebowadstwa—natenczas kondescensyą odbywa-

no na miejscu sporném w polu. Ponieważ ta kon- syderacya w obecnej sprawie zachodziła, więc skarbnik z okien swojego dworku patrzył na roz- bite mnogie namioty, u kołków przywiązane ko- nie, palone ognie, rozstawione stoły sędziowskie i biesiadnicze; zgoła kondescensya przybrała po- stać obozu, mieszczącego setki ludzi i koni. A gwarno tam było i wesoło: całe woły pieczono, beczki z zamku nieustannie przytaczano, a pod- czas obiadu żydkowie przygrywali dla rozwesele- nia członków kondescensyi, oraz luźnych gości i widzów, na których nie brakło.

Podkomorzy tej ziemi był to człek zacny, w sprawie publicznej dobrze zasłużony, ale dziś już zgrzybiały starzec. Obierany na urząd dla ogólnego szacunku i dawnych zasług, z domu pra- wie nie wychylając się, wyręczał się komornikiem M., który razem z pisarzem akt podkomorskich tej kondescensyi przewodniczył. A był-to niegdyś podstarości podkomorzego, który trzymając z ju- rystami, bogacił się cudzą krzywdą, a nawet ja- koś *male parta* u niego według przysłowia *nie poszły do czarta*, bo jego potomkowie do dziś, już z tytułem hrabiowskim, panoszą się sobie w najlep- sze z tej *uczciwej* pracy antenata.

Skarbnik, ustanowiwszy, jakeśmy widzieli, tak niezwyčajną prokuratorją w swój sprawie, nie stawil się na pozew, do czego miał prawo, nie

będąc powodem, a dawał znać przez to, że bronić się nie myśli i na kondescensyą zdaje swą obronę.

Więcej im też nie trzeba było, dla dogodzenia bogatszemu klientowi, który łapy smarował. A nie śpieszyli ze sprawą, bo huczno było i wesoło w tym kondescensyjnym oboziku, a tak się roz hulali, że nawet zjawiły się w obozie żony i córki panów jurystów i baliki sobie wyprawiano. Była to kondescencya jedna z pamiętniejszych w ziemi łomżyńskiej.

Po kilku tygodniach uctowania, gdy już przyjść nakoniec musiano do samej sprawy, bez trudności ją przeprowadzono. Ilu było gości, tylu prawie stanęło świadków ze szlachty, kontyngens zaś ich dopełnił się chłopami, którym obficie wytaczano beczki z piwem i gorzałką.

Nie wdamy się w szczegóły przebiegu sprawy, której skutek był taki, jak go oglądaliśmy na początku tej opowieści w onych kopcach i szerokiej fosie, usypanej opodal poza dawną granicą, na ziemi skarbnika.

I kondescensya, po jakim miesiącu wesołego żywota, rozjechała się.

XV.

Po kondescensyi.

Skarbnik, zwierzywszy swoją obronę Panu Jezusowi i Najświętszej Pannie, utracił wprawdzie spory szmat ziemi, ale podtrzymywany, a umocniany spokojem i rezygnacją małżonki, nie sobie tego nie ważył, owszem, mawiał wesoło:

— Już to prawda, że Bóg jeden wie czego człowiekowi potrzeba. Moi też święci obrońcy dobrze się spisali, bo chociaż mi odpadł kęs gruntu, ale to jałowy i nie wiedziałem co z nim począć; więcej się wkładało w uprawę, niż zbierało ziarna. A teraz całą siłę gospodarską na pozostałą ziemię zwrócę, a nawet i inwentarz zmniejszę... Zysk oczywisty.

Podczas gdy skarbnik z filozoficzną obojętnością przenosił swoją krzywdę, nic jej sobie nie

ważąc, podstoli, choć wygrany, martwił się i morderfikował swoim tryumfem. Nie był rad tój gładkiej drodze, po której toczyły się jego gniew i zawiść, ani tój obojętności swojego antagonisty. On oglądał się za jakimś oporem, wyczekiwał zaczepki, burdy; on chętnieby się wykrzesał w pałasze, a potém chociażby paść w ramiona przeciwnika. Ale ta obojętność go męczyła. Taką to jest natura gniewu ludzkiego, iż niezawsze rada idzie szerokim gościńcem, owszem, chętnie nieraz spotkałaby się z trudnościami do przewyciężenia, z opozycją. A cóż dopiero mówić o butnym szlachcicu, który tyle się nakłopotał i poniósł więcej kosztów nad wartość wygranój ziemi, gdy widział gniew swój i zemstę upadające w niwecz, dla braku podniety.

Rozjechała się huczna kondescensya, którą się obalamucal podstoli; kopce usypali, fosy przetrzęli, słupy zakopali, a poza nimi został on sam, opuszczony przez poważnych sąsiadów i pogardzony od ludzi statecznych za to, iż zaszéroko puścił wodze nieszlachetnej samowoli i zemście. Sam się tedy jak dziecko zapalał własnym gniewem, nie znajdując podsycenia onego w uporze lub zaczepce, a widząc bezskuteczność swoich zabiegów, starał się wynajdywać coraz nowe powody do podburzenia nieprzełamanej apatyi skarbnika.

Jak na złość podstolemu, żerdź onę, na której szkielet zajęczka się kołysał, wywróciła burza. Podstoli wziął tę okoliczność za asumpt nowój dokuczliwości względem przeciwnika. Próbując, azali tēm jego obojętności nie złamie, sprowadził rzemieślników, wznosił dużą kolumnę ciosową na miejsce upadłej żerdzi, a jakiś mistrz-snycerz osadził mu na wierzchołku kamiennego zajęca, ale już wielkości lwa. Podstoli, nagrodziwszy hojnie kunsztmistrza, zacięrał ręce, poglądając na kolumnę, którą o milę odległości widać było, i mawiał sobie w duchu:

„Chyba już teraz skarbniczкови dojadę!”

Kończył zaś jeszcze ciszej:

„Bo Bogiem a prawdą, ten zajęczek stoi sobie na jego ziemi.”

A skarbnik z przyjaciółmi, nawiedzającymi go tłumnie, na złość podstolemu, z okna dworku urągał sobie z owęj zemsty, powiadając:

— Teraz łowy będą się udawały jme panu podstolemu, bo chociaż tego zajęca nie spudłuje.

Czego innego atoli chciał i oczekiwał podstoli; a zasadiwszy czaty ukryte przy słupie, sam nieraz całe noce tam wartował, w spodziéwaniu że skarbnik pokusi się o obalenie kolumny, a wtedy on z ludźmi wpadnie na niego, obije, zabije... słowem zemści się!

Ale i w tém oczekiwaniu doznał zawodu podstoli, a trapiiony niepowodzeniem i samotnością, coraz-to nowe wynajdywał środki dla przerwania apatyi sąsiada i wywołania pożądanego oporu. Jakby od niechcenia kazał zasypać fosę w jednem miejscu, aby tam przejście utrudnić, a miał w tém swój zamysł podstępny.

Grunt, w skutek kondescensyi odpadły od skarbnika, nie składał się, jak on sobie stoicznie perswadował, z jałowej ziemi i nieużytków, lecz owszem, z żyznych łąk i pastwisk, na których pięknie się bydło hodowało; radził sobie skarbnik jak mógł, ale zawsze połowę obory pozbył, a resztę karmił ladajako.

Owóz zasypianie części rowu ukrywało zamiar złośliwy i nakoniec cel pożądaný przez podstolego sprowadziło. Bydelko skarbnika, nazwyczajone do dawnych lepszych wypasów, mimo dozoru pastuchów, przez ów zasyp wkraczało na oderwane grunta, a podstoli, zacierający ze swoimi ludźmi, wymordował tych niewinnych maroderów.

Wtedy skarbnikowi, ciężko pokrzywdzonemu, przebrała się już miara cierpliwości; pomodlił się przed obrazem, a potem się doń ozwał:

— Dziękuję Wam, Panie Jezu Chryste i Matko Najświętsza, za prokuratorýą w sprawie granicznej. Widzicie iż wszystko za Waszym świętym patronatem działane przyjąłem w pokorze, a bez

szemrania, nie bacząc czyli to było ze szkodą moją. Dziś atoli, kiedy na moję własność gwałtownik nastawa i napada, honor szlachecki bronić się nakazuje... Wszak i Ty, Jezu Chryste, chociaż syn Boży po mieczu, ale ze krwi Dawida królewskiej po kądzieli, rozumiesz czém to jest dotknięta cześć szlachecka, który do korony się rodzi. Zatem za złe mi nie weźmiecie, moi najświętsi prokuratorowie, iż o cześć szlachecką osobicie iść będę.

Wyjechał skarbnik do grodu, czemu już i małżonka sprzeciwiać się nie śmiała, rozpoczął sprawę o gwałt i szkody, a jak to powiedzieliśmy na początku, podstolego na wieżę i grzywny skazano.

Nie trzeba już powiadać, iż potem zapaśnicy stali się nieprzejednanymi już wrogami. I tak ów zajęczek kamienny zda się nazawsze przegrodził dwa skoligacone i przyjazne od dwóch wieków domy.

Dla Hanulki zagaśł ostatni promyk nadziei i już tylko na sercu matczyném oplakiwała stratę swojego szczęścia. Lecz skarbnikowa, zawsze pełna ufności i wiary, pocieszała strapione dziecko, mawiając:

— Wszystko to w moey Boga, a jak rozerwał te wasze węzły, tak może zawiązać je nanowo.

XVI.

Rodziec starój daty.

Czas w którym zaszły opowiedziane wypadki, Michałek przebył w szkole rycerskiej, a dążąc szybko do wytkniętego serdecznego celu, przykładał się do nauk, każdą klasę przeszedł celującym uczniem, dla postępu zaś w naukach i gładkości w obejściu, często gęsto pełnił służbę u dworu królewskiego, a jako pięknej powierzchności, rezolutny chłopaczek, dam dworskich łaskę pozyskał. Słała mu się więc wysoka karyera, lecz on ją niewiele sobie ważył, dążąc do upragnionego celu połączenia się z drogą Hanulką.

Najcięższym smutkiem przejęła chłopaka śmierć ojca definitora. Oplakał gorzko stratę swojego opiekuna i sprawcy wspólnego z oblubienicą

szczęścia, a z drugiej strony niemniej mu boleśnóm było przerwanie jedyne go widomego łącznika z Hanulką, drogą korespondencyi z definitorem

Byłóż to ciężkie zmartwienie dla chłopaka, po stawionego bez wieści o tém, co miał najdroższego na ziemi. Podwajał pilności i starania, aby co prędzój zdobyć szlify, które mu, według obietnicy ojca, powrót do domu i do Hanulki utorować miały. Wszakże daremne były usiłowania młodzieńca, bo chociaż mu przyznawano wszystkie dystynkeye praktykowane w szkole: szewrony, galony, tytuły sierżanta i kaprała klasy—lecz regulamin szkolny był nieubłagany. Jedno co z łaski królewskiej, a czego od założenia szkoły rycerskiej było zaledwie kilka wyjątkowych przykładów, to że w drugim półroczu ostatniej klasy stawał do egzaminu w szlifie. Była to dystynkcyja niepospolita, ale zawsze nie trafiała jeszcze w myśl ojcowskiego rozkazu.

Cała stolica, a dwór szczególnie, mówiły o młodym Bogatce, pięknym i celującym uczniu szkoły, który obok tego doskonale bił się w pałasze, sławnie jeździł na koniu i odznaczał się gładkimi manierami, przy iście dziewiczej skromności.

Owóż ta skromność chłopaka, wzdychającego do jakiejś wiejskiej ukrytej bogdanki, nasuwała dworskim lekkomyślnym damom chęć zdobycia tego serca; ale chłopak oparł się wszelkim poku-

som, które wiadomo jak były ponętne na dworze Stanisława Augusta, i czyste serce w westchnieniach przesyłał do swój Hanulki.

Nakoniec wybiła upragniona dla Michałka godzina, gdy z kadeta stawał się oficerem; jako zaś najpierwszego ucznia, a może za wstawieniem się pięknych protektorek, król go do swój przybocznej straży przeznaczył. Zaszczyt to był niemały, o który gorliwie dobijały się senatorskie i magnackie chłopięta.

Z dokumentów rozmaitych, do wysnucia tej powieści służących, znajdujemy ślad, iż Michałek odważył się pisać w tej mierze do surowego ojca.

Ślad ten zawdzięczamy zwyczajowi dawnych ludzi, pozostawiania w wierzytelnych kopiach wszystkich listów, kwitów i wogóle dokumentów. Podstoli posiadał taki zbiór, zatytułowany: „Xięga kopiyna dokumentów, kwitów, kontraktów, ordonansów ekonomicznych, tudzież listów do rozmaitych osób, awizacyi, relacyi etc. etc. *manu propria* pisanych, na rok 1779.”

Otóż w tej księdze pod n. 207, pomiędzy kwitami i kontraktami, znajduje się list, który jako wzór ówczesnego epistolarnego stylu rodzicielskiego, podajemy w całości, z zachowaniem piśmowni oryginału:

„Respons na pisanie syna naszego Jmci Chorażego w straży przybocznej Króla Jmci, die 9 septembris Anno 1779.”

„Mości Choraży, synu Mój!

„Chwali się to waćpanu, iżeś *per diligentiam* w naukach y konduicie dostąpił rangi oficyerskiej, a bardziey chwalebne jest, iż merytowałeś sobie na zaszczyt y dystynkeyę naydowania się w boczney straży Króla Jmci; winienesz tedy Waśzmość Naylepszemu Panu remunerować(?) tę łaskę wiernością y pilną służbą, czego y ia po waszmości oczekuję y spodziewam się, w czem niech Bóg Wszechmogący przez Moie Rodzicielskie błogosławieństwo, umacniać raczy Waćpana.

„Skoroś iezdeś (!) w usłudze Miłościwego Pana, strzedz Waćpan tego ważnego obowiązku gorliwie winienesz y na urlaub nie rwać się, a chociażby Dobry Pan chciał takowego Waćpanu udzielić, wszakże ia przyjazdu teraz Waszeci do domu wolą oycowską nie rezolwuję y z takowym zalecam surowo wstrzymać się do ponownego mojego ordonansu, który nastąpi, kiedy to za stosowne uznam.

„Na expensa waszmości, jako przy wysokim dworze sytuowanego, rocznie kwotę 200, wyraźnie dwóchstu czerw. złt. w złocie holenderskim destynuję, których kontyngens roczny Jędrak przy ninieyszem pisaniu wyliczy, t. j. 200 czerw.

złt. ważnych. Radzę y zalecam przystoynie trzymać się y ohendoźnie, iak na sługę takiego pana przynależy, wszelako nie szastać groszem, abo wiem żadnych additamentów z mojej szkatuły w sperandzie waćpan nie miey i na to się nie ogląday.

„Jędrek przy tey okazji prowadzi konia, iako mój oycowski dar dla waćpana, abyś o kupno się takowego nie turbował. Jest to koń dobry, jedyny potomek po klaczy białej Zairze, com ją dostał nie bez trudności z Białostockiey stayni nieboszczyka pana Hetmana—a klacz była krwi czystey arabskiej. Za konia masztalerz Jmć. Xięcia Marszałka proponował mi na stadnika od pierwszego słowa 150 czerw. złt. i źrebię roczne ze stada xiążęcego do wyboru; ale że go dla waćpana zretynowałem na prezent, więc nie było zgody. Supponuję iż w waszey kompanii, acz ta królewska, niewiele będzie podobnych koni, chyba pod iakiem paniątkiem. Koń jest z natury gorący, radzę go nie forsować, a ostrogi oszczędzać, tudzież nie zrywać, bo w pysku mięki. Uieździł go sam Jmć Pan Namiestnik Krosnowski, który affirmuie, iż to wierzchowiec choćby pod samego Hetmana, wprawiony zaś do szyku boiowego i musztry. Po kaźdey ieździe, osobliwie dłuższey, niech Jędrek konia przeprowadza stępo iaką godzinę czasu, a następnie do suchego wy-

tarłszy z potu miękką słomą, przykrycie dera, których ma sześć nowych pro zapas. Jędrak jak dotąd sprawny jest i dobrej konduity, a gdyby się co złego na nim pokazało, każ go waćpan przetrzepać, ale *sub secreto*, aby mu przed prostem żołdactwem wstydu nie robić, boć to szlacheczkie chłopię. Nie wadzi też od czasu dawać mu i bez tego lekkie *pro memoria*, aby się nie psował. Ma Jędrak dwie pary nowych sukien, krom codziennych, dwie pary butów pasowych, raytuzy skórą lamowane do konia i dostateczną bieliznę. Możesz mu przez dwa lata nic nie sprawiać, a zawsze w należytych rygorze trzymać.

„Polecając to waszmości w pilną uwagę, oddaę waćpana opiece Naywyższego, aby Ten utrzymywał cię w łasce i względach Naymiłościwszego króla Imci.

Marcin Bogatko,

Pdst. Wyszogrodz. y oyciec mp.ⁿ

O ile zaś wnosić można, działa się to mniej więcej wczasie ukończenia kondenscensyi, wytknięcia nowych granic, usypania kopców i t. d.

Z innych zaś dokumentów pokazuje się, iż nieszczęśliwy syn i oblubieniec w kilka miesięcy znów o dozwole nie przybycia kołatał, gdyż w następnej takiejże księdze za rok 1780, znajdujemy pod n. 37 a datą 17 kwietnia, krótką, a surową apostrofę rodzicielską, jak następuje:

„Mości chorąży!

„Polecam więc panu po raz ostatni y absolutnie, abyś w materyi swego przyjazdu nie ważył się mnie inkommodować przez swe pisanie y oczekiwał cierpliwie na moię w tey mierze rezolucyę.

„Co polecając na pilne baczenie, przysyłam waćpanu moje rodzicielskie błogosławieństwo, a zdrowia y wszelakiego successu życzę.” (Podpis jak wyżej.)

Biędny oblubieniec męczył się, nie mając żadnej wiadomości o pięknej narzeczonej, a chociaż Jędrak z koniem z domu przybywał, ale musiał mu podstoli dać *boćkowskie pro memoria* na milczenie, bo na wszystkie pytania jedna była odpowiedź lakoniczna:

— Zdrowi, chwała Bogu...

Rumak kary wistocie zasłynął w stolicy; wszystka starszyzna wojskowa, panowie i panie zwróciły na niego uwagę, a na musztrach oczu nie spuszczano z „białego chłopca na czarnym koniu” — tak go bowiem panie dworskie przezwwały i miano to do niższych warstw przeniosło się na miasto. Każdy go znał a podziwiał, i skoro się tylko ukazał biały chłopiec na czarnym koniku, biegano za nim z zachwytem.

Ale pomimo to, choć koń czarny był zawsze jednaki, chłopak zmienił się, pobladł, zesmutniał, tak dokuczala mu ona surowość rodziciel-

ska, trzymająca go w niepewności, zdala od oblu-
bienicy. Naprózno piękne damy wysilały się na
pocieszenie swojego faworyta: mizerniał i nikł im
w oczach, aż zwróciło to uwagę samego króla,
który, jak wiadomo, posiadał zalety dobrego i ła-
skawego pana. Razu pewnego, może i z namowy
pań pięknych, zagadnął Michałka:

— Powiedz mi waćpan, czyć się przykrzy
w méj służbie, że nad wiek swój mizernie mi ja-
koś wyglądasz?

— Do śmierci nie pragnę lepszego losu, nad
służenie przy dostojnej osobie waszój król. mci—
odpowiedział chłopak z należnym respektem.

— A więc cóż cię za frasunek trawi? Może
tam tęsknisz za jaką bogdanką? Zwierz mi ta-
jemnicę twojego serca, może na to co poradzimy—
podchwycił król uśmiechnięty łaskawie, klepiąc
po ramieniu Michałka swą pulchną, iście niewie-
ścią rączką, którą ten z uszanowaniem do ust
przycisnął.

— Odgadł najjaśniejszy pan, iż takie są owe
smutne trapiące mnie sprawy; ale nawet i sam
potężny majestat w. k. m. nie trafi w to, co z woli
ojca pochodzi — odparł ze smutkiem młodzieniec.

— Chwali ci się, mości chorąży, uległość sy-
nowska, boć to pierwszy krok na dobrego obywa-
tela kraju, który na tym porządku stać powinien—
powiedział król sentencyonalnie, a dalej prawil

uśmiechnięty i laskawy: — Zawsze jednak mam pretensyą, abys mię uczynił swoim serdecznym prokuratorem. Kto wie, może wygram twą sprawę.

Opowiedział tedy młodzian treściwie całe swe serdeczne kłopoty, przymusowe oddalenie od narzeczonej i niepokój płynący z jego nieświadomości powodów, dla których wzbroniony mu był powrót, sam nie wiedział na jak długo. Z konieczności potrącił o nieboszczyka definitora, o zręko- winy i tym podobne rzeczy, już czytelnikowi wiadome, oprócz wszakże nieszczęsnej sprawy granicznej, której był nieświadom.

Król słuchał z zajęciem, albowiem dla wytchnienia od zawikłanych spraw stanu, lubił czasem wmieszać się w serdeczne kombinacje. Dosłuchawszy, Michałkowi zlekka wąsa pokreślił i rubasznie przemówił:

— Ano wygrana sprawa. Poleć odemnie panu Komarzewskiemu, aby cię abszytował na miesiąc, i jedź zaprezentować wąsika swojej Hanulce, która go jeszcze nie zna.

Chłopcu aż się zaiskrzyły oczy, ale je wnet opuścił ze smutkiem i całując rękę królewską, rzekł zafrasowany:

— I z tój wspaniałej łaski w. k. m. korzystać mi niewolno...

— Mało ci miesiąc do nacieszenia się z bogdanką, to zgoda na dwa; tylkoż żebyś mi się nie

rozleżał bardzo u tatka za piecem i służby nie zapomniał, bo z waści dotąd dzielny oficer—rzekł król łaskawie.

Choraży jednak pochylony stał na miejscu.

— A cóż, czy waćpanu niepilno do bogdanki? A możeś już jaką tu niewierność popełnił?—wtrącił żartobliwie król.

— Najjaśniejszy panie! Mój pan ojciec nie kazał mi powracać, bez wyraźnego na to jego ordonansu.

— A to czemu. Mów waćpan otwarcie. Może są do tego jakie powody?

— Mówię przed najjaśniejszym panem, jako przed królewskim majestatem, któremu najświętsza prawda się należy, iż nie podejrzewam żadnych powodów surowego zakazu pana ojca, ale uszanować go jest moją synowską powinnością.

— Dzielny z waści młodzian; dobry syn nie może być złym obywatelem i żołnierzem — rzekł król z powagą, a potem mruknął zcicha:

— Ej! ta szlachta w zakątkach dziwaczeje; ten dziki ojciec gotów mi chłopca zmarnować.

Poczem zachmurzony i zamyślony, w milezeniu przemierzał szerokimi krokami komnatę. Lecz nagle zatrzymał się przed zasmuconym Michałkiem i rzekł wesóło:

— Nie wadziłoby waćpanu na tę mortyfikacyą zażyć świeżego powietrza, a właśnie pan het-

man wkrótce wybiera się na koło rycerskie do Płocka. Gotuj się więc waćpan do drogi; zameldujesz się Branickiemu jutro rano, wyda ci rozkazy; ale uprzedź go, że ciebie mu pożyczam, bo takiego dobrego syna jak waszmość nie pozbędę od swego boku. Jedź-że teraz i gotuj się do drogi; dalszy ordonans dostaniesz od pana hetmana.

I jak czynić zwykli trafiający na dobry pomysł, z radością zatarł król ręce, a jedną z nich wyciągnął do młodzieńca, na której ten z uszanowaniem złożywszy gorący pocałunek, wedle rozkazu pańskiego, odszedł gotować się do drogi.

*

*

*

Nazajutrz Michałek nie omieszkał stawić się przed panem hetmanem. Ten, że równie jak inni był na młodzieńca wielce łaskaw, skoro go ujrzał, powitał kordyalnie, mówiąc:

— A co powiesz, „biały chłopcze o czarnym koniu?”

— Mam honor stawić się z rozkazu najjaśniejszego pana i zameldować j. w. hetmanowi.

— Aha! już wiem — przerwał rubasznie Branicki—musiałeś coś przeskrobać i oddają cię na reformę. Przyznaj się, pokpiłeś sprawę. Będę-ż cię teraz korygował!

— Śmiem przedstawić z rozkazu jego królewskiej mości, iż król jmc pożycza mię tylko j. w. pannu.

— A cóż-to nie wiesz o tém, o czém już wróble świergocą po dachach, że mam reputacyą lichego debitora?... Cóż tedy będzie, jeśli waćpana nie oddam królowi?

— Lichy pieniądz jwpan złożysz w skarbcu, o który pewnie król jmc pozwu egzekucyjnego nie wyda—odpowiedział dworsko, a z pokłonem chorąży.

— Ano, widzę, iż waszmość już tu na dworaka przerobili; ale nie bój się, król jmc ceni cię jako skarb dobry i na stratę się nie narazi. Bądź w téj mierze spokojny, nie popsowam ci świetnie rozpoczętej karyery... Ale otóż w czém rzecz. Będziesz łaskaw wyruszyć na czele kwaterniczėj kompanii do Płocka, gdzie masz stanąć *plus minus* za sześć niedziel.

— Za sześć niedziel, jw. panie, w Płocku?— spytał chorąży, który z podziwu tak długiego marszu zabaczył o wojskowym rygorze, iż się starszemu zapytań nie dawa.

— Ano tak ja sobie ukartowałem. Będziesz miał w kompanii dziesięciu ludzi i z łaski swój nauczysz ich przez ten czas francuzkiej taktyki, w której jesteś *peritus*, bo kto wie co nas czeka, a chciałbym ją powoli wprowadzić w wojsku...

Zresztą wstąpił waćpan do mojej kancelaryi, tam mu wydadzą ordonans, marszrutę i palety na dłuższy kwaterunek... A teraz życzę szczęśliwej drogi. Pewny jestem, że dziś jeszcze wymaszerujesz, o zachowaniu zaś rygoru i dobrem egzer cytowaniu żołnierza takiemu pilnemu jak waćpan oficerowi przypominać nie potrzebuje.

Temi słowy pan hetman pożegnał łaskawie chorążego, który gdy się znalazł na samotności, a przekonał iż złego przykładu dać ze siebie nikomu nie może, mimowoli ruszył ramionami i mruknął:

— Jak mi Bóg miły, ani krzty nie rozumiem. Chociaż niedawno służyę, wiele już rozmaitych ordonansów obijało się o moje uszy, ale o podobnym jeszcze nie słyszał. Przecie tak dobrze mógłbym egzer cytować w Warszawie, jak na prowincyi... No, wola starszych, a sama pieśń żołnierska przecie uczy: „maszerować, nie nie gadać”... ..

Z temi myślami dotarł do kancelaryi hetmańskiej, gdy już ludzie z jego komendy byli w pogotowiu. Natychmiast oddano mu ordonans i palety.

Machinalnie rzucił na nie okiem, aby się dowiedzieć, którądy mu drogę przeznaczono, gdy wtém wpadły mu w oczy *Bogacice*, gdzie właśnie

kilkotygodniową mu kwaterę i miejsce na egzer-cyce wojskowe wyznaczono.

— O dobry królu! — zawołał młodzieniec w uniesieniu. — Zawszebym ci zaprzysiężonej wiary z powinności i honoru żołnierskiego dochował, ale teraz żałuję, że mam jedno tylko życie i że sto razy więcej krwi nie płynie w mych żyłach, abym to wszystko poświęcił na twoje usługi.

W pierwszym zapale chciał biedz i rzucić się do nóg najlepszego pana, aby je oblać łzami wdzięczności, lecz niestety, sprzeciwiała się temu etykieta dworska i subordynacya żołnierska.

Nie mógł oderwać oczu od ordonansu i obejrzawszy się na schodach, iż niema ciekawego oka nad sobą, bez końca owę marszrutę do gorących rozmiłowanych ust przyciskał.

— Dobry król, pełen serca!... Toż był może jedyny sposób, abym mógł wolę ojcowską przekroczyć, bo cóż on może przeciw rozkazowi hetmańskiemu?

Zeszedł nadół, gdzie go już oczekiwał inny oficer do zdania komendy. Powitawszy wszystkich i obejrzawszy porządek, zapytał:

— Dzieci! a gotowicie do drogi?

— Na rozkazy pana chorążego — brzmiała jednogłośna odpowiedź.

— A więc wyruszmy z Bogiem za półgodzin-

ki, ino mi konia osiodłają — dodał niecierpliwy młodzieniec.

Była ranna godzina, ta właśnie, kiedy jeszcze spoczywają czuwający próżniacy, ale lud pracowity najbardziej roi się po ulicach. Jedni wracali z kościołów z prymary, a pokrzepieni modlitwą, śpieszyli do dziennéj pracy; inni dążyli z żywnością lub po żywność na targi i rynki i t. p., słowem ulice napełniały się tym ludem, który w każdym wielkiem mieście przedstawia część jego najzdrowszą i najczynniejszą — ludem który z dnia początkiem myśli już o jego końcu, a o wschodzie słońca wita dzień pracą, aby przy jego zachodzie zdobyć pożądany spokój i pokarm dla dzieci.

Lubo każdy kroczył z głową przytłoczoną ciężarem dziennych kłopotów, wszakże wnet ją podniósł na odgłos szczęku broni rażno wysuwającego się z bramy zamkowej orszaku. Wojsko, ta nadzieja przyszłości kraju, kość z jego kości, było temu ludowi wielce miłe, już dla tego samego iż karne, nierozpustne, w rygorze trzymane. Nie stawało się ono ciężarem dla mieszkańców — owszem bratano się z niem; działwa znała każdego żołnierza po imieniu, a jego konia z maści lub fantazyi, dla których mu przydawali pieszczotliwe przezwiska. Cóż dopiero powiedzieć o Michałku, który był niejako „cae-

kiem⁷ całej stolicy, tak dla młodych, jako i starych. Więc teraz na widok jak jechał przed orszakiem swoim, wyciągniętym klusem, z setnych piersi wyrwały się rozmaite okrzyki:

— Patrzaj! patrzaj! „biały chłopiec na czar-nyra rumaku!”

— A jak sady siarczyście!

— A konik zawsze rażny, ale od kiedy żyw, nie kroczył tak posuwiście i z fantazją.

— Może to oni już na wojnę?

— Dałby Bóg, niech przetrzepią poganina!

— Szczęśliwej drogi, biały chłopcze i czarny koniu! Bóg was prowadź!

— I was, panowie żołnierze!

A śmielsi wołali po imieniu:

— Bądź zdrów, Michałku, szczęśliwej drogi!

Starzy żegnali ich krzyżykiem od różańca, szepcząc coś w skupieniu ducha, jakby modlitewkę.

Niejedna znów młodziutka błysnęła w szczegól-ny sposób oczkiem na któregoś kompana, lub je zwilżone otarła w skrytości fartuszkim.

Michałek, wspaniały i rozjaśniony, kłaniał się furażerką na wsze strony, a do żegnających uśmiechał się przyjacielsko, jak to zazwyczaj śmieją się szczęśliwi!

Podczas kiedy Michałek, na czele swego orszaku, forsownym marszem zdąża ku Bogacicom i jeszcze nie zadowoliwszy serdecznego pragnienia, radby skrzydła sobie przyprawić—popatrzmy, co się tam działo.

Podstoli zaledwie przed kilku dniami powrócił z grodu, po odsiedzeniu wieży *in fundo*, a opłaceniu grzywien za szkody i gwałty poczynione skarbnikowi; nietrudno zatém wnosić, jaką żywił ku niemu niechęć. Pałając żądzą zemsty, zaledwie się rozgościł w domu, natychmiast zarządził nową wyprawę na resztę chudoby sąsiada i pewnego rana, kiedy ta wychodziła w pole na własne pastwiska, napadł znienacka z ludźmi zbrojnymi w rusznice i wszystko co do nogi wystrzelał, pastuchów zaś silnie pobito.

Nim się skarbnik opatrzył i na obronę zebrał, już napastnik, obawiając się odwetu, na zamek zrejterował i gotował się do odparcia przewidywanego napadu. Podniesiono most zwodzony, fosy ponaprawiano, na basztach przy moździezrach czuwali ludzie, straż regularnie zaciągano, słowem cichy dotąd zameczek zamieniono na twierdzę, w czas wojny oczekującą oblężenia.

Już od dwóch dni trwała na zamku ona czujność w oczekiwaniu napadu; sam podstoli, nie zazywając prawie wezasu, czuwał bezustannie, oto-

czony rusznicami, i oczekiwał rychło-li puści zabójczy grot w nienawistny łeb przeciwnika.

Lecz jak na złość napad spodziewany, a na owe czasy burzliwe, kiedy ludzie przywykli do gwałtownego zdobywania sprawiedliwości własną siłą, tak prawdopodobny — nie nadchodził. Podstoli włóczył się chmurny od baszty do baszty, gdzie strażę czuwały, i comoment zapytywał, azali czego na drodze nie dopatrują. Lecz mijał dzień trzeci i czwarty, a podstoli przykrzył już sobie ten rodzaj oblężenia.

Nakoniec piątego dnia około południa, ku wielkiej ucieście Podstolego, czaty z wieży zatrąbiły na larum. Natychmiast komendant twierdzy, czujność całej załozde zaleciwszy, podbiegł do tej baszty, gdzie wystawiono czerwoną chorągiewkę, i zaciągając ręce radośnie, pytał:

— A co tam widzisz? Mów dokumentnie, a żywo.

— Jakiś orszak w trzy szeregi po czterech, przodem oficer; o ile mogę zmiarkować zdaleka, niby wojsko królewskie.

— Co pleciesz? przyjrzyj się lepij.

— Tak, wistocie, już są o kilka staj, a widzi mi się coś, jakby kompania jmépana namiestnika Krosnowskiego.

— Ino tam wylup ślępie, bo cię każe ochłostać!

— Widzę jegomość jak na dłoni, kawalerya pana namiestnika, ale co koń, to zdaje się nie jego.

— Szykuj broń! zapal lonty! strzelce ku lewój baszcie, gdzie fosa się osypała—zakomenderował gromko podstoli, a sam sobie, mruczając, kombinował:—Czy-by to mogło być, aby Krosnowski dał się użyć dla prywaty i z wojskiem królewskim mnie napadał? To byłoby zanadto na człowieka statecznego, jak on. A może gdzie w lasach gniazdo wilków wytropił i przybywa z towarzyszami, aby razem zapolować?

Na tę myśl rozjaśniło się oblicze podstolego, bo wistocie wprzód nim został osamotniony przez sąsiadów za onę sprawę graniczną, myśliwi i namiestnik z towarzyszami bywali u niego częstymi gośćmi. Przypuszczając iż znów te czasy szczęśliwe się wracają, już chciał kazać most opuścić, gdy rozmyśliwszy się, zapytał:

— Hej, a co tam dalej widzisz? Czy wojsko broni dobyło?

— Karabiny przy strzemionach, pałasze w pochwach, ale jadą wyciągniętym kłusem — mówił czatujący, nie odwracając oczu, a nakoniec dodał śpiesznie:

— Za jakie pięć pacierzy staną przed bramą.

— Wara! nie strzelać, aż zakomenderuję!— wrzasnął podstoli do załogi.

Do siebie zaś szepnął:

— Nie rozumiem coby to wojsko znaczyć miało... Grzegorz! — wołał następnie na starego sługę, poznanego przez nas przy onój uczcie chybio-nej—weźmij białą chorągiewkę i idź wasze jako parlamentarz ku bramie. Stań tu na tój baszcie.

Po tych słowach podstoli udał się na wysoki krużganek zamku, zapewne aby ztamtąd dokła-ndniej ruch całej załogi obserwować.

Sługa wykonał natychmiast rozkaz pański, a zaledwie to się wszystko uskuteczyło, kiedy Michałek ze swoim orszakiem stanął przed mostem zwodzonym.

Cisza grobowa zaległa dziedziniec zamkowy; każdy z załogi stał z narychtowaną bronią, oczekując na rozkaz pański, według którego miał użyć broni na nieprzyjaciela, lub złożyć ją przed przyjacielem — gdy wtém Grzegórz, stojący na baszcie jako parlamentarz, zawołał z całej piersi:

— Podstolic!.. nasz panicz!..

Za nim sto głosów powtórzyło:

— Nasz panicz, podstolic! vivat!

Stary zaś parlamentarz, odzyskując siły młodości w nogach, przeskakiwał szybko poszczerbione schody baszty i jał krzyzcć z całej mocy:

— Héj! odźwierny, zwodzić most, otwierać bramy! Nasz ukochany panicz, moje drogie dziecko przybywa!

Odźwierny, może myśląc iż mu oddają rozkazy samego pana, biegł już z kluczami do mostu i bramy, kiedy podstoli, wydobywając całej siły, zawołał z ganku:

— Cicho mi, psi synu!... Stój na miejscu, ani się ruszaj!

Lecz widząc, że głos jego ginał w wylewie okrzyków radości—dla przerwienia posłuchu i subordynacyi, z pasyą porywał strzelby jedną za drugą i dał z nich kilka strzałów w powietrze, przez co pożądaną cichość uzyskawszy, zawołał gromko:

— Stój mi każdy na miejscu, ani się rusz, bo strzelę jak do psa... Grzegorz, wraży synu, przestań drzeć gardło i pójdz sam tu!

Stary sługa nie dał sobie powtórzyć rozkazu, podszedł rażno do pana, a ściskając i całując jego nogi, zaledwie mógł wyjąkać napół ze łkaniem:

— Jegomość!.. nasz syn... wasz syn, mój jedyny Michałek... podstolic jest tu... A jak zmężniał! Z kitą u czapki wygląda jak sam pan hetman... O Boże! co za szczęście! Nim się zamkną moje oczy, zaświeci im jeszcze to złote słońko... przytulę moje dziecię do piersi, przy której się hodo-
wało...

— A nie bądźziesz ty cicho, stary mazgaju? Czyś się spił, czy oszalał?.. Podstolic, mój syn, być tu w żaden sposób nie może, bom mu tego

wyraźnie zakazał. Ze starości w oczach ci się ćmi... Prześtań tych babskich szlochów i mów mi rozumnie, jak należy, kogoś tam widział za bramą?

— Na zbawienie duszy mojej, jak pragnę Boga Najwyższego w świętym majestacie oglądać, widziałem podstolica, mojego panicza, mojego Michałka...

— Toć ci się chyba przywidziało!

— O nie, jegomość. Każcie mi oba oczy wylupić, a jeszcze sercem dziecko me najmilsze przeczuje...

Nachmurzył się bardziej podstoli, krew mu wystąpiła na oblicze i przemówił zachrypłym głosem:

— Jeżeli tedy nie majaczysz, to wróc na basztę i powiedz podstolicowi, a krótko, żeby mi natychmiast odjeżdżał z kąd przybył i żeby nadal bez mojego wyraźnego tym końcem ordonansu progu mojego przestąpić się nie ważył.

Biędny starzec stanął jakby skamieniały na te słowa; wahał się widocznie, czyli go słuch nie myli.

— Albo nie — podchwycił podstoli — słabym swym głosem z baszty się nie rozmówisz; więc niech ci położą kładkę na fosie, ale wprzód niech ją otoczą trzydziestoma strzelcami, a gdyby kto obcy kusił się o wtargnięcie do zamku tą drogą, palić w łeb bez miłosierdzia.

— Jegomość! panie miłościwy, jam i was wy-

piastował, na tych dziś już drżących rękach. Mieście litość nad jedyném dzieckiem! — jęczał stary u nóg nieubłaganego pana.

— A długo tego będzie? — zaryczał gniewnie podstoli. — Nie pójdiesz ty, to poszlę innego, młodszego, co się lepiej sprawi... Hej, Kuba!..

— Idę, idę, jegomość! — zawołał stary, zrywając się rzeżko i biegnąc po chwiejnej kładce.

Skoro ujrzał Michałek przybywającego starca, w oka mgnieniu zeskoczył z konia. Splotły się ramiona starego sługi z młodym paniczem; to się brali w objęcia, to do nóg sobie na przemiany padali, zanosząc się od radośnego płaczu. I do załogi zamku, skamieniałej pod naciskiem rygoru, przedarła się ta zaraza serdeczna, a tam i siam głośniejsze łkanie lub głuche westchnienie przebiło się z niejednej piersi. Gdyby w tej chwili wydał podstoli rozkaz strzelania, niewiadomo co by się z tém było stało.

Podstoli tymczasem to bladł, to czerwieniał z pasyi; szarpał wąsa, gryzł wargi, bełkotał, groził komuś, aż kiedy uznał że parlamentowanie zadługo się już wlecze, skinąwszy na sługi bliżej niego stojące, wydał rozkaz:

— Kuba, Wojtek! słyszeliście com mówił temu staremu ciemiedze?

— Słyszeliśmy, jegomość.

— Owóż idźcie mi natychmiast i żądajcie, aby

to w obecności waszój powtórzył przybyłemu, lub gdyby się wzbraniał, sami to uczyńcie, a jego przyprowadzić, gdyby się zaś opierał, przywlec siłą.

Kuba i Wojtek przeszli kładkę ze zwieszonemi głowami, jakby się wstydząc, iż są wykonawcami tak nieludzkiego rozkazu.

Przybycie tych niejako instygatorów pańskich z konieczności ostudziło pierwszy zapal uczuć pomiędzy dwoma przyjaciółmi.

Stary Grzegorz zdobył się na przełożenie pańskiego ultimatum, a odebrawszy usprawiedliwienie przybycia młodego oficera w moc rozkazu hetmańskiego, jako tryumfator wracał z tą odpowiedzią do pana i powtórzył mu ją z fantazją, niemal hardo.

Dosłuchawszy tego, podstoli zmierzył pogardliwém okiem parlamentarza i rzekł, szydząc:

— Ej! stary, dobrze to mówi przysłowie: „poszlij durnia po raki, to ci żab nałapie...” Co panu hetmanowi, albo nawet i samemu królowi jmcu do mojego zamku, kiedy w nim siedzę cicho i nic nie knowam przeciw rzeczypospolitój? Co komu do tego, czy chcę mieć syna u siebie, lub nie? Król sobie ojcem narodu, a jam jest ojcem mojego syna i każdy z nas jednako dobry w swym domu. Eh! coś tam naplotłeś duby smalone!...

Machnął pogardliwie ręką na starego, a po namyśle ozwał się stanowczo:

— Opuścić most!

Stary Grzegorz aż wzniosł ręce dziękczynne do nieba, że wrota siedziby przodków otwierały się przed jego drogiem dziecięciem. Lecz niestety, niedługo było złudzenie starca, bo zaraz dodał pan:

— Sam się z paniczem rozmówię, a ja po kładkach łązić nie myślę.

Że wszyscy ludzie gorliwie się rzucili, wnet zabrzęczały grube łańcuchy, rozwarły się szerokie bramy i stanął most, na który podstoli dumnie wstępował. Widząc zaś, iż ciekawa konkluzji gawieź na most się tłoczy, odwrócił się i zagrział rozkazem:

— Precz co do nogi! wszyscy przy krużgankach zamkowych... czekać dalszego ordonansu!

Po odejściu Grzegorza, Michałek nie wrócił do konia, który stał przy kompanii znajdującej się dalej niż o dwa strzały od zamku. Na widok ojca, młodzieniec z pierwszego popędu rzucił mu się do nóg.

Podstoli usunął się gwałtownie, tak iż obaj z synem znaleźli się na dwóch krańcach mostu.

— Wstań waćpan! — przemówił podstoli głosem, który jakby z kamiennej piersi wychodząc, miał w sobie ton nieubłagania i gromu.—Jakiem prawem przekroczyłeś mój zakaz wyraźny stawienia się przedemną?

— Nie moja, jegomość, w tém wina, spełniam rozkaz hetmański, z wyraźnej woli królewskiej.

— A jakiegoż to króla i hetmana? Bo u nas w Polsce dotąd takich nie było, którzy zbroiliby synów przeciw woli ojcowskiej. Waść się shańbiłeś frymarką i intrygami przeciw własnemu ojcu i jego zakazowi.

— Ojczel!... jegomość, na parol żołnierski przysięgam, żem się woli waszój poddawał w pokorze i nie suscytowałem tego rozkazu, który oto jest.

To mówiąc, zbliżył się do ojca, podając mu palet hetmański:

— Oto ordonans pana hetmana, polecający mi zabawić w Bogacicach przez dni trzydzieści cztery i uczyć tu mojej kompanii taktyki francuzkiej.

— Taktyki chyba nieposłuszeństwa synowskiego, za które Bóg karze — przerwał ojciec surowo.— Drwię ja z paletu i samego hetmana, nieznającego praw kardynałnych kraju, bo inaczejby wiedział, czego i waćpana zresztą w szkole nauczyć byli winni, że wszelkie dobra szlacheckie od kwaterunku są wolne. Tak, rozumiem co się święci: to są intrygi dworskie, żadną konstytucją ani statutem nieprzewidziane; ale ja im ulegać nie myślę... i radzę waszmości odjechać tam, z kąd przybywasz, bo ja znam jedno prawo i żadnych paletów nie słucham.

— Z należnym respektem śmiem przełożyć je-

gomości, że dla mnie, jako żołnierza, ordonans hetmański jest prawem, nad którym wszelka mi dyskusya zabroniona.

— Nie nie wskórasz, bo choćby mi przyszło dać gardło za gwałt na wojsku rzeczypospolitej i królewskiem popelniony, to z waści lichą kupką tu sobie poradzę, a zapowiadam iż przed niczem się nie cofnę. Miałeś czas mię poznać.... Otóż ci wóz i przewóz. Ja słów nie dwoję: albo zaraz odjedziesz, albo cię wypędzę, chociażby przez gwałt.

— Ojczy, miéjcie zmiłowanie! — rozpoczynał młodzieniec ze łzami.

— Nie trać waćpan słów nadaremno, bo ja od swojego nie odstąpię, a dodam do tego, że wszelka zwłoka w odjeździe może spowodować moje... moje...

Tu się mimowoli zająknął podstoli a po chwili dodał z mocą:

— Może spowodować iż cię ominie błogosławieństwo ojcowskie, które wy tam może u wielkiego dworu lekceważycie, jak wiele innych rzeczy, ale co dla nas prostaków świętém pozostało... Dixi i żegnam!.

Po tych słowach podstoli już zawrócił się ku domowi, lecz nagle jakby sobie coś przypomniał, ozwał się do syna, który ze spuszczoną głową szedł ku swojemu orszakowi:

— A jeszcze słówko, jegomość... Może tam w palecie nie powiedziano wyraźnie, które to Bogacice, albowiem są i małe, posiadłość jmcipana skarbnika... Otóż radzę i rozkazuję, aby je wyjmować, równie jak wszystkich mieszkańców tamecznych, będących jawnymi nieprzyjaciółmi naszego domu. Na wszystkie pokolenia i pod błogosławieństwem rozkazuję, abyś tych ludzi nie znał i unikał!...

Po tych słowach, wiejących jakimś chłodem kamiennym, odszedł podstoli powolnym krokiem, nie oglądając się nawet poza siebie, jakby był pewnym, iż wbrew jego woli nie zajść już tutaj nie mogło.

Michałek dopadł konia, zakomenderował i na czele kompanii puścił się wyciągniętym kłusem w przeciwną stronę.

Widząc to, stary Grzegórz załamał ręce, a biegnąc krokiem młodzieńczym, wołał w rozpacz:

— O moje biedne, jedyne dziecko! Pójdę z tobą na kraj świata! Ja cię do ostatniego mojego tchnienia nie opuszczę!

— Hej! a wziąć tego starego waryata pod wartość! Nie robić mu nic złego, owszem, nakarmić, nawet napoić, żeby przespał ów ferwor sentymentów... Most podnieść, ludzie niech się rozbroją i każdy do swojej roboty!—zabrzmiał ostatni rozkaz podstolego.

Natychmiast ludzie otoczyli i wprowadzili biednego Grzegorza, który, miotając się, płakał jak małe dziecko. I pilnujący go mieli łzy na oczach, ale rozkaz spełnić musieli.

Podstoli zamknął się samotny w swój komnacie, jak zwykł był czynić po każdej katastrofie.

* * *

Michałek postął chwilę w ciężkim smutku i popatrzył na bramę ojcowskiego zamku, zamkniętą przed nim. Łzy mu się zakręciły w oczach, załamał ręce... Lecz nagle, dostrzegłszy iż jego komenda stoi nieporuszona, w miejscu gdzie ją zostawił—oprzytomniał, zebrał sił resztki, wskoczył na konia i zakomenderował marsz w stronę przeciwną.

Dziwiły się bezwątpienia wiarusy, że tak pokojowo odstępowali od miejsca, będącego celem ich pośpiesznej podróży. Spodziewali się niektórzy, że siłą każą im zdobywać gościnność, dobrowolnie odmówioną, i już tam niejeden popróbował, czy szabla lekko wyjdzie z pochwy, a opatrzył proch na panewce, poprawiwszy się na siodle. Wszyscy też zgorszyli się mocno, odbierając komendę do odwrotu; wszakże zgorszenie to, wedle rygoru wojskowego, utonęło conajwyżej w silném choć cichém szarpnięciu wąsa; podąży-

li na komendę za swoim chorążym, który o ile pędził zbliżając się do zamku, odstępował teraz od niego żółwim krokiem.

Nie kusił się Michałek, bo nawet zamarzyć nie śmiał o użyciu siły przeciw ojcu, bo synem był tego wieku, kiedy wola rodzicielska z Boską na jedną się trzymała szali. Lecz gdyby nawet, jako anomalią onego czasu, przypuścić przyszło tę chęć w umyśle występnego syna, do niczegooby ona nie doprowadziła, gdyż znał twardą zapalczywość ojca i niezłomną jego wolę, z którą walcząc do upadłego, chociażby przypuścimy i posiadał przemagającą liczebnie siłę, to i wtedy wywołałby dla ojca sprawę gardłową, spadającą w hańbie na ród cały.

Noga za nogą Michałek przebywał drogę długą, jedyną prowadzącą do zamku, a wysadzoną odwiecznemi lipami, jeszcze pradziadowskiemi, zapewne rotmistrza pancernej chorągwi. Już-to nie snadno mu było odtrąconemu rozstać się z progami ojcowskiemi, a co ważniejsza, iż z poza lasu przeglądał dach dworku skarbnika, pokrywający drogą głowę Hanulki. Jadąc powoli, namyślał się tymczasem, co dalej pocznie, gdzie się podzieje z kompanią, bo ordonansu i marszruty hetmańskiej, jak to widzieliśmy, mimowoli nie mógł wykonać.

Żółwim krokiem przeszła już kompania długi

gościniec zamkowy, a komendant jój nie spuszczał z oka wierzchołka czerwonego dworku, przeglądającego z poza lasu, a w tém zamyśleniu nie opatrzył się, gdy nagle na końcu gościńca ujrzał przed sobą kilka dróg, rozchodzących się na rozmaite strony. Dotąd jeszcze nie postanowił, co ze sobą i komendą pocznie—czyli wróci do Warszawy, lub w Płocku będzie oczekiwał hetmańskiego przybycia. Wahając się pomiędzy rozmaitemi domysłami, jeszcze zwalniał kroku, nie wiedząc jaką z tych alternat wybierze. Lecz stanęło mu na myśli, iż w każdym razie musi się pożegnać z drogim widokiem dworku i ostatni posłał ku niemu wzrok pożegnalny. Wtém, jakby z tych miejsc drogich spłynęło nań natchnienie, przyszedł mu na myśl stary namiestnik Krosnowski, łaskaw na niego od lat jego najmłodszych, który konsystował ze swoją chorągwią o milę od Bogacie...

— Ano, gdybym téż do pana namiestnika po radę się udał, pewnieby mi jój nie odmówił; a zresztą droga przechodzi około posiadłości jmcі pana skarbnika; niech choć raz jeszcze w życiu nacieszę się widokiem jój siedziby, jeżeli już Bóg i wola rodzicielska więcej mi odejmują.

Tak pomyślał sobie Michałek i bez dłuższych deliberacyj chwycił się tego ostatniego projektu. Niewiadomo czyli tak czynił dla zasiągnięcia

dojrzałej rady starszego oficera, czyli nęcił go widok dworku, mieszczącego skarb dlań ze wszystkich najdroższy—dość że tak się stało, iż wyjeżdżając z gościńca zamkowego, spuścił się w wąż, wiodący do rezydencyi pana namiestnika, a posłuszna komenda za nim podążyła.

Im dalej się zapuszczali, tém miłszy przed wzrokiem młodzieńca roztaczał się widok: cały dworek skarbnika widział jak na dłoni; nie spuszczał zeń oka, a radby jego ściany przebić patrzeniem i dojrzał w nich przedmiot swojego serca ubóstwiany. Jechał krok za krokiem, a jeżeli to podobna, wolniej jeszcze niżli przez gościńiec zamkowy, rozpatrując zdala każde znane sobie drzewko, o ile podrosło przez one lat siedm rozłączenia oblubieńców.

Dumał i dumał, coraz zwalnając kroku rumaka; rozpatrywał się dokoła po łąkach, drzewach, trawkach, na firmamencie, czyli mu się choć we mgle nie ukaże postać ukochana.

Ten tylko, kto kiedy żegnał nazawsze ulubione miejsca i osoby, zdolen jest pojąć, co się działo w sercu młodzieńca... Koń, jakby przeczuł troski swojego pana, już zaledwie się poruszał, ale jeszcze krok jego każdy zdawał się nieszczęśliwemu jeźdźcowi stumilową przestrzenią, przebieżoną pędem błyskawicy.

Zapomniawszy o orszaku, który za nim postępował, Michałek wstrzymał konia i zawisł oczyma wdali, jakby one miejsca drogie chciał do dna wypić wzrokiem.

Spuściwszy się wdół wąwozu, mimowoli dojrzał onęj wysokięj kolumny z zającem, a chociaż dotąd zaledwie po drodze doleciały go głuche wieści o zatargach panów ojców, bowiem Jędrək, wierny surowemu nakazowi pańskiemu, nic mu o tēm nie powiedział—jednak przypuszczać nie mógł, aby one właśnie tak olbrzymio urosły i chętką go zdjęła oglądać zblizka nową granicę... a ujrząc przytēm jeżeli nie same osoby, to dach przynajmniej, kryjący jego skarb. Walczył długo w myśli z zakazem ojcowym, z groźbą cofnięcia błogosławieństwa rodzicielskiego, które wedle słów Pisma domy buduje.

„Wszak zblizając się do tēj kolumny—rozumował—nie przekraczam zakazu pana ojca; osób nie szukam, a ziemi mi przecie nie wzbroniono obaczyć.”

Po krótkim tedy namyśle chorąży taki dał rozkaz komendzie:

— Panie podchorąży, widzisz tam na górze pod lasem domek leśnika; tam jest ocieniona polanka i woda zdrojowa. Czas koniom wytechnąć; macie żywność w sakwach, siano w trokach,

a nim popasiecie, ja tymczasem nadjadę... Lewe ramię naprzód... marsz!...

Kompania na zziajanych od rana koniach podążyła na pożądaný odpoczynek.

Choraży, sam pozostawszy, puścił się boczną, a dobrze sobie znaną drożyną, ku onęj kolumnie.

I wtedy-to ujrzał Hanulkę i rów przesadził... jak to się zapisało z początku powieści, aż do śmierci biédnego rumaka, a następnie odejścia skarbnika z córką.

* * *

Niech mi tedy wolno będzie przenieść miłego czytelnika do pierwszych kart opowieści, kiedy to zostawiliśmy Michałka pomiędzy trupem wiernego towarzysza, a oddalającą się nazawsze oblubienicą.

Pamiętacie niezawodnie, iż odprawiwszy syna od wrót ojcowskich, podstoli gniówny ludzi rozbroił, a sam zamknął się w swoich komnatach. Możeby też nierychło z nich był wyszedł, gdyby nie posłyszał owego strzału, a suponując iż takowy jakaś nową trwogę zwiastuje, nie wybiegł na dziedziniec zamkowy. Ten wszakże został cichym i pustym, jak go rozkaz jego pozostawił; most zwiedziono, a krom czatów na baszcie, nikogo nie było.

Zwrócił pan zapytanie do czatującego:

— Gdzie i kto strzelił?

— Przy rowie, od słupa.

— Ale kto, trutniu, i do czego?

— Ztąd nie dostrzegłem—odparł czatujący, który czy nie wiedział, czyli obawiając się następstw gniewu pańskiego, prawdę utaił.

— Do czegoż, ślepcze, tu cię postawili? Hej Kuba!—wołał podstoli na pachółka--podaj tu mój garłacz, sam weź rusznicę i pójdź za mną.

I stary żwawym krokiem pobiegł ku granicy tak rzeźko, iż młody pachółek, wyciągając nogi, zaledwie za nim podążał.

Miejsce owo, gdzie koń niewinną głowę położył, odległe było od zamku w prostej linii o jakie dziesięć minut drogi, lecz dla wyminięcia fos przekopanych, które dzielny rumak jednym skokiem przesadził, droga stawała się w czwórnaśób dalszą. Przebiegł ją teraz z pachółkiem podstoli, pragnąc corychlej zbadać powód onego strzału.

Nim nadbiegli, Michałek stał tymczasem skamieniały, a poglądając kolejno to na wierzchołek dworku, to na nieżywego towarzysza, mierzył we frasobliwej myśli przepaść nienawiści i pomsty ojców, która go od drogiej oblubienicy rozdzielała. W ciężkiej zadumie nie dostrzegł przybywającego ojca; podstoli zaś, ze swjej strony nie do-

strzegając syna, najpierw zwrócił uwagę na leżącego konia, a nieświadom tego co zaszło, śpieszyć mu chciał z pomocą. Podbiegł do konia, pochylił się nad nim, starał się go poruszyć, ocucić, ujął jego łeb dla podniesienia, gdy wtém dostrzegł krew i rany śmiertelne.

— Zastrzelony!.. dwie grankulki pod samém uchem!—ozwał się przerażony napoły do siebie, a napoły do stojącego za nim pachółka.—Co to jest, co to być może?—wołał trwożliwy i gniębny, bliżej się koniowi przypatrując.—Co to za zbrodnia?

— To nie zbrodnia, ale odwet jmćpana skarbnika, za przyczynione mu szkody i krzywdy—odparł dotąd niepostrzeżony przez ojca Michałek, tonem poważnym, niemal surowym.

Podstoli, jakby sam sobie nie dowierzał iż sły-szy z ust syna tak zuchwałą mowę, poczerwieniał ze złości; lecz ochłonąwszy po chwili, zmierzyl tylko wzrokiem srogim krnąbrnego syna i miasto mu odpowiedzieć, zawołał drżącym od pasyi głosem:

— Kuba, biegnij cotchu do zamku, niech mi tu wszyscy przybywają zbrojno, jak byli jeszcze dziś zrana. Przy tym waryacie Grzegorzcu dwóch pozostawić na warcie, a reszta co do nogi tu, a żywo!

Pachółek, odebrawszy rozkaz, pobiegł ku zamkowi.

A tymczasem podstoli, zaciskając pięści, a grożąc niemi w stronę dworku, wołał zapieniony gniewem:

— Ja cię nauczę, skarbniczeńku, mordować takie konie jak ten, którego lichą swą głową nie opłacisz!... Zburzę twoje jaszczurcze gniazdo i zniszczę te twoje gadziny, żonę i córkę, którą chcieliście w mój dom wprowadzić...

Potem zwrócił się do syna z szatańskim szyderstwem:

— A ty, mości synu, lekceważący błogosławieństwo ojca, dziś ci jeszcze dam oblubienicę, a pojdziesz ją nie na kobiercu, ale na marach... Proszę za sobą, pójdziemy na gody do pana skarbnika!..

Michalek, który stał dotąd niemy i blady, przemówił głosem uroczystym:

— Panie ojcze! znam respekt wam należny i moją powinność syna, ale do tego nowego gwałtu chyba przez mojego trupa uścielecie sobie drogę.

— Tak, miły synku!—rozpoczął podstoli z nielitosnym urąganiem—czy takie są admonicje oblubienicy i jej zacnego tatka?... Szkoda tylko iż na ten raz nauka pójdzie w las, bo siła przy mnie, i jeżeli pójść dobrowolnie nie będzie ochoty, to znajdą się druźbowie, coć związanego poprowadzą na te gody...

Lecz zaledwie słów tych domówił, Michałek poskoczył do trupa końskiego, wychwycił z olster oba pistolety, odwiódł kurki, lufy przyłożył sobie do piersi i z groźnym spokojem powiedział:

— Przysięgam na honor żołnierski, iż żywcem tam nie pójdę, a trupa mojego na waszój drodze położę!..

Nielitościwemu starcowi zsiniałe wargi zadrżały, tak iż zrazu przemówić nie zdołał. Wzrokiem pełnym trwogi spojrzął na młodzieńca i po chwili rzekł tonem niemal błagalnym:

— Rozkazuję waszmości złożyć natychmiast pistolety do olster.

— Piérwszy to raz staje się nieposłusznym synem, raczie to wybaczyć, panie ojcze; alem związany jest parolem żołnierskim.

„Lubię w chłopaku tę determinacyą, to moja nieodrodna krew—pomyślał w duchu stary i rożek, w rodzaju trąbki wiszący mu na piersi, a używany do wydawania rozkazów, przytknął do ust i dał sygnał.

Kuba, mimo pośpiechu, jeszcze i połowy drogi ku zamkowi nie ubiegł, gdy usłyszał sygnał, którego znaczenie rozumiał. Wkrótce téż z powrotem ukazał się na górze.

Wtedy podstoli, zwracając się do syna, prawił surowo, ale już nie z pierwotną pasyą:

— Rozmówię się z waćpanem na czysto: możesz aść złożyć te swoje pukawki, bo daję parol, że obecnie wszelkiego gwałtu przeciw skarbnikowi niecham... ale notabene przez bliższy namysł, nie gwoli żadnym pogróżkom i czeźej obawie o cobadź... rozumiesz waść?...

Skombinowałem, że na drodze sądowej więćej dokuczę temu szelmie, a sam jak gwałtownik nie będę odsiadywał wieży i płacił grzywien... Ale ja go ztąd wyforuję, że ani znaku jego tu nie będzie... A teraz ostatnie słowo. Masz waćpan wóz i przewóz: jeżeli dbasz o moje błogosławieństwo, nigdy bez mojego szczególnego na to zezwolenia nie staniesz nogą w Bogacicach, chociażby za rozkazem hetmańskim, czy nawet samego króla jmc. Nikogo, rozumiesz, *nikogo* z rodziny skarbnika widzieć nie będziesz, wszelkich matrymonialnych zamysłów ze skarbnikówną zaniechasz, chyba chcesz ażeby ci przekleństwo moje towarzyszyło do ślubnego kobierca. Teraz zaś każę ci natychmiast dać świeżego konia—choć nie takiego, jakim był ten nieborak, bo podobnym i stajnia hetmańska nie pochwali się, a za stu takich łotrów skarbników jednego takiego nie kupisz. Na nowym tedy koniu dogonisz waść komendę i pojedziesz, dokąd się tylko podoba, byleś Bogacice jedne i drugie jaknajdalej wymijał. Zrozumiałeś mię waćpan?

— Stanie się wedle woli jegomości — rzekł z pokorą syn, opuszczając kurki od pistoletów.

Właśnie w tej chwili nadbiegał zawrócony Kuba, a pan mu wydał nowy rozkaz:

— Niech mi tu zaraz masztalerz przyjedzie na bułanym ogierku, oklep w trenzli, tylko kłusem, rozumiesz? Reszta ludzi niech zostaje przy robocie; już mi ich nie trzeba.

Kuba z poprzednim pośpiechem puścił się w drogę ku zamkowi.

Lubo przy rygorze podstolego rychło się spełniały jego rozkazy, jednak ten wymagał pewnego czasu, najtrudniejszego może do spędzenia ojcu i synowi, po tém co zaszło. Chorąży, zapomniawszy o wszystkiém, utkwiał wzrok bolesny ostatniego pożegnania w czerwony dach dworku, a podstoli cós tam niby rozglądał w przeciwnéj stronie, byle na syna nie spojrzeć.

Nakoniec przyprawdzono bułanka, podstoli rozkazał włożyć nań rząd nieżywego konia, a gdy już rozkaz spełniono, rzekł do syna prawie uprzejmie:

— Żegnaj waćpana, niech Bóg prowadzi!

Michałek, pokłoniwszy się ojcu do kolan, wskoczył na siodło i z miejsca wczwał się puścił, jakby tylko przez ten gwałt sobie zadany zdobył siłę nadludzką oderwania się od tych miejsc drogich.

Stary długo poglądał za synem, a na chwilę nawet zapomniał snadź o skarbniku i swęj nienawiści, bo za odjeżdżającym kręślił nieznacznie krzyżyki w powietrzu, a potém mruczał, zacięrając ręce.

Następnie, jakby sobie dworek i rankor swój przypomniał, zacisnąwszy pięście, mówił ze złością:

— Zachciało ci się, mości skarbniku, takiego setnego chłopaka za zięcia; ale diabła zjész, jeśli ci go dam!...

A gdy syn znikł mu za drzewami, mimowoli spojrział na martwego konia, już obnażonego z siodła, i wracając do dawnego gniewu, mruczał:

— Zapłacisz mi, skarbniczku, z nawiązką. Hej! — zwrócił się do masztalerza — ścierwo końskie w nocy zawlec i zwalić we wrotach skarbnika, tylkoż pocichu, bez burdy. Niech za przebudzeniem mają niespodziankę, rozumiesz?... Ale, ale, wprzód zedrzyć skórę, bo ten kutwa i z tego gotów skorzystać.

Tak to niefortunnie skończyła się wyprawa na Bogacice, z woli królewskiej.

XVII.

Syn starój daty.

Choraży zastał komendę we wskazaném miejscu. Już ludzie i konie wypoczęli, oczekiwano tylko na komendanta, aby puścić się w dalszą drogę. Zdziwili się niepomalu żołnierze, widząc go na innym koniu, lecz bardziej zasumowali się wyrazem ciężkiej boleści na jego twarzy, tak iż o losy rumaka już nawet pytać nie śmieli.

Michalek, jak to już sobie przed oną niespodzianą katastrofą ukartował, prowadził komendę do namiestnika Krosnowskiego.

Namiestnik był jedną z tych dawnych marsowych postaci onego wieku, co to od dziecka wzrastały w obozie. Lubo z natury człek wielkiego serca i słodkiego charakteru, któryby mu-

sze krzywdy nie zrobił, jednak, według ówczesnego obyczaju, przybierał powierzchowność rubaszną, a opryskliwą.

Kochał pan namiestnik Michałka od dziecka, jakby przeczuwając w nim dobrego żołnierza. Wierny też powinności wojskowej, chorąży, pomimo ciężkiej boleści, która mu serce tłoczyła, przybywając do starszego rangą, nie zaniechał sprawić szyku swojej komendy, a dziarsko jej zaprezentować.

Na widok przybywających, namiestnik, chociaż wedle zwyczaju odbywał w tej chwili drzemkę popołudniową, przypasał szablę, wziął furazerkę i wyszedł na spotkanie na ganek. Zdziwił się stary i uradował niepomalu, poznawszy na czele orszaku ulubionego Michałka; jednak utrzymał na wodzy, wedle wojskowego regulaminu, sentyment, aż wprzód z wszelką przynależną randze wojskowej godnością skwerowanie (1) broni i raport honorowy subalterna odebrał, przytém pochwalił należytą prezencją komendy, a nawet dla fantazyi marsz ceremonialny nakazał, czego gdy dokonali z punktualnością regulaminu, zakomenderował stary:

— Z konia!

(1) Prezentowanie.

Poczém żołnierz odprawił do koszar, zarządzając dla nich suty traktament, a drogiego sobie chłopaka ze łzami do serca przycisnął, dopytując, jakie losy go tu sprowadziły; skoro zaś Michałek, oszczędzając ojca ile możności, opowiedział mu o wszystkiem, stary pokiwał głową i po namyśle rzekł:

— Już to, chłopaku, ucziwszy twoje uszy synowskie, coprawda, twój pan rodzic szalona pała. Złożył tego jawne dowody w całym procederze ze skarbnikiem, który do czasu rządził się iście chrześcijańską cierpliwością, póki mu się jej miarka do dna nie przebrała. A snadź i wieża *in fundo* nie poprawiła pana podstolego, kiedy takiego syna jak waść od progu odgania.

Prychał i zżymał się stary namiestnik, ale widocznie coś mu tam jeszcze leżało na sercu, czego domówić nie śmiał; aż dopiero po czasie, otworzywszy jedne i drugie drzwi, gdy się przekonał że nikt ich nie słucha, przysunął się do chorążego i mówił ciszej:

— A tam do licha, to kazuś fatalny, bo ja tu w okolicy jako namiestnik reprezentuję najwyższą władzę wojskową i winienem obserwować dokonanie ścisłe ordonansów hetmańskich. Aliści z drugiej strony, pomimo respektu i subordynacyi wobec władzy hetmańskiej, powiem że jw. hetman podrwił głową, bo to już jest prawo

kardynalne, iż dobra szlacheckie od kwaterunku są wolne, to mosanie przywilój szlachecki i mówią o nim konstytucye z lat .. z lat...

Zająknął się stary, machnął ręką, splunął ze złości, a potém dodał zapierzony:

— Niech ich tam kaci z konstytucyami! Nie żaden ja kauzyperda, abym miał je znać na palcach; zresztą to nie moja kompetencya, mosanie. Ale co wiem, to wiem dokumentnie, że dobra szlacheckie można zająć podkwaterunek tylko wczasie wojny i to z konieczności strategicznój. I pan hetman niezawodnie świadom jest tego, lecz on tu liczył na sentyment rodzicielski, a nie mógł się spodziéwać takiój sierzdistości ze strony ojca, aby syna od progu odegnał, jeszcze takiego syna jak waćpan, po latach niewidzenia!...

Zżymał się stary żołnierz, przechadzał, sapał, aż nareszcie jakby zadowolony z inwencyi, stanął przed Michałkiem i przemówił stanowczo, z pewnym tryumfem:

— Bądź co bądź, pod moją jurysdykcyą wojskową ordonans hetmański nie może się nie spełnić, ja tego nie ścierpię... Ot wiész tedy, co obmyśliłem?... Masz waćć dziesięciu ludzi, ja... *eo instante* ze czterdziestu stanie pod bronią. Jeżeli więc dobrowolnie nie otworzy nam zamku podstoli, zdobędziemy go siłą i rozkaz pana hetmana spełni się, jak należy!...

Na te słowa chorąży zerwał się na równe nogi. Namiestnik, rozumiejąc ten ruch jako oznakę zadowolonia, nie dał gościowi przyjść do słowa i ciągnął dalej, zaciérając ręce:

— A powiadam ci, że w tém zamieszaniu może nam wpaść znienacka pod rękę i skarbnikówna. Śliczne to dziewczątko jak pączek; weźmiemy ją jako jeńca wojennego, bo suponuję, iż bronić się zajadle nie będzie, a tu u mnie jest wikary, walny chłop, niegdyś towarzysz mojej chorągwi, który w tym nowym stanie zachował względem mnie dawną snbordynacyą wojskową. Więc niech tylko pisnę, szach mach.... połączy was krzyżową sztuką. Ot panie, będzie i wilk syt i owca cała, a ta głupia sprawa graniczna pójdzie na psy... A co, stara głowa, ale *caput* mosanie, co się zowie! Żaden ci statysta tak głębokiej kombinacyi nie wykoncypuje... Cóż ty na to?—zawołał uradowany z inwencyą namiestnik, tłukąc się w czoło, milczenie zaś chorążego biorąc za przyzwolenie, prawil dalej:—Ano, skoro na tém stanęło, to niema czego zwlekać, bo ino sér odkładany dobry. Idź-że waść zaordynuj swoim ludziom, żeby byli w gotowości, ja zaś pójdę do moich, a nim co do czego, każę podać przekąskę, bo wyprawa o próżnym brzuchu na diabła się nie zdała.—Widząc zaś że Michałek, mimo wyraźnego rozkazu, stoi nieruchomy, dodał: — śpiesz, chłopcze, bo dziś jeszcze

całą kampanią ukończyć musimy i *jeńca* zdobyć *et caetera*, a już dobrze jest z południa.

— Proszę mi wybaczyć, panie namiestniku, ale ja tego rozkazu spełnić nie mogę — odparł Michałek stanowczo.

— Co to jest? — wrzasnął, zapalając się, namiestnik — waść dopuszczasz się niesubordynacyi, wykraczasz przeciw dyscyplinie wojskowej? A wiész czém to pachnie?... Chociaż wszelkie trutynowanie rozkazów nie do subałterna należy, ale sam waćpan widzisz, iż działałam *in vim* spełnienia ordonansu hetmańskiego i powodować się w każdym razie musisz.

Choraży na to, wyprostowany należycie wedle regulaminu, jak wobec starszego przystało, przyłożył dwa palce do czoła i prawil z należną rewerencyą:

— Z całym respektem względem starszego śmiem przelożyć jmćpanu namiestnikowi, iż jeżeli pan hetman wyznaczył mi Bogacice na kwaterek, nie kazał mi jednak zdobywać ich zbrojną ręką, a tym końcem wspomagać się inną komeńdą, i jeszcze ośmieję się zameldować, iż to samo prawo, uwalniające dobra szlacheckie od kwaterek, surowo zabrania wszelkich najazdów dóbr tych, bez trybunalskiego wyroku, lub królewskiego rozkazu wrazie rebelii...

— A cóż to, jaja od kur mędrsze? — przerwał z hukiem namiestnik. — Waść mię nie będziesz regulaminu uczył. Ja wiem jedno, iż tu jako starszy reprezentuję władzę hetmańską, *ergo* i królewską... Zatem nie rozonować, a maszerować!

Zakończył zaś komendą:

— Na lewo w tył; idź waść i oddaj mój rozkaz swoim ludziom.

Chorąży pomimo tego stał nieruchomy, w wojskowej postawie.

— Czy słyszałeś waść?... Cóż to jest, rebelia, niesubordynacya, chcesz krygsrehtu? — wrzeszczał zapamiętale namiestnik.

Michałek z poprzednią powagą i zimną krwią odpiął pałasz, a składając go obok chorągwi stojących w kącie, ku drzwiom się skierował.

— Co to jest, mości chorąży, dokąd?

— Jako zostający pod krygsrehtem, broni nosić nie mogę, a miejsce moje w kordygardzie, tam się więc udaję — wymówił Michałek głosem dyscyplinarnym, zatrzymując się we drzwiach — a jakby poufnie dodał: — Przewiniłem, panie namiestniku, poddaję się bezwarunkowo surowości prawa; ale Bógby mi nie przebaczył, gdybym szedł zbrojno na ojca.

— A chłopaku-ż mój jedyny! — zawołał stary we łzach, zawisłszy na szyi Michałka, a ucałowawszy go setnie, obracał na wszystkie strony i na-

cieszyć się nim nie mógł, a uspokoiwszy się po czasie, mówił: — Boże odpuść, ja sobie myślałem, że wy tam w tej szkole rycerskiej same lalki do tańca i stawinóżki do umizgów z podwikami, aż tu jako żywo widzę jest stateczność i rozum. A ja ci powiadam, chłopcze, że cię Bóg nie opuści, a da ci wszystko dobre, jakoś dobrym synem jest... Otóż pierwszy raz w życiu żałuję, żem młodość zmarnował i jako *sterilis* zejść ze świata, kiedy Bóg łaskawy daje ludziom taką pociechę w dzieciach.

Różnie tam opowiadał pan namiestnik, ale nie przepomniał o traktamencie, i Michałek, lubo nie do tego mu było, musiał ile tyle radość z gospodarzem zaléwać, przyczém poufnie sobie gwarzyli.

— Ot wiesz co, Michałku, mówiąc tak *privatim*, pomiędzy nami, sprawiedliwą jest gadka, iż „nie bierze zasłużony, ale szczęśliwy;” albowiem gdyby nie twój statek, kapitalneby m głupstwo popełnił, za które podług krygsrehtu, jeżeli nie kulka w łeb, to degradacya i taczki w twierdzy, a w dodatku zapieczętowałby człek półwiekowy blisko zawód żołnierski infamią. Widzisz więc, jak to się dziwnie kartuje w tej wojskowej dyscyplinie, bo gdyby nie twój kryminal niesubordynacyi, diabelnie pokpiłbym sprawę... Tyś-to winien być moim starszym, a ja ciurą obozowym.

To znów poczynał z innéj beczki namiestnik:
— Słuchaj-no, Michałku, trzeba to jednak wszystko rozplatać, bo jakoś nieładnie zameldować panu hetmanowi, iż podrwił głowę, naznaczając kwaterunek w dobrach szlacheckich... Otóż widzisz, bioreę na siebie tę dziurę zręcznie załatać: poszlę od siebie raport do pana hetmana, zapytując co dalej z tobą robić, bo tak samowolnie trzymać cię nie mogę... A że twoi ludzie z drogi, a moi trutnie leżą dogóry brzuchem, poszlę tedy jednego z moich, a sprawniejszego, ażeby mi wrócił za tydzień.

Wistocie stanęło na tém jak przedsięwziął p. namiestnik i tegoż dnia jeszcze powędrował do Warszawy raport jego do hetmana, wystylizowany nie bez pomocy chorążego, któremu chodziło o oszczędzenie ojca. Mniej zaś niż w tydzień nadszedł rozkaz dla Michałka wracania z kolumną do Warszawy.

Stary namiestnik opłakał drogiego gościa, który go oczarował, już jako dobry wojskowy, już bardziej jako syn przykładny.

Co się zaś działo w sercu młodzieńca, gdy zdała poraz ostatni oglądał wierzchołek czerwonego dachu, kryjącego najdroższe skarby jego uczuć—powiadać nie potrzebujemy.

XVIII.

Wielki mediator.

Smutny, odtrącony od progu rodzicielskiego, odarty z najpiękniejszych marzeń młodości, wracał Michałek tą samą drogą, która w tamtę stronę stała się dlań kwieciami najświetniejszych nadziei. Marsz w ten sposób uregulował, aby wejść do miasta już po zapadłym zmroku, unikając przyjaznych i troskliwych zapytań, tembardziej przewidywanych z powodu zmiany dawnego konia, faworyta całej Warszawy.

Wprawdzie udało się Michałkowi uniknąć ciekawości ludu, lecz zato u dworu wieść o jego przygodach rozeszła się stugębnie, czyli inaczej, każda gęba na swój ją powtórzyła sposób; dość na to było przybycia gońca namiestnikowe-

go z raportem do hetmana i poufnego listu namiestnika do niego; bo pan hetman poza służbą lubił ploteczki, a rad niemi dwór i króla zabawiał. U samego dworu wszystkie miłosne awantury wiele ważyły, a podejmowano je chętnie i rozdrabiano na rozmaite romantyczne warianty. Sam nawet król, na wytchnienie od prac państwowych, chętnie im dawał ucho, a czasem nawet, pobudzany przez damy, nie wzdragał się brać w nich udziału i załatwiać je po pańsku, ku pociesze bohaterów.

Nim tedy Michałek, nieśpieszący z odwrotem, dowlókl się do stolicy, już wieść go poprzedziła o romantycznych jego przygodach: ojca przeroziono na nelitościwego tyrana, więżącego syna w podziemiach, z których on się wymknął zaledwie cudem; rodzica panny na dzikiego człeka, który nietylko zabił konia, ale ranił ciężko kochanka, wybawionego cudownie od śmierci przed jego zjadłością, wskutek której córka nieszczęsna jęczała za kratą zakonną i t. d. i t. d. bez końca.

Oczekiwano już tylko przybycia nieszczęsnego bohatera, aby dobudować romans tak zręcznie zawiązany. Damy dworskie już usposobiły króla do interwencji na rzecz prześladowanych kochanków i nim się zjawił Michałek, już był przedmiotem próżniaczych gawęd dworskich i miejskich.

A cóż dopiéro, gdy wieść gruchnęła o jego powrocie. Natychmiast panie otoczyły go szpiegami, dowiadywano się jak wygląda, czy nie ma blizn na twarzy, ręki na temblaku, czy nie kuleje, czy widzi na oba oczy?... etc. etc. Usłudzi paziowie i adonisowie pań pięknych biegali hurmem za Michałkiem, zaglądając mu w oczy i zdając najdziwaczniejsze o nim relacye.

Już nazajutrz Michałek odebrał mnóstwo zaprosin na obiady, wieczerze, asamble; lecz zameldowawszy się panu hetmanowi, gdy przeszedł już do zwyczajnej służby, na królewski zamek, wymówił się od wszelkich inwitacyj, z czego łatwo odgadnąć, ile zaostrzył i tak już ożywioną ciekawość co do swój osoby i przygód.

Panie spazmowały z braku bliższych wiadomości i, rozumie się, zastąpiły je domysłami i wymysłami, które bardziej jeszcze czyniły młodzieńca interesującym. Ostatnia nadzieja przecięcia tego gordyjskiego węzła polegała na królu. Nagliły go też panie, aby przystąpił do tak ważnego dzieła, wziął zakochanych pod wysoką protekcyą swoje i wdaniem się swém przyspieszył epilog rozpoczętego romansu, zapomocą szczęśliwego hymenu.

Nakoniec król, naglony przez panie, przeznaczył chorążego na pokojowego adjutanta, aby zaostrzoną ciekawość pań zaspokoić i samemu

mieć sposobność bliższego wybadania go. Dopiero rozpoczęła się procesya dam na pokoje; każda z nich rada była spojrzeć w oczy bohaterowi tak pięknie osnutego romansu, coś z nich wybadać, zawnioskować, a niejedna możeby rada była własnym kosztem go pocieszyć. Lecz Michałek, lubo doznane przygody napiętnowały jego oblicze smutkiem, który i w zamglonych przebijał się oczach, jednak usta zamknął grobowym milczeniem i ograniczał się na krótkich wyrazach, przez służbę wymaganych.

Cała nadzieja zwalczenia onego lakonizmu młodzieńca polegała na królu, celującym zręczną wymową i obudzającym ufność przez słodkie i łagodne postępowanie.

Pewnego tedy razu, znalazłszy się samnasam z Michałkiem, spytał wdzięcznym, przyjaznym swym głosem:

— A jakże się tam waćpanu podróżowało, czy szczęśliwie?

— Szczęśliwie, najjaśniejszy panie, ludzie i konie zdrowi wrócili—odpowiedział chorąży w sposób czysto służbowy.

— I konie, powiadasz waćpan?

— Wszystko, najjaśniejszy panie, zdałem według rejestru pana hetmana.

— A twój-że kary, zdrów także?

— Utraciłem go, najjaśniejszy panie.

— Z jakiego wypadku?... Opowiadano o tém jakąś tragiczną historiją.

Tu się Michałek mimowoli zawahał, jednak nie dał czekać na odpowiedź.

— Tak jest, najjaśniejszy panie, złamał nogę biédak, cierpiał wiele i musiano go dobić.

— Szkoda— wtrącił król, spojrzawszy badawczo w oczy mówiącemu, jakby mu dawał poznać, iż fałsz popełnił.

Wszelako, pomimo lakonizmu Michałka, nadziei wybadania nie tracił i na inny tor rozmowę zwrócił:

— Jakoś rychło wróciłeś. Pono ojciec nierad był twojemu przybyciu, co mię niepomału dziwi.

— Ojciec mój, najjaśniejszy panie, o ile mi wiadomo, obstawał tylko przy prawie, uwalniającem dobra szlacheckie od kwaterunku wojskowego.

— Hm, hm! to słusznie; podobno ojciec waćpana rozpoczął wielką sprawę graniczną z sąsiadem i słyszę tuzują się na dobre.

— Raczy mi wybaczyć wasza królewska mość, iż o tém relacyi dać nie mogę, bowiem spraw ojca synowi sądzić nie przystało.

Król się namarszczył, gdyż lubo w stosownej a pokornej formie, zawsze to pachnęło nauczka. Przeszedł się parę razy po komnacie, jakby się namyślając od czego zacząć nanowo, wzrok czu-

ły utkwił w młodzieńcu i rzekł jeszcze słodziej:

— Chociaż to waćpan mnie admonitowałeś, iż nie w swoje się rzeczy mieszam, jednak *relata refore*, gdyż mi powiadano, że nadobna córeczka owego szlachcica, z którym się ojciec waćpana procesuje, była twoją narzeczoną i niefortunna ta sprawa was rozdzieliła.

— Tak, najjaśniejszy panie. Mieszkając w jednej wsi, o miedzę, igraliśmy razem dziećmi, a żywiliśmy marzenia młodości i gdyby nie te zatargi panów ojców, poczytałbym się za najszcześliwszego—odpowiedział smutno młodzieniec.

Król spojrział nań łaskawém okiem spółczucia i kładąc mu rękę na ramieniu:

— Mów, chłopcze, śmiało—rzekł—możeby moje wdanie się było przygodne.

— Cenię nad wszystko wysoką łaskę waszój królewskiej mości, lecz tak już rzeczy zaszły, iż wszelka interwencya lub perswazyja rozjątrzyłaby jeszcze, miasto ułagodzenia. Bóg to już jeden ma w swojej mocy.

Jakaś nagła sprawa przerwała tę rozmowę. Zczasem zaś król zaliczył tę sprawę w poczet drobniejszych i nie wznawiał jój więćej, gdy zaś go ciekawe panie obsedowały, aby się czegoś o konkluzyi romansu dowiedzieć, zbył je pobieżnie:

— Ot, powiem jejmościom krótko, proście Boga, aby wam dał takich synów, jakim on jest dla surowego ojca, a jeżeli która z was chce się kochać, aby tak była kochaną, jak jego oblubienica.

Wszakże dworskie panie nie dały się tak łatwo uspokoić w zaostrzonej ciekawości. Szły listy za listami w Łomżyńskie, a nawet kilku adonisów, by uzyskać łaski nimf swoich, dotarło tam osobiście, dla dokładnego wzięcia języka. Cała sprawa graniczna, jak ją opisaliśmy, z owym zajęciem kamiennym, rowami, kopcami i t. d., wydzielizowana co do części romantycznej przynajmniej, znana była u dworu expedite.

Zakipiały złością serca białogłowskie przeciw podstolemu, jako niemilosiernemu rodzicowi, protegowano z drugiej strony skarbnikównę, jako nieszczęsną ofiarę tyranii, wysłano nawet emisaryuszów do skarbnika, aby założył apelacją przeciw krzyczącej niesprawiedliwości; lecz ten, po zabiciu konia nasyciwszy już chęć zemsty, o niczem więcej słyszeć nie chciał i nanowo siedząc cicho w domu, oddał się pod prokuratoryą Pana Jezusa i Jego Świętej Matki.

Lecz cóż lepszego miały do roboty damy dworskie, jak zaplątywać i rozplątywać romanse? Nalegały tedy na króla, aby dekret i akta pierwszego sądu podkomorskiego w sprawie podstolego

ze skarbnikiem, mocą swojej władzy, odesłał do rewizyi trybunału. Król uległ instancyom pań pięknych tém łatwiej, iż wszystko to było dziełem kancelaryi, a nie przyczyniało mu wiele kłopotów, których rad starannie unikał.

XIX.

Adam Myszka Chołoniewski, podkomorzy bełzki.

W toku opowieści tu i owdzie, nadmieniliśmy w krótkości o sprawach granicznych, rozstrzyganych przez sądy podkomorskie; jedno zatem tylko dodać nam jeszcze pozostaje, iż prawo apelacyi od takowych służyło do trybunału.

Dlaczego zaś skarbnik, powodowany dziwném nabożeństwem, do sprawy ziemskiej obrawszy niebieskich patronów, przed sądem podkomorskim nie bronił się, a następnie pokrzywdzony przez niego, nie apelował, to już kwestya niezaradności, przydarzającej się nawet w czasach ogólnej procesomanii.

Dlaczego on wolał, zamiast wystąpić przed sądem, kiedy wyczerpał wszystkie zasoby cierpli-

wości i chrześcijańskiego zgadzania się z wolą Bożą, osadzić przeciwnika w wieży *in fundo*, a potem szukać odwetu w zabiciu cennego konia? to już da się chyba wyjaśnić butą i fantazyą ówczesnej szlachty, u której i to się przejawiało, że albo sądów zbyt mało szukała, albo pogardała ich władzą i kompetencją.

Owóż tedy, jak widzieliśmy, król, pobudzony przez damy dworskie, polecił sprawę tę do rewizji trybunału, co równało się apelacyi. Trybunał zaś, dopatrzywszy nieformalności w jej prowadzeniu, uznał potrzebę nowój kondescensyi i, jak prawo mieć chciało, poruczyć ją zamierzył podkomorzemu innego województwa.

Kiedy się sprawy graniczne zagęściły, a możliwym służyć poczęły jako środek ucisku biedniejszych, sądy zaś podkomorskie niedbale były organizowane, trybunały dla rewizji tych spraw w całej Rzeczypospolitej liczyły zaledwie trzech podkomorzonych, którym czynność tę, stanowiącą nieraz o losie i bycie całych rodzin, mogły z zaufaniem poruczać. Tymi podkomorzymi byli znani z rozumu, prawości i zręczności w działaniu trzej stateczni mężowie: Michał Krasiński podkomorzy rożański, Józef Wilczek Wilczewski podkomorzy wizki i Adam Myszka Chołoniewski podkomorzy bełzki.

Michał Krasiński, mąż wielkiego rozumu, bie-

gły w prawie, a jako nieposzlakowanej zacności, wielki mir w całej prawie rzeczypospolitej posiadający, wiele swojego czasu zawikłanych spraw granicznych rozwiązał. Wszelako ta opowiadana przez nas przypada na czas, kiedy Krasieński, po upadku zawiązanej przez się barskiej konfederacyi, schronił się z jej generalnością za granicę, zatem tej sprawy sądzić nie mógł; więc wpisaliśmy go tylko dla pamięci i wzmianki, jako doświadczonego w sądach podkomorskich.

Wilezewski, dawny inżynier w wojsku austryackim, uczył się u Niemców miernictwa, sam doskonale plany układał i gdzie sprawa dała się prawnie i rozumnie przeprowadzić, był bardzo pożytecznym. Lecz z drugiej strony, przepędzwszy życie pomiędzy Niemcami, nabrał ich sztywności, a natomiast utracił animusz i fantazyę szlachecką, które najskuteczniej się przyczyniały do pojednania zwaśnionych.

W sprawach bowiem granicznych, gdzie rzadko plany lub porządnie i jasno spisane dokumenta służyły za podstawę, gdzie trzeba było działać na pojednanie serdecznością, perswazyą, często nawet brać podstępem, lub tak zwanym figlem i krotofilą, dowcipem zaś należało rozróżnić świadectwa fałszywe od prawdziwych—proceder wymagał szczególniejszego sprytu, miru i znajomości ludzi.

Owóż dziś, między dwoma podkomorzymi do wyboru, trybunał nie mógł trafniej sobie począć (a pono z insynuacyi samego króla), jak poruczyć rozwikłanie tój trudnej sprawy podkomorzemu Chołoniewskiemu.

Chołoniewski, dawna postać szlachecka, dziś już bez reprodukcji, pan możny, a przytém, co się rzadko wówczas zdarzało, prawdziwie popularny i nie dumny, trochę zawadyaka i rębacz zawołany, przytém *facetus* w guście dawnym szlacheckim, nietyle może statysta i prawnik, ile rozumny, jak to mawiali, *po gospodarsku*. A zaprawdę, rozum ten gospodarski najwięcej pomiędzy szlachtą popłacał i do jój usposobień najstosowniej przypadał. Chołoniewski brał do serca każdą sprawę graniczną i szukał chluby w pojednywaniu zwaśnionych, a dochodził do tego rozmaicie: to krotofilą i zabawą, to związaniem małżeńskiego węzła pomiędzy dziećmi powaśnionych, czasami wymową i perswazyą duchownych, jeżeli na pobożnych natrafił, słowem żadnego środka pojednania nie pominął, a jak tego były przykłady na sprawie Rożnów z Zawadzkiemi w województwie wołyńskim, wyrębał się nieraz ze stronami, pokieroszował obydwie, bo dzielny był gracz w pałasze, i zgodę tak wykrzesał. Królowi, mówią, tak się podobało to znalezienie, że go orderem Stanisława ozdobił.

Król, pragnąc spełnić serdeczne nadzieje swego ulubieńca Michałka, a już też czyniąc zadość ogólnemu życzeniu dam dworskich, chciwych prędszój konkluzyi onego romansu, osobiście a gorąco sprawę tę Chołoniewskiemu polecił, zawiadomiwszy go wprzód o wszystkich wstępnych okolicznościach.

Podkomorzy zaś, skoro się dowiedział o tój parze dzieci-oblubieńców, całą nadzieję przyszłego pogodzenia na nich ufundował, a nawet końcem dopięcia tego celu, chciał mieć oboje oblubieńców pod ręką; lecz w tём zachodziła trudność, bo król, chociażby chętnie chorążemu urlopu udzielił, lecz wiedział iż mu ojciec pobytu w obu Bogacicach pod błogosławieństwem wzbronił, a przeciwko temu zakazowi król, dbający wielce o zachowanie węzłów rodzinnych, iść nie śmiał.

Damy dworskie suszyły sobie piękne główki, jakby tę przeszkodę usunąć, gdy los sam się w to wdał i już wtedy znane przysłowie francuzkie: *ce que femme veut, Dieu le veut* (czego chce białogłowa, tego chce i Bóg), skrupiło się na biednym namiestniku Krosnowskim, który w tym właśnie czasie zakończył długie, skolatane wojaczką życie, czyli, jak się sam wyrażał, „stał do niebieskiego apelu.”

Z woli króla chorąży, obejmując komendę po Krosnowskim, zbliżył się do miejsc rodzinnych,

bez naruszenia rodzicielskiego nakazu. Damy zaś dworskie widziały w tém różowy paluszek bożka Kupidyna, snujący przedostatni rozdział romansu, którego świetna konkluzya spoczywała w ręku podkomorzego Chołoniewskiego.

Hoły podkomorski

Wszystko to było w istocie prawdą, że o tym czasie
cia Mielnicka smutek powstawał w podziemiach. Kto
znawskiego, a była to historia, która w podziemiach
nie było człowieka, ale i tak było, w podziemiach.
[to także i tak było, i tak było, i tak było, i tak było]
kontynuacja. I tak było, i tak było, i tak było, i tak było.
o przedstawienie całego odcinka, przedstawienie
przez króla. I tak było, i tak było, i tak było, i tak było.
tędy było, wypadało, i tak było, i tak było, i tak było.
nie było, i tak było, i tak było, i tak było, i tak było.
szlachta, i tak było, i tak było, i tak było, i tak było.
kontynuacja, i tak było, i tak było, i tak było, i tak było.
I tak było, i tak było, i tak było, i tak było, i tak było.
I tak było, i tak było, i tak było, i tak było, i tak było.

XX.

Roki podkomorskie.

Nie trzeba zda się powiadać, że o ile zasmuciła Michałka śmierć poczciwego przyjaciela Krowskiego, o tyle z drugiej strony z pośpiechem nietylko żołnierskim, ale i serdecznym, wypełniając rozkaz królewski, podążył na objęcie nowój komendy. Jako syn dobry, nie kusił się nawet o przestąpienie zakazu ojcowskiego, przejechał przez grunta Bogacie ściśle o tyle, o ile mu tamtędy droga wypadła, lecz niegościnnie dla siebie zamek ojcowski wyminął, a że wzrok miłośny zatopił zdaleka w dworka wierzchołek, o tém sentymentalne czytelniczki wątpić nie mogą.

Skoro się podstoli dowiedział o nowój destynacyi syna, dopatrywał w tém jakichś nowych

intryg, chęci zbliżenia się kochanków, a może ta jemnego połączenia, i aby zapobiedz tym następstwom, w jego gniewnej imaginacyi wyległym, otoczył syna tajemnymi szpiegami; czujność zaś na swoich gruntach i około dworku skarbnika podwoił, z obawy jakiegóś katastrofy, która wcale nastąpić nie miała; bowiem oblubieńcy, jeżeli szukali w czém pociechy, to w rzeczy bardzo niewinnej, nieidącej wbrew rodzicielskim zakazom.

Wieś, gdzie kwaterowała chorągiew dawniej Krosnowskiego, dziś Michałka, graniczyła o miedzę z Bogacicami. Skorzystali z tego oblubieńcy i chorąży, odprawiwszy swoje powinności z komendą, wychodził na najwyższą górę, lubować się widokiem dworku skarbnika, Hanulka zaś, dowiedziawszy się, że jej niegdyś narzeczony znajdował się w sąsiedztwie, instynktem uczucia wiedziona, stawiała także na najwyższym punkcie i powiewała swą białą szatą, boć na dalekiej przestrzeni nietylko głosem, ale i znakami rozmówić się nie mogli.

Tak rzeczy stały, kiedy trybunał koronny *proprio motu*, bez apelacyi i wiedzy nawet stron, zadekretował roki podkomorskie, dla rewizyi sprawy granicznej.

Zawiadomieni o tém antagoniści, silniejszą jeszcze, jeżeli to podobna, zapalali ku sobie niechęcią, a nie podejrzewając prawdziwego źródła no-

wego obrotu sprawy, jeden drugiego posądzali o wznowienie akcyi: podstoli suponował, iż działo się tak w skutek apelacyi skarbnika, ten zaś widział w tém nowe sidła, zastawione przez wroga na swój pokój i mienie.

Zbliżał się wyznaczony termin nowój kondescensyi. Podstoli upatrywał w niej nowy środek pogněbienia przeciwnika; jak przedtém, otoczył się swoimi jurami i sute gotował przyjęcie dla nowego zjazdu.

Skarbnik, przeciwnie, zadowolony z jednéj strony zemstą zabicia pięknego rumaka, który nad wszelkie przezeń poniesione szkody więćej zaważył, a widząc iż przez to przeciwnikowi srodze dokuczył, resztę puszczał *per non suut* i znów o władnięty dewocya, sprawę oddał pod patronat świętych swoich prokuratorów.

Nadchodził nakoniec termin nowój kondescensyi. Na parę niedziel przedtém zjechał na grunt dwór podkomorzego Chołoniewskiego. Napróžno podstoli stanowniczemu ofiarował gościnyę w zamku, lub chciał mu paradny obóz na wzór poprzedniego założyć; ten, świadom już zwyczajów swego pana, obrał karczmę na jego rezydencyą, Żyda, sownie go opłaciwszy, z niej wypędził i na siedzibę godną wielkiego pana począł ją przerabiać. Ściany okryto makatami i drogiemi kościami, dano posadzki, słowem z gruntu wszy-

stko odrestaurowano, a brudną austeryą na pałac zamieniono.

■ Czytelnikom, szczególnie młodszym, wyda się wyż powiedziane przesadném; ale zaprawdę, umieli rozkoszować nasi dziadowie. Chołoniewski téż olbrzymią fortunę *przepodkomorzował*, iż się tak wyrażę, a stosunkowo niewiele po sobie zostawił.

Doznał wprawdzie zawodu podstoli, że za przykładem pierwszej kondescensyi, chlebem i solą nie będzie mógł drugiej sobie skaptować; ale liczył jeszcze na podstępny jurów, którymi się otoczył, iż ci mu do zgnębienia antagonisty dopomoga.

■ Nadjechał nakoniec sam Chołoniewski dworno, w kilkadziesiąt koni, z milicyjką, pajukami, hajdukami, a nawet własną kapelą, z dwunastu chłopaków złożoną. Schodził się ludek Boży, przypatrywać jak na dziwowisko, bo gdzie Chołoniewski na rokach nie bywał, tam podobnej okazałości nie znano.

Kondescensyą z nim razem mieli stanowić dwaj jego komornicy, Jankiewicz i Zwizda, bez których się nie ruszał, ci już bowiem zęby zjedli na statucie, a nie należeli do rzędu drobnych kauzyperdów, paragrafami wykarmionych, owszem byli z téj dawnéj szlachty junackiej, jak ich zwano *de jure et hajda*, co to i statut przewertować

i szerpentyną machnąć od ucha, i koło szkła czy-
sto chodzić umieli.

Primo impetu pan podkomorzy prawniczkom
podstolego dał odprawę i za dziesiątą górę ich
przepędził. To już zły był omen dla podstolego.
Rozpatrzył się Chołoniewski z komornikami w spra-
wie, ludzi rozpytał, jak to było we zwyczaju,
a we dni kilka zagrała kapela, wino się polało,
bo sam podkomorzy znaczniejszym sąsiadom i da-
mom złożył odwiedziny, do innych grzeczne pisma
rozesłał i na ucztę do siebie zaprosił. Rozumié
się, że nie pominął i antagonistów, ani nowego
namiestnika Michałka; lecz ten wręcz się wymó-
wił zakazem ojcowskim. Pani skarbnikowa cho-
ra, więc równie służyć nie mogła, a skarbnikównie
bez matki być nie wypadało. Antagoniści zaś
ledwie się ujrzeni przy progu podkomorskim, obaj
rozbieżeli się w przeciwne strony.

XXI.

Przysięga.

Na rozmaite fortele, końcem sprowadzenia zgody, brał się Chołoniewski, lecz z tym zadawnionym rankorem przeciwników rady sobie dać nie mógł; więc należało przystąpić do rzeczy ze strony jurydycznej.

Ale pomimo bieglności w sprawie komorników, jak tu się wziąć było do tego? Albowiem, jak się wyżej nadmienilo, planów i porządnych dokumentów brakło, dekret zaś piérwszój konde-scensyi ułożony był przez jurów *per dominum pstrum*, jak mawiano, témbardziej, iż się przeciwna strona nie broniła.

A co gorsza, że skarbnik, ucieklszy się nanowo do swoich świętych prokuratorów, stanowezo od-

mówił wszelkich eksplikacyj, ukontentowanie z poprzedniego dekretu oświadczył, a w tym swoim uporze trwał niezłomnie. Napróżno podkomorzy przekładał mu:

— Masz jegomość córkę, winienesz jej mienia bronić.

— Będzie ona miała dość i bez tego, a jeżeli moja sprawa dobra, to moi święci obrońcy natchną waszmościów do jej należytego wyklarowania.

— Ale przecież honor szlachecki nie dozwala waćpanu dać się zjeść w kaszy.

— A niechaj sobie je zdrów, skorom mu dał taką omastę jak ów koń i taką szperkę jak wieża *in fundo*. Jam zresztą nie apelował i nie wiem, zkad do tej rewizyi przyszło.

Kropla po kropli, pomimo uznanej zręczności w podobnego rodzaju sprawach, Chołoniewski wyczerpał wszelkie możliwe środki zgody, a rad nierad zmuszony był dalsze działanie pozostawić na drodze legalnej komornikom Zwiǳdzie i Jankiewiczowi. Trudna i tu była czynność, albowiem przesłuchani nanowo świadkowie z dawnego protokółu, w zeznaniach nie okazali najmniejszej sprzeczności; zatém granicę dawną nowy dekret absolutnieby już confirmował, a zgodę, którą nowa kondescensya miała na celu, uczynionoby jeszcze niemożliwszą.

Rzecz tedy, miasto się klarować, stawała się coraz trudniejszą do rozwikłania, gdy komornicy natrafili na piętę Achillesową poprzedniej kondescensyi, a mianowicie: prawo mieć chciało, aby uzyskujący *dukt*, czyli tak zwane odgraniczenie, przy ostatnim i narożnym kopcu ze sześciu równymi sobie stanem zaprzysiągł, że sprawiedliwie jest rozgraniczony i że ziemi stronie przeciwnej bezprawnie nie ujął.

Ponieważ, jak nam wiadomo, uzyskującym *dukt* był podstolijemu więc piérwszy sąd podkomorski winien był onę przysięgę nakazać, a jeśli tego zaniechał, czynił tak ze zbytnej dla niego faworyzacyi, wiedząc że strona przeciwna, jako nie-stająca, oponować nie będzie.

Uradował się Chołoniewski, skoro mu komornicy to podszepełni, a zaciérając ręce, mówił:

— Taki nie powiedzą, że Chołoniewski „płynął, płynął, a na brzegu utonął.” A to mosanie, już obawiałem się, iż o tę kaduczną sprawę sława moja podkomorska rozbije się, bom jeszcze tak zaciętych antagonistów w długoletniej praktyce mojej nie spotykał. Sam król jegomość dał mi dowód wysokiego zaufania, a jabym na starość pokpić miał sprawę? Tegobym chyba nie przeżył.

Zaraz tedy nakazał podstolem przysięgę, ze sześciu równymi świadkami, na dzień następny.

— A jeśli przysięże?—rozwiął supozycye podkomorzego jeden z komorników.

— Bredzisz waść!—odeprze Chołoniewski— rzecz widoczna, iż się wdarł w cudzą granicę, choć na to dowodów nie mamy, gdyż dziwak ten skarbnik, z pod patronatu Pana Jezusa i Najświętszej Panny, składać ich nie chce. A chociaż tam podstoli zajadł się i przed niczemby się nie cofnął, ale przysięga to gruba rzecz, to nie przelewki, mosanie, nie z ludźmi, ale z Bogiem i Jego sądem sprawa!

Prawił tak uradowany Chołoniewski, pociągając sobie stary sekt z komornikami, gdy wtém woźny przyniósł deklaracyą podstolego, iż naza jutrz z sześcioma świadkami stawi się o południowej godzinie do nakazanej przysięgi.

— A cóż teraz będzie, panie podkomorzy?—spytał komornik Zwizda.

Zmieszał się zrazu Chołoniewski, ale nie na długo, i nabiérając rychło rezonu, ozwał się:

— No, stawi się, stawi, to jeszcze nie koniec; ale czy przysięgę wykona, to kwestya. Krzyż pocałować, mosanie, to nie jedno co konfekt polizać, a ja, jako stary praktyk w tych sprawach, zgóry zapowiadam, co zajdzie.

A dalej zakończył wesoło:

— Skarbnik musi być obecnym przy przysiędze; już co tego odmówić nie może; a skoro się

podstoli zawaha, ja im tam palnę oracyą rekonyliacyjną z partesu. Popłaczą się... uściskają... poszlemy po syna, ja sam przyprowadzę córeczkę... ksiądz będzie... da im ślub...

— A jakże to jegomość, tak bez zapowiedzi lub indultu?—przerwał Jankiewicz.

— Ano prawda!... Ale co mi waść pleciesz, jakbym to nie znał kanonów. Ponieważ tu nie będzie raptu, a stanie się wszystko za wolą rodziców, więc dla księdza tylko pokuta kościelna, od której go przed biskupem uwolnię, a za kłopot to już go po swojemu wynagrodzę... Waćpanowie nie zapomnijcie tylko ukryć w przyległym gaiku kapelę i kilka gąsiorów starej małmazyi, przy stosownych puharach wiwatowych, bo nasze roki podkomorskie, ku chwale Bożej i pociesze ludzkiej, zakonkludujemy weseliskiem... Nie wątpię że i sam król jegomość pewnie mi to pochwali — zakończył uradowany podkomorzy, a w duchu dodał:

— I błękitną wstęgą ozdobi!

Słońce dnia następnego przerwało nocne marzenia Chołoniewskiego o błękitnej wstędze.

Około południa *in gremio*, z komornikami, pisarzem, woźnym do czytania rotys przysięgi, udał

się pod kopiec, który ostatni usypała poprzednia kondescensya.

Do księdza zaś, który szedł z nimi dla odbierania przysięgi, ozwał się, zaciągając ręce, podkomorzy:

— A nie zapomniałeś waszmość dobrodziej wziąć ze sobą agendy?

— Miéwam ją zwykle, wyjeżdżając do parafii. Czasem zdarza się dziecię ochrzcić, lub umarłego dysponować; ale tu zdaje się niéma tego wypadku—odpowiedział ksiądz.

— A kto tam wie, może się i jaki sakrament udzielić przydarzy—rzekł Chołoniewski tajemniczo.

Ksiądz, biorąc to za krotofilę, zbył go milczeniem.

Przybywszy na miejsce, według zwyczaju, ustawiono stół białym obrusem pokryty, pomiędzy dwiema świecami krucyfiks, a obok dużą księgę św. Ewangelii rozwartą. Chwila to była uroczysta; każdy oczekiwał jej nadejścia z powagą i w skupieniu ducha.

W oznaczonej godzinie nadszedł podstoli, w otoczeniu swych sześciu świadków, w guniach krojem kontuszowym; u każdego rogatywka na ucho zwieszona, a szerpentyna, choć na parcianych rapciach, ale zawsze to oznaka dostojęstwa szlacheckiego. Wyglądali junacko i determinowanie.

— Czy waszmościowie do przysięgi?— spytał pan podkomorzy, widząc tę zgrają oberwańców, niecałkiem jeszcze otrzeźwioną od wczorajszych libacyj.

— A do przysięgi, proszę jegomości — odpowiedzieli butnie.

— Zapewne wiadomo ichmościom, na co to macie przysięgać, a bezwątpienia znane wam też są dokumentnie granice téj ziemi, albowiem stajecie tu nietylko przed majestatem prawa, lecz i Boskim—rozpoczął sentencyjonalnie pan podkomorzy.

Atoli przodujący téj hołocie przerwał mu opryskliwie:

— Proszę jegomości, to już rzecz naszego sumienia. Przyszliśmy tu nie na indagacyą, ale do przysięgi, jako świadkowie uproszeni przez jmc-pana podstolego, i prosimy o odczytanie nam roty, bo my ludzie nieczasowi, a pracowici.

Lubo nie piszemy tu traktatu o dawném naszym prawie, któremu nawet oszczercy nasi z urzędu i powołania niewiele mogą zarzucić co do jasności i dobrego zastosowania do obyczajów i zwyczajów narodu, jednak, choć nawiasowo, niech nam wolno będzie zaznaczyć pewną jego słabą stronę, a mianowicie zbyteczne szafowanie przysięgą, nietylko w sprawach cywilnych, ale nawet i kryminalnych. Ztąd u szlachty zaściankowej

mniej oświeconej wyrodziło się osobne rzemiosło „przysięgania.” Urwipołcie włączyli się po grodach i trybunałach, ofiarując się z przysięgą, jakiej kto potrzebował, i od świadków naocznych, pamiętających one czasy, słyszałem że w przedśionkach sądowych podczas kadencji snuły się kupki próżniacze, proponując swoje usługi w ten sens:

„A może jegomości trzeba cośkolwiek zaprzyśiądz lub odprzysiądz? Jesteśmy tu gotowi w sześciu, dwunastu” i t. p.

A słysząc to, ich spółzawodnicy wołali ze swęj strony:

„Niech nas jegomość weźmie; my taniiej i lepiej przysięgniemy (?)”

Były okolice sławne z tych „przysięgaczy,” gdzie się oni najłatwiej rekrutowali. I tak na przykład, jak na Podolu około Kamieńca słynełi przysłowiowi „świadkowie orynińscy,” tak znów na Mazowszu znani byli „świadkowie rożańscy.” A taka to właśnie była szlachta, z której pan podstoli swoich świadków zrekrutował.

Przepraszam za odstąpienie od rzeczy, do której corychlej powracam.

Podstoli, w gronie swych świadków, był jakiś posepny, ponuro determinowany, a pierwszy raz od rozpoczęcia onęj fatalnej sprawy zajrzawszy bliżej w oczy swojemu antogoniście skarbnikowi,

który wezwany, stał sobie pokornie na uboczu, wzdrygnął się cały, przystąpił żywo do onego stołu, zdjął czapkę, skinął na świadków, a widocznie czekał, aby im rotę przysięgi woźny odczytał. Chwila była stanowcza.

Podkomorzy, widząc tę determinacją podstolego, nieco się zafrasował, albowiem dokonana przysięga, której najmniej się spodziewał, niweczyła wszystkie jego zabiegi, zadawała cios sławie jego pojednawczej i zarazem wszelkie nadzieje łaski królewskiej rozpraszała.

Milczenie ogólne, zmieszane z ciekawością i niepokojem, zapanowało wśród obecnych. Nikt nie śmiał poruszyć się. Ksiądz czekał już w stule.

Podkomorzy, miasto dać znak woźnemu do odczytania roty, stojąc pomiędzy swymi komornikami, naradzał się jeszcze z nimi półgłosem:

— Gotów przysiądz, mosanie.

— Przysięże!—odparł stanowczo jeden z komorników.

— I mnie się tak widzi—dorzucił drugi.

— Tam do kata! wszystko przepadło! A król jegomość tak gorąco polecał zgodę... Czy już niema rady?—mruknął markotny podkomorzy.

— Moznaby jeszcze, jegomość, z artykułu 81 rozdziału 4...—rozpoczął komornik Jankiewicz.

Nie dał mu wszakże dokończyć Chołoniewski, szepejąc niecierpliwie:

— Z waści bo jest wielki kunktator. Jeżeli wiesz jaką radę, to ogłosz ją w mojem imieniu. Czas nie stoi!

Komornik, nie zwlekając, przywołał do siebie woźnego, stojącego z rotą przysięgi przy księdzu, a ustawivszy go przed sobą, ukrył się poza nim i wzięwszy na siebie rolę jakby suflera teatralnego, podpowiadał mu wyraz po wyrazie, dobitnie a jasno, bo taki był w sądach zwyczaj, poczęści dlatego, ażeby który z woźnych, zazwyczaj z prostaczków rekrutowanych, nie plótl jakiej banialuki.

Woźny tedy, z podpowiadania komornika, opiewał uroczystym głosem co następuje:

— Mości panowie! Uciszcie się!. W imieniu jego królewskiej mości, a prześwietnego sądu jego podkomorskiego, z dekretu najjaśniejszego trybunału ustanowionego, wszem wobec i każdemu zosobna wiadomo czynię: iż przysięgę stronom nakazaną na dzień dzisiejszy, sąd wyż rzezonny z urzędu swojego, na mocy rozdziału 4 artykułu 81, na dzień trzeci od dnia dzisiejszego odkłada, toż samo miejsce wyznaczając.

Tak zagrzmiął woźny donośnym głosem, a głos to zaiste był wspaniały i naksztalt trąby archanielskiej, drżeniem słuchaczy napelniał. Kto z was podobnego nie słyszał, nie potrafi sobie utworzyć o nim pojęcia.

Zgromadzeni dość obojętnie przyjęli tę wiadomość, niektórzy nawet z radością, obawiając się tej przysięgi dla grzechu krzywoprzysięstwa; wielu bowiem było przekonanych o niesprawiedliwości sprawy podstolego. Wszakże jego świadkowie oburzyli się, roszcząc poetensyę o stratę czasu.

— Ej co to za robota dwa razy chodzić na jedną przysięgę. Niech nas dopuszczą, a wy tam sobie potem przysięgniecie—mruźli do podstolego, lecz ten ich obietnicą podwójnego wynagrodzenia złagodził.

Najszcześliwszy był podkomorzy Chołoniewski pozyskawszy zwłokę, lecz zawsze musiał, dla zmienienia determinacyi fatalnej podstolego, jakieś nań wpływy wynaléć, o co niełatwo było, gdyż szlachta przy samém rozpoczęciu tej niesprawiedliwej sprawy usunęła się od niego; trzeba więc było radzić inaczej, ażeby podstoli zamiaru przysięgi zaniechał.

Umyślił tedy podkomorzy działać religijnie na podstolego i sam udał się do sąsiedniego Pułtuska, aby ztamtąd prałata sprowadzić, któryby z asystencyą nabożeństwo odprawił; komornika zaś pchnął do Łomży do konwentu o.o. kapucynów, po sławnego naówczas kaznodzieję, ojca Tranquillina.

Co tylko mógł podkomorzy uczynić, aby rzecz do pożądanego końca doprowadzić, tego nie za-

niedbał; wystarał się nawet z Pułtuska, boć to było miasto oddawna pod rządami biskupów zostające, o mądrego teologa i wyprawił go w przeddzień naznaczonej przysięgi, na skruszenie ztwardziałego grzesznika, podstolego. Atoli na próżno kapłan usiłował go przed ważnym aktem przysięgi do sakramentu pokuty nakłonić, bowiem acz go przyjął łaskawie, za rady podziękował, mówiąc że już sobie dawno obrał innego kierownika sumienia i ten mu w potrzebach duchownych wystarcza (1).

Nadszedł nakoniec dzień naznaczony przysięgi, z niepokojem oczekiwany przez podkomorzego, jako popisu jego podkomorskiej sławy, lub szkopułu, o który ona rozbić się miała.

Przez owe trzy dni chodził Chołoniewski jak struty: dobiérał sobie najprzedniejszych sektów, ale te mu nie smakowały; był markotny i dyskursem nawet nierad się bawił. Wstał dnia tego jeszcze dobrze przed świtem, a pobudziwszy służbę przy pochodniach, zajął się wystawieniem a ornamentacją ołtarza. Wiele poprzedniejszych makat i kobierców poszło na wzniesienie wspianiałego ołtarza, a przy kopcu, gdzie się miała

(1) Opis tej sprawy czerpany jest z dokumentów urzędowych, a w większej części z rękopiśmiennego raptularzyka komornika Zwizdy. Szkoda tylko że ten nie doszedł nas w całości.

odbyć przysięga, stanął taki ołtarz, że możnaby go było godnie umieścić i w katedrze biskupiej. Już to prawda, że i księża z Pułtuska na prośby podkomorzego wiele kościelnych efektów ze sobą przywieźli, a gustem i eksperymentem do téj roboty niemało się przyczynili.

„Jak ów kopiec był wysoki, a takiemu od czasu długoletniej méj praktyki komorniczéj nie widział (mówi tu raptularz Zwizdy), bo już sobie podstoli w téj złośliwej sprawie rąk nie żałował— pokrył się na całą wysokość i wszérz drogiemi makatami, przerzucanemi w girlandy z zieleni i kwiatów. Na samym przyczółku przypięto namiot czerwony z altenbasu, w gwiazdy złote. Sztuka to kosztowna i prawdziwie rarytna, którą miał przodek Chołoniewskiego na wyprawie wiedeńskiej pod królem Janem zdobyć. Namiot zawinięto dogóry w paludiment odkryty, a pod nim wznosił się ołtarz, aż pod sam wierzch zawieszony kilku pięknemi obrazami. Światła jarzącego była moc wielka, a wszystko w bogatych świecznikach; frenzle złote przy obrusach, krucyfiks duży z lanego srebra — słowem niczego tam nie brakło do ostentacyi i piękności, a śmiało mógłby ks. prymas przy nim celebrować (gdyż ołtarz jego przy ostatniej elekcyi na Woli pod gołym niebem, który na własne oczy widziałem, daleko się temu nie równał).

„Zaraz po wschodzie słońca ukończono wspinałe dzieło, a przypatrując mu się, pan podkomorzy wziął się w boki i prawil nadęty:

— „A co, mosanie, ołtarz to dalibóg choć do Watykanu. Już co chcesz gadaj, ale przed takim ołtarzem to sam lucyfer krzywo nie przysięgnie!

„Był już w dobrym humorze, a jeszcze długo cós majstrował, to to, to owo poprawił. A gdy ujrzał, że lud z poblizkich wiosek zaczyna się schodzić, a żegnać i modlić jak przed cudowném miejscem, już się nie posiadał z radości. A że nasz podkomorzy był szczery i otwarty człek, a długo w tajemnicy nic nie zachował, wziął mię tedy *aparte* i jał półsłówkami cedzić:

„ — Ale ty nie wiesz, Zwizdo, co tu ja jeszcze mam; tyś człek nieprzezorny, aniby ci to do głowy przyszło.

„A ja na to:—A zkądże mam wiedzieć?

„Po długich ceregielach rzecze podkomorzy:

„—Czekaj-no, to ja ci pokażę, albo nie, boś ty papla i jeszcze się przed czasem wygadasz.

„Miał tam jakiś papier duży w zanadrzu, aż nakoniec prawi:

„ — No masz, ale na parol szlachecki, *sub secreto secretissimo*. Obacz co to jest.

„I pokazał mi indult biskupi, uwalniający podstolica i skarbnikównę od dwóch pierwszych za-

powiedzi, wydany na imię najstarszego prałata, który właśnie miał celebrować.

„Pokręciwszy na to głową, rzeknę:

„ — Daj to Boże, ale...

„ — Waść-bo zawsze ze swoim „ale.” — Szkoda że cię ochrzczono Józefem, a nie Tomaszem, boś niewierny jak ów apostoł.

„Burczał tam jeszcze na mnie, ale przypomniałem, iż czas aby się przystroił, bo słońce było wysoko, a ludu coniemiarą napływało.

„Przed południem, nim msza św. wyszła, już wybiéraliśmy się na miejsce, gdy wyszedł podkomorzy ze swęj komnaty. Na jego widok obaj otwarliśmy usta z podziwu. Był na nim mundur wojewódzki według uchwały ostatniego sejmu (1780), w którym się królowi jegomości prezentował: kontusz blade-błękitny, z przedniego lionskiego kaszmiru, z obszlagami pąsowemi, guziki przy nim szczérozłote misternéj roboty, w wypukło-rzeźbie, a każdy z nich inny obiekt reprezentował: to broń jakowąś, to głowę zwierza lub figurkę mytologiczną, a lśniły tak do słońca, że zaponka dyamentowa ze szmaragdem na połowę kurzego jaja, przyćmić ich nie zdołała. Żupan biały, z ciężkiéj lamy, tak chrzęściał jakby mi-siurka; pas cały złoty, już nie słucki, lecz czysty perski, przetykany niezapominajkami niebieskiemi. Do tego kołpaczek soboli z wierzchem

białym, a kita ogromna, spięta dużym szafirem w perły uryańskie osadzonym, tak się przelęwała do słońca, jakby mléko. Dodać do tego, że był to personat i corpulentus, a twarz miał isticie staropolską, otwartą i szlachetną.

„My z Jankiewiczem, chociaż wysadziliśmy się na strój odświętny jak najlepiej stać nas było, ażeby przynajmniej ochędożnie przed ludźmi się z urzędu pokazać, ale gdzie to nam było mizerakom takiemu dostojnemu sprostać panu.

„A szedł Chołoniewski z powagą i siarczyście, tak jakby jaki duży statek płynął po oceanie. Lud, którego się już do dwóch może tysięcy zebrało, mimowoli się usuwał z drogi, choć nikt nie poprzedzał i drogi nie torował, bo podkomorzy tego nie lubił, a kłaniali mu się w kolana, a nawet w ręce całowali, jakby biskupa.

„Widząc podkomorzy tak niezwykle zbiegowisko, a nietylko ludu prostego, bo na czele wielu przedniejszych z okolicznej szlachty stało, szepnie mi, zaciérając ręce:

— „Jak na odpusćcie, mosanie... a co, *niewierny* Tomaszu, może jeszcze zaprzesz, że wobec takiej kupy liznąć krzyżyk, to wszystko jedno co na cztery oczy przed sądem?

„Idąc, rozpatrywaliśmy się w tłumie i spostrześliśmy Bogatkę, jako się trzymał na uboczu, kupką ze swoimi sześcioma świadkami, a do powita-

nia podkomorzego wcale nie przystąpił, na co on się namarszczył. Skarbnik tylko z przedniejszą szlachtą wyszedł na spotkanie podkomorzego, których on kordyalnie powitał.

„Skoro doszliśmy do ołtarza, natychmiast prałat wyszedł w asystencyi ze mszą św., której muzyka kościelna w połączeniu z podkomorską pięknie przygrywała, wykonywając rozmaite pobożne rotule i symfonie.

„Podkomorzy ukląkł tuż obok ołtarza na poduszce, którą mu hajduk podesał, bo jako korpulent, miał trudność w klęczeniu, a bardziej we wstaniu. Modlił się też gorliwie, a może na tę intencją, aby Bóg zmiękczył zatwardziałość podstolego i od krzywej przysięgi go odwrócił. Ja bowiem, klęcząc tuż przy podkomorzym z boku, obserwowałem, iż podstoli nie ukląkł, ani się modlił, a był jakiś roztargniony i niecierpliwie węsasał; kiedy przeciwnie jego świadkowie, pokleknawszy pobożnie, tłukli się w piersi jak w cymbały, tak żem mimowoli sobie pomyślał: „ci pewno odstąpią go, a nie przysięgną...” Lud wszystkim modlił się na kolanach ze skruchą.

„Po ukończeniu św. ofiary, odprawionej z przykładną pobożnością i wszelką ceremonią, wyszedł ks. kapucyn, a za nim woźny, mający czytać rotę przysięgi. Kiedy kapłan rozkładał na ołtarzu

księgę Ewangelii, a na niej krucyfiks, woźny zawołał donośnym głosem:

„—Mości panowie! W imieniu jego królewskiej mości a sądu jego podkomorskiego, wzywam strony, mające sobie przysięgę skazaną na dzień dzisiejszy, aby się tu zbliżyły.

„Na te słowa podstoli, stojący po za całym tłumem na samym końcu, szybkim krokiem, razem ze sześcioma swoimi świadkami, zbliżył się do ołtarza. Ludzie mu rum wprawdzie dawali, ale widocznie nie dla respektu, tylko prędzej usuwali się od idących z odrazą.

„Skoro stanęli przed ołtarzem, zabrał głos ojciec Tranquillin. Już sama postawa tego świętobliwego, a ascetycznego zakonnika, przejmowała widza poszanowaniem. Powierzehowność miał, jaką wielu świętym na wizerunkach nadawają: długa, siwa broda, twarz od maceracyi i umartwień wybladła, czoło wysokie, otwarte, marszczkami myślenia i kontemplacyi poorane, oczy duże, jasne, łagodne, w niebo wzniesione; postawa wysoka i chwiejna, zaledwie ziemi trzymać się zdawała.

„A cóż dopięro, gdy zagrzmiał złotoustą wymową, powiadając o ważności przysięgi, o karze i potępieniu ludzi kłamiących przed prawem i Bogiem. Zda się, że przed słuchaczami dno piekielne otworzył; lud cały zaryczał głośnym płaczem, jak jeden człowiek.

„Podstoli mienił się, drżał na całym ciele, a co do mnie, już wątplenia nie miałem, że od przysięgi odstąpi. Owi zaś świadkowie słuchali jak gawrony z rozdziawionymi gębami, nic nie rozumiejąc; snadź należeli oni do tych *przysięgaczy* z rzemiosła, których na nieszczęście kręci się u nas tyłu po trybunałach i grodach.

„Po skończonej pięknej mowie, poczekawszy chwilę na skutek, jaki wyrze, a widząc iż pan podkomorzy jakoś animusz utracą, w jego zastępstwie skinąłem na woźnego, aby spełnił swoje powinność. On tedy, polecivszy przysięgającym podnieść prawe ręce dogóry, zaledwie począł czytać rotę przysięgi, gdy wtém skarbnik błady, drżący i pomieszany, podbiega do podstolego, a chwytając go za podniesioną rękę, zawoła rozpaczliwym głosem:

— „Mości podstoli! panie bracie! na miłość Boga, na zbawienie twój duszy, na cześć szlachecką zaklinam, odstąp od zamysłu grzesznego przysięgi... Weź Małe Bogacice bez żadnej pretensyi, które z łaski twych przodków trzymamy, ale nie gub duszy!...

„Tracił go silną dłonią podstoli, aż biedny skarbnik powalił się o ziemię; lecz nie podnosząc się, jeszcze wołał błagalnie:

„— Leżę u nóg twoich! zabij mię! ale dla marnej ziemi nie zatracaj chrześcijańskiej duszy.

„Podstoli, jakby nie widział leżącego, usunął się, a głosem nad podziw donośnym i pewnym zwrócił się do Chołoniewskiego:

„— Mości panie podkomorzy! Stawię się tu z prawem i na jego wezwanie, upraszam więc aby mi się stało zadość i aby usunięto wszelkie przeszkody do spełnienia tego, co mi ono nakazuje.

„ Spojrzę ja na Chołoniewskiego, który stał mocno pomieszany, niewiedzący jak sobie radzić. Musiałem tedy, działając za niego, podjąć pocziwego skarbnika z ziemi, a odprowadziwszy go na stronę, perswadowałem że „*dura lex, sed lex.*” Zaledwie pocziwina dał się uspokoić.

„Nagle szmer powstał między ludem:

— „Niech nie przysięga!

— „Nie dawać przysięgi!—wołali ztąd i owad.

„Trudna tu jednak była rada. Prawo odroczyć powtórnie przysięgi nie dozwalało, ani jej wzbrownić. Wskazałem tedy woźnemu co miał czynić, a ten głosem stentorowym, na jaki tylko mógł się zdobyć, zahuczy:

— „Mości panowie, uciszcie się, lub proszę na ustęp w imieniu prawa!

„Prawda że huknął jakby z mózdzierza wypalił, aż lękliwsi zadrgali. A pomimo że tłum był kilkotysięczny, takie to u nas było poszanowanie dla prawa, iż wszyscy zamilkli jakby jeden człowiek i nikt pary z ust nie puścił.

„Jeszcze pozostawał pewien wybieg, używany po sądach, dla uniknięcia zgorszenia i grzechu krzywoprzysięstwa, a ten na tém zależał, że jeśli nie bywało się pewnym dobrej sprawy przysięgającego, więc aby na nim sprawić wrażenie obawy i sumienie poruszyć, do odczytania roty dobięrało się woźnego z mocnym głosem, z poleceniem, ażeby cedził słówko po słówku, czynił przestanki, odbijał ważniejsze wyrazy lub zatrzymywał się dłużej na nich. Była to także sztuka, na którą niejeden krzywiący sumieniem pojmał się, przysięgi nie dokończył, lub sprawę przegrał, albo najczęściej za namową obecnych do zgody się skłonił.

„Nasz Wasiutyński był, co się zowie, szczwany woźny podkomorski. Przed przysięgą sam go egzercytowałem w tej deklamacyi, a tak to dokładnie spenetrował, że całą rotę, którą we dwa „Ave” można było zrozumiale odczytać, recytował teraz prawie pół godziny.

„Podstoli mienił się na obliczu, to bladł, to czerwieniał, wargi mu drżały; przeto jednak każde słowo wymówił dobitnie, a nawet niektóre, nibyto niedosłyszane woźny, na zlecenie jego powtórzył. Cisza grobowa, tłocząca piersi licznych świadków, towarzyszyła temu obrzędowi. Gdy zaś po odmówionej rocie przysięgi, według wymagania prawa, podstoli poszedł do ucałowa-

nia męki Pańskiej i Jego świętego słowa, lud zaczął uciekać w różne strony, jakby gnany morową zarazą, a skarbnik, zatrzymywany przez nas, rwąc się, wołał znowu:

— Na miły Bóg! Panie bracie, bierz ziemię i wszystko co mam, a nie gub chrześcijańskiej duszy!

„Za podstolim poszli do ucałowania krzyża świadkowie, jako bydłęta bezmyślne. O nichby to można powiedzieć ze Zbawicielem: *parce eis Domine, quia nesciunt quod faciunt!* Oni spełniali rzemiosło, jak niby grabarz kopiący dół dla własnego dziecięcia.

„Kiedy woźny zkolei, z nakazu sądowego, czytał długi dekret, umacniający granicę, głosił to już wobec nas tylko, bo wszyscy się rozeszli ze zgrozą i zgorszeniem.

„Podstoli, nie oglądając się poza siebie, biegał cotechu do samego zamku, jakby uciekając od miejsca, gdzie tak wielkim grzechem obciążył swoje sumienie. Po drodze wszyscy usuwali się i uciekali od niego, jak od upiora lub zapowietrzonego.

„Z dłuższej mojej praktyki komorniczéj piérwszy raz widziałem taką sprawę i taki upór wkrzywoprzysięztwie. Wszakże na miejscu długo nad nią deliberować nie było czasu, bo gdym spojrział ukradkiem na pana podkomorzego, aż się

przeląkłem, tak był zmieniony. Oblicze miał purpurowe, krwią całe nabiegłe, a był milezący i posepny. W milezeniu udaliśmy się do karczmy, będącej naszą czasową rezydencją. Dwór tam oczekiwał nas z sutą uczcią, która w poczciwej imaginacyi podkomorzego miała być pojednawczą, a nawet weselną. Służba, nie wiedząc jeszcze co zaszło, snuła się zakłopotana przyjęciem, a dostrzegłszy nas zdążających, wedle uprzedniej instrukcyi pańskiej, dała salwy z moździerzów. Zatrząsł się z gniewu Chołoniewski i wołał:

— „A żeby was, osły, wystrzelało co do nogi!

„Ale owi, nie słysząc groźby pańskiej, spełniali akuratnie ordonans, póki swojego nie wystrzelali.

„Skoro stanęliśmy w ganku, spotkał nas marszałek dworu podkomorzego, a chociaż w barwie pańskiej, jednak przy karabeli, bo był szlachcie, a zwał się Mendalski. Nie wiedząc biédak co się święci, lubo może i zdziwił się, widząc nas samych bez gości, wszakże pełniąc swoją powinność, zgięty we dwoje przed panem, spytał:

— „A rychło jegomość każą na stół podawać? Wszystko gotowe.

— „Zjédz-że to sobie waszmość, choć z psami!—ofuknął nieboraka Chołoniewski, a dobywając zzanadrza bogaty pektoralik kameryzowany, spojrział nań i dodał groźnie:—Jeżeli za półgodzi-

ny nie opuszczę téj przeklętej ziemi, nie masz waść u mnie miejsca.

„Dopieroż następował rwetes niepraktykowany, bo to wszystko, wyjęte na wierzech dla wspañalój uczty, trzeba było napowrót do podróży ułożyć. Stracił biédaczysko Mendalski głowę, ale ratując go, nim się pan przebrał, kazałem zająć jego kolasię i w towarzystwie kilku dworzan i pajuków odjechał, bardzo chmurny i niedyspozyt. Ku wieczorowi ledwie, dokładając niezwykłego pośpiechu, zdołaliśmy wybrać się z całym taborem.

„Żał mi się szczerze zrobiło podkomorzego, była to bowiem pierwsza nieudana jego kondescensya, a ostatnia w życiu tego zacnego człeka, prawego urzędnika, a zręcznego i gorliwego pojednawcy zwaśnionych. Tak go bowiem dojął ów niesukces, a może iż przez to spodziéwana łaska królewska go ominęła, że wkrótce mu się zmarło.”

Tyle jest słów raptularzyka jmé pana komornika Zwizdy.

XXII.

P u s t k o w i e.

Życie tymczasem nowego namiestnika, naszego Michałka, płynęło z nieubłaganą, a nieprzerwaną jednostajnością. Nie gniwał się on też o to: ranki i dnie całe poświęcał obowiązkom służby, spełniając je z wzorową punktualnością i rygiorem wojskowym, za tę zaś pracę sam się nagradzał słodkiem wytchnieniem, oglądając miłą dawną oblubienicę na odległej górze. Był to układ nie usty, ale tylko sercami dwojga kochanków umówiony, lecz każde z nich temu zobowiązaniu czyniło zadość i o pewnej porze na jednej górze powiewała kita furażerki namiestnika, a na drugiej, naprzeciw, biała, czysta szata Hanulki.

To wspólne oglądanie zdala napępniało ich ser-

ca zadowoleniem i rozkoszą; a gdyby ich jakieś dobroczynne bóstwo spytało, czyli im więcej do szczęścia potrzeba?... może zawahaliby się oboje w stanowczej odpowiedzi.

Nie do opisania zatem boleść była Michałka, gdy dnia pewnego, wyszedłszy na swoje stanowisko, nie dojrzał na przeciwném wzgórzu ulubionéj. Przetrwał tam do późnej pory, cienie nocne wzrokiem serca przebieć usiłując, ale na próżno. Po bezsennéj nocy, czekał niecierpliwie upragnionéj pory; lecz znów okropny zawód go zranił. Gubił się w myślach, czyli chowaj Boże nie jest chorą. Biegłby tam, aby sprawdzić srogie obawy, gdyby go zakaz ojca nie powstrzymywał.

Przypuszczał nakoniec, że go wzrok myli. Na trzeci dzień przeto zaopatrzył się w polową lunetę i za jej pomocą odkrył dopiero, iż coś niezwykłego święci się w Bogacicach. Przybywały nowe jakieś tabory, nieznani ludzie zajmowali karczmę stojącą także na przyległym wzgórku. Zrozumiał iż coś tam zaszło, lecz co mianowicie, dowiedzieć się nie mógł, a zresztą i wiedzieć nie chciał, za przybyciem bowiem na nowe stanowisko, odosobnił się od ludzi, a co się tyczy kompanii swojej, postawił się względem niéj odrazu z powagą komendanta, tak iż w poufne rozmowy nie poważyliby się z nim wdawać.

Szczęśliwy był z domysłu, że obecność dość licznych przyjezdnych ludzi, ciągle snujących się nieopodal umówionego wzgórzka, przeszkadzała Hanulce tam się zjawiać; rad nierad, napawał się przez czas pewien widokiem miejsc, lubo na nich drogięj osoby nie stało. Znalazł potem wyniosłość taką, z której zapomocą lunety widział dworek skarbnika, snujące się w nim osoby, a niekiedy i oblubienicę. Co się działo w innych punktach i co robili owi przybysze, nie badał wcale, cała zaś ceremonia przysięgi, jako odbywająca się w głębokim dole, osłonionym gęstym lasem, widoczną mu być nie mogła.

Lecz jakże się uradował młodzieniec, dojrawszy pewnego dnia odjazd tych przybyszów z karczmy i dawną ciszę zalegającą całą wioskę. Pełen nadziei, pośpieszył na dawne stanowisko, lecz niestety i teraz nikogo tam nie ujrzał. Jeczce nie rozpaczał jednak, mówiąc sobie na pocieszenie:

— Zapewne przybyszami tymi była zajęta, ale jutro wyjdzie.

Czyliż powiadać trzeba, że noc dzielącą go od upragnionego jutra spędził bezsennie? Doczekawszy pożądanęj pory, stał już na stanowisku; lecz nie dojrzał miłego obrazu, a natomiast okropny przeraził go widok: w dworku skarbnika działy się dziwne, niepojęte dlań rzeczy; ruma-

cyja tam była kompletna, ładowano wszystko na wozy, ludzie biegali, chodzili, pakowne bryki odjeżdżały. Nakoniec przez lunetę widział dokładnie, jak chorą skarbnikową mąż wniósł do kołébki; obok niej siadła córka, a skarbnik przy nich konno jechał.

Nie miał jeszcze czasu oprzytomnieć, gdy ujrzał już dworek całkiem pusty, wszystkie drzwi i wrota rozwarte na ścieżaj, jako zazwyczaj w miejscu niezamieszkałym, bo nawet psy podwórzowe powlekły się za onym taborem. Biednemu młodzieńcowi ciężką boleścią rozdarło się serce i ono bowiem odtąd, pozbawione drogiego obrazu, staowało się jak dworek... *pustkowiem!*

*

*

*

Pozostawiając Michałka jego smutkowi, dla zrozumiałości wobec czytelnika winniśmy przemieść się na miejsce wykonania onęj przysięgi, a raczej krzywoprzysięstwa.

Skarbnik, kiedy się dowiedział o nakazanej podstolemu przez kondescensyą przysiędze, wielce się tem zasumował, a mówił do żony:

— Nowy kłopot, moja panno, bom już był zadowolony tem, co mamy. Niech tam sobie pan podstoli zabięra i resztę, jako indemnizacyą za konia, bo prawda że com go gwiznął, to gwi-

znał! Ale zawsze mię sumienie trapi, że się pastwił nad niewinnem stworzeniem... A teraz co?... sam nie wiem, tylko pewny jestem, że podstoli przysięgi odmówi, bo ile zapalczywy i uparty, zawsze jest człek uczciwy i dobry chrześcianin. Kaci nadali tę nową sprawę!

Udał się skarbnik na owę przysięgę z tém przekonaniem, iż takowa nie przyjdzie do skutku; lecz gdy ujrzał gotowość do niej podstolego, wszystko przedsiębrał, jakęśmy to widzieli, aby przeciwnika odwieść od grzechu.

Lecz gdy się spełniła rzecz nieprzewidziana wcale, wrócił skarbnik do domu silnie zalterowany, biegł wprost do żony, a ledwie mógł wypowiedzieć:

— Stało się! Podstoli przysiągł ze świadkami! Czynilem com mógł, u nóg mu leżałem, aby do tego grzechu nie dopuścić. Bóg nas pokarał tą sprawą nieszczęsną. Nie chcę już ani kawałka tej ziemi, na której taka zbrodnia cięży. Dziś jeszcze, moja panno, zacznę się wybiierać, a jutro, da Bóg doczekać, ruszymy w drogę, w Rożańskie. Osiądziemy na twoim kawałku ziemi i ten nam do śmierci, a po nas i dziecku naszemu wystarczy.

— Pójdę za tobą posłuszna, gdzie mnie powiedziesz. Dawnom to doradzała, by ztąd ustąpić. Byłoby się wielkiego uniknęło zgorszenia i oszcze-

dziło duszę bliźniego. Wszakże pozwól zapytać, co z tą ziemią czynić zamysłasz?

— Ha! moja panno, ziemi, na której spełnił się grzech podobny, Bóg nie będzie błogosławił, niech się zamieni w pustkowie. Azaliż godzi się dać ją bliźniemu na widoczną zgubę? Bogatkwie nam ją niegdyś dali, niech wraca do nich i oby Bóg im ciężkiego grzechu nie poczytał.

Począł się tedy ów wybór z dawniej siedziby, gdzie im w spokoju długie lata przeminęły. Cios to był dla rodziców, lecz go mężnie przenosili; biędna tylko Hanulka zaléwała się gorzkimi łzami. Żal jej było nietyłe może miejsce rodzinnych, ile owego wzgórką, z kąd drogi obraz ukochanego przedstawiał się jej stęsknionym oczom.

XXIII.

Ojciec marnotrawny.

Przeszło rok już mijał, odkąd Michałek ze wzgóрка swojego poglądał łzawém okiem na pola skarbnika odlogiem leżące i na dworek, niegdyś świątynię swoich najpiękniejszych nadziei, dziś upadający w ruinę. Zakrwawiło mu się serce żalem i tęsknotą, a bardziej jeszcze zraniło niepewnością, gdyż daremnie sobie zadawał pytania, których rozwikłać nie mógł:

— Dokąd pojechali? dlaczego? czyli ją kiedy obaczę?

Jako odsuniętego od świata samotnika, nie go nazewnątrz nie dochodziło, a nareszcie i pytać nie śmiał, bo przecucie mu powiedziało, iż własny jego ojciec stał się tych zmian powodem i nie

chciał się za niego rumieniść. Nieraz wyczerpnąwszy cierpliwość, stał już na granicy ziemi rodzinnej. Chciał zająć tam ukradkiem, zasięgnąć wieści pewniejszej, zrzucić z piersi trapiący go niepokój niepewności, spojrzeć na te drogie miejsca, deptane jej drobną stopką, zaczerpnąć powietrza, którym niegdyś oddychała. Lecz jako dobry syn, nie powążył się przekroczyć zakazu ojca, wydanego pod zagrożeniem przekleństwa.

Starzał się przed czasem na tej służbie jednostajnej czasu pokoju, kiedy chorągwie latami nie ruszały się z miejsca, a starszyzna o nich zapomniała, z wyjątkiem że co lat kilka zjechał jako lustrator jeden z poważniejszych rotmistrzów, obaczył, pochwalił i ruszył dalej.

I łaska królewska, jako łaska pańska przysłowiowa, na pstrym koniu jeżdżąca, dawno go omięła. Dwór królewski i piękne jego damy zawsze dopięły celu w jakim takim rozwiązaniu intrygi romansu, chociaż nie po ich myśli; ale czego tu chcieć więcej? Powiadano że sprawa tak się zawikłała, że aż podkomorzy, który zęby zjadł na kondescensyach, nie mogąc jej rozplątać, umarł ze zgryzoty; ojciec zaś z bogdanką opuścił dawną siedzibę przodków. I coś tam jeszcze dodawano dla okraszy, a tymczasem nowa jakaś intryga zajęła umysły i języki, a dwór, niegdyś cackający *białego chłopca na czarnym koniu*,

już dziś zapomniał, azali on istniał kiedy. Taka to bywa pamięć wielkich; bodaj czy nie ona to dała początek przysłowiu „co z oczu, to i z myśli.”

Pewnego dnia Michałek ujrzał przed sobą poczciwego Grzegorza. Piérwsze to było prawdziwie przyjazne serce, które młodzieniec od lat kilku uczuł przy sobie. Wielce się też staremu ucieszył.

Dziwnemi mu się wydały te odwiedziny, domyślał się bowiem, że podstoli surowo zabronił swemu dworowi wszelkich stosunków z paniczem, co wistocie tak było; bo czyliż inaczéj stary Grzegorz usiedziałyby spokojnie w bliskości swego drogiego wychowanka? Ledwo się nacieszyli sobą w długich, serdecznych uściskach, a Michałek tysiące pytań cisnących mu się do myśli gotował staremu słudze, gdy ten mu je przerwał, powiadając:

— Wysłał mię jegomość do ciebie, mój Michałku (bo ze stanowiska piastuna nie tytułował panicza), ażebyś się corychłéj stawił do niego.

Zdziwił się namiestnik, słuchowi swemu nie dowierzał i zapytał z wątpieniem:

— Chyba żartujesz, stary, że mój pan ojciec...

— Niéma tu żartów, mój Michałku, ale smutna prawda i przygotuj się, synku, na frasunek, bo jegomość choruje już obłożnie od ostatniéj kondenscensyi, a od kilku dni zaniemógł gwałtownie... Mnie, co jegomości bezustannie doglą-

dam w chorobie, nieraz pyta o ciebie, ale jakoś ni tak ni owak, chociaż już bez sierzystości, owszem z afektem. Ja chciałem nieraz jegomości podszepnąć, aby was do siebie powołał; lecz ile razy napomknąłem bliżej, machnął ręką, lub udał drzemiącego. Aż dziś, po dłuższej konferencyi z ojcami — bo u nas teraz jest aż dwóch kapucynów z Łomży — powołał mię jegomość do siebie i począł prawie słabym głosem o tém i owém; a potem nagle, jakby wziął na odwagę, ozwie się znienacka:

— Gdyby tu Michałka sprowadzić... co ty na to, stary?

A ja się zerwę na równe nogi i rzeknę uradowany:

— Każ jegomość, a ja biegnę zaraz w te pędy. Przecie panicz nie za górami, o miedzę tylko... >

I już biedz chciałem, bom uczułem że mi nogi młodnieją, ale jegomość jakoś prawie nieśmiało, głosem, którego z ust tych nigdy nie słyszałem, rzecze:

— Czekaj-no, stary... Czy Michałek zechce przybyć? Ja mu biédakowi niemało złego sprawiłem.

— Ej! jegomość, co to za rachunki ojca z synem? — odpowiem. — A ja gardło moje daję, że za chwilę Michałek tu będzie...

— Słusznieś wyrzekł, mój poczciwy stary Grzegorz—przerwał Michałek ze łzami, zawisłszy na szyi starego przyjaciela, a otwierając drzwi do antykamery, zawołał na ordonansa:

— Héj, konia, co żywiéj!

Zaledwie kilka słów mieli czas zamienić ze starym sługą, a koń osiodłany już stał przed gankiem i jednym skokiem siedział na nim namiestnik, podczas gdy starowina zapomocą ordonansa gramolący się na swego siwka, poczynał gderać na panicza, który z miejsca pocwałował:

— Czekażże-no trochę, Michałku, bo mój gniadosz prawie tyle lat mię nosi, ile ty żyjesz na świecie...

Widząc zaś jak wychowanek znika mu z oczu na swoim koniu, mruczał sobie stary:

— Szukaj-że tu wiatru w polu. Stary względem młodego, to jak kura co wysiedzi kaczęta: one popłyną, a ta biedaczka kwoka sobie nad brzegiem.

I jak go stać było, dodawał animuszu staremu gniadoszowi, ale zawsze panicza nie dognał.

Michałek tymczasem, puściwszy wodze swojemu biegunowi, w kilka pacierzy już dobiegł téj rodzicielskiéj bramy, która niedawno tak się niegościnnie przed nim zawarła. Lecz dziś nie potrzebował już czekać na opuszczenie mostu, ni téż na otrąbienie przybysza: bramę zastał na rozcież

otwartą, a żadnych czat nie było. Nawet wartki tentent konia niczyjój uwagi nie zwrócił, bo już nie było komu czuwać, wszystko się rozprzegło. Znać iż silnej woli pańskiej nie stało.

Zaledwie gdy się zbliżył jezdny do kruzganka zamkowego, wysunął się jakiś zaspany sługus, z widocznym podziwem mierząc przybysza, jakby do obcych nieprzyzwyczajony, i spytał, ziewając:

— A czego to jegomości potrzeba? Pewnie zbłądziliście, bo tu panowie nie jeżdżą.

— A to wy, Kubo, jak się miéwacie? — przemówił serdecznie Michałek do pytającego.

— Jezus, Marya, Józefie święty! A to nasz panicz podstolic! — zawołał, plaszcząc w dłonie radośnie, a ręce Michałka całował i do kolan mu się skłonił. — A to wy do starego jegomości, Grzegorz po was jeździł, ale myśleliśmy że nie przyjedziecie, bo — rozpoczynał Kuba nieśmiało, ale mu przerwał podstolic:

— To źleście myśleli... Prowadcież mię corychlej do pana ojca.

— A to tu, proszę łaski panicza, w celi nieboszczyka.

Zdziwił się niepomału Michałek i nie dowierzał z początku, wiedząc iż z kilkudziesięciu wspaniałych komnat zamku cela ś. p. definitora

była najlichszą i nie mógł pojąć, dlaczego ją ojciec na mieszkanie obrał. Wszelako szedł w ślad za przewodnikiem,

Zanim syn stanie przed surowym niegdyś ojcem, niech nam wolno będzie cofnąć się nieco w czas przeszły i dowiedzieć się, co zaszło po dokonanej przez podstolego przysiędze, kiedy wracał jakby tryumfator z odniesionego nad przeciwnikiem zwycięstwa. Niepodobna odgadnąć, co mu szeptało trudne do uśpienia sumienie; wszelako złość i chęć zemsty głośnieję przemawiały. Radby był dalej prowadzić gorliwie rozpoczęte dzieło gnębienia przeciwnika i przemyślał tylko, jakby wywołać z jego strony jakąś zaczepkę, a z niej wziąć asumpt do dalszego przesładowania.

Lecz jakież było zdziwienie i rozczarowanie podstolego, gdy ujrzał skarbnika wybierającego się z dawniej siedziby. Pomimo to jeszcze nie dawał za wygraną zemście, cieszył się nawet z początku, myśląc że uzyska nową ofiarę.

— Pewnie skarbniczek (mawiał sobie dla podtrzymania złości) posadzi tu jakiegoś krewniaczka żony, to z nim nanowo zagramy!

I już oczekiwał tylko przybycia nowego sąsiada; lecz jak na złość nikt nie przybywał, dom

stał pustką, pola odłogiem i podstoli nakoniec nie mógł nie pojąć myśli bezwarunkowego odstąpienia swojego antagonisty.

Nie pozostawało więc teraz podstolemu, jak chyba pastwić się nad pustym domem i nieuprawną ziemią. Wtedy dopiero z konieczności ostygł w gniewie i uznał swoją bezsilność.

A tu tymczasem głośniej przemówiło sumienie, wydobywając na jaw całą niegodziwość jego postępu. Przemówiło serce ojca, iż dla błahych widoków zemsty szczęście syna poświęcił. Odezwało się uczucie obywatela i chrześcianina, że dla dogodzenia pasyi skłamał przed Bogiem i prawem. Sam w swoich oczach uznał się nikczemnym i pogardy godnym.

Od chwili do chwili dziwne zachodziły zmiany w tój niegdyś butnej i nieugiętej naturze; miękła do niepoznania sprężysta i szorstka prawica, ciężąca niegdyś tak srodze nad całym dworem, a wmiarę obniżania się sił ducha, upadało i ciało; zestarzał, zgrzybiał przed czasem, stawał się do niepoznania pokornym, cichym, umartwionym.

Przez podmuch zemsty czy fantazyą rozdrażnionego umysłu, podstoli od czasu wymordowania ptaszków nieboszczyka i przyczynionej ruiny przybytkowi ojca definitora, poczytywanemu przez wszystkich prawie za miejsce święte—nie dozwolił poczynić tam żadnej zmiany, naprawić lub jak-

bądź opatrzyć uszkodzoną przez się izdebkę. Posłuch i obawa pana były wielkie na zamku i nikt, mimo pobożnych chęci, nie śmiał tknąć skazanego na opustoszenie miejsca. Cichaczem tylko pobożni pamięci definitora cześć oddawali, aby pan tego nie dostrzegł. Sam podstoli, ile razy spojrzął na tę ruinę, czuł wyrzut sumienia za swą nieszczęsną popędlivość i odwracał się nie bez pewnej obawy.

Lecz im głośniej przemawiało w nim sumienie, tém bardziej począł się zbliżać do tego przybyteczku. Zdawało mu się iż duch wielkiej miłości, który przeżył dawnego mieszkańca tej celi, koł jego zgryzoty i wyrzuty sumienia łagodzi.

Raz ukradkiem zaszedł tam zwieczora i mimo woli jakaś niepojęta siła rzuciła go na kolana przy starym klęczniku księdza, już prawie w proch rozsypanym. Przez stłuczone okna dworzanie, ujrawszy swojego pana, dziwili się jego tam bytności, a bardziej jeszcze postawie ukorzonego w modlitwie, bowiem od czasu onęj fatalnej przysięgi, wszelkich religijnych praktyk zaniechał podstoli.

Przedłużony tam pobyt pański przeszło przez dobę niepomału zatrwożył całą służbę, nie dlatego aby miano powód kochać pana, który nadmiarem surowości wierne służby nagradzał. Atoli winniśmy tu wypowiedzieć, że większy rygor i su-

rowość wywoływały nieraz dawniej u podwładnych cieplejsze przywiązanie, jakby w istocie nie była paradoksem owa łacińska maksyma: *qui bene amat, bene castigat*.

Każdy ówczesny pan, a nawet panek, przestrzegał pewnej etykiety dworskiej, jakby głowa koronowana, a główną jej było zasadą, iż nikt niepowołany nie śmiał stanąć przed obliczem pańskim, lub mówić z nim niezapytany. Pomimo tego wszakże zakłopotala się poczciwa czeladź o swojego pana, bo chociaż widywała go zwykle chmurnym i posepnym, a znała jego wstrzeźliwość w pokarmach i odosobnienie od ludzi, jednak ta rekluzya zdała się im być zatrwajającą, przez samo dłuższe swoje trwanie.

Sztuka jednak, jak tu do pana tak srogiemu przystąpić, aby go zapytać o zdrowie czy potrzeby? Jak tu przestąpić zakaz surowy i wejść do pana niewołanym? A tu tymczasem druga dobiegała doba, od kiedy pan modlił się samotny, pokarmu żadnego nie przyjmując. Długo się nad tém czeladź naradzała, kto z nich na tak widoczne niebezpieczeństwo się narazi.

Po długich deliberacyach, głosy padły na staro Grzegorza, a któryś ze sług poparł trafność tego wyboru takiem rozumowaniem:

— Przecie to Grzegorz sługa domu nie od ojca, ale jeszcze od dziada pańskiego, przy którym

był już węgrynką do fajek, jako dzieciak. On tu najstarszy, pan na niego ręki podnieść się nie poważy, a kto tam wie, co każdego innego może spotkać.

Grzegorz tedy, spełniając misyą włożoną nań przez ogół, przeżegnawszy się, stanął nieśmiało w progu celi definitorskiej.

Podstoli, zawsze w modlitwie zatopiony, na szmer odwrócił głowę i ku wielkiemu zdziwieniu Grzegorza spytał łaskawym głosem:

— A co powiesz, mój stary?

Zdziwiony słodkim tonem tego głosu, który od lat wielu służby obił się poraz pierwszy o uszy wiernego sługi, odparł stary Grzegorz zawsze nieśmiało:

— Przyszedłem, proszę jegomości, dowiedzieć się, czy nie potrzeba czego. Jegomość już drugi dzień nic nie jadł...

— A prawda, mój stary, bądź-że łaskaw przynieś mi kawał chleba i dzbanek wody.

— Gdzie zaś, chyba jegomość żartują. Przecie Jakub już obiad ma gotowy.

— Mówię ci, kochanku, że chcę mieć krajanekę suchego chleba i wodę; spodziewam się że mi to przyniesiesz — ozwał się pan tonem, w którym dźwięczały jeszcze resztki dawnego rygoru.

Stary sługa, skłoniwszy się głęboko, wyszedł, a za krótką chwilę stawił się, spełniając rozkaz pański.

— Dziękuję ci, mój kochany. Co dnia, o tój samej porze, przyniesiesz mi podobną strawę.

— Ale obiad, jegomość...

— Aha, obiad... powiesz Jakubowi, ażeby dla mnie więcej nie gotował.

— Gdzie zaś jegomość—rozpoczął stary sługa, ośmielony łaską pańską, jakby z perswazyą.

Lecz pan mu przerwał krótko, lubo nie surowo, dawnym obyczajem:

— Do zobaczenia, stary, do jutra.

Odprawa była krótka, lecz wcale zrozumiała; stary wyszedł ze spuszczoną głową.

Dzień po dzień wypełniał Grzegorz rozkazy pańskie z punktualnością, a że mu się setnie żal pana zrobiło, więc parę razy ośmielił się na odezwanie:

— A możeby jegomości ciepłego rosółu lub winnej polówki... Kieliszek tokaju takżeby nie wadził. Ja tu się jeszcze dowiem do jegomości. A możeby jegomość pozwolili mnie przy sobie pozostać?

Na wszystkie te serdeczne propozycye odbierał jedną i tę samą odpowiedź, wprawdzie łagodną, ale niemniej stanowczą:

— Do zobaczenia, stary, do jutra, o tój porze.

Dwór tymczasem, dziwując się pańskiej nowej fantazyi, powoli się rozprzegał, a może i nie bardzo się gniewał za uzyskaną swobodę.

Stosownie do rozkazu pańskiego, stawił się stary Grzegorz z prowizyą już razy kilka. Lecz pewnego dnia, wchodząc o naznaczonej porze, przeraził się starowina okropnym widokiem: podstoli na gołym tapczanie definitora leżał zdjęty ciężką niemocą, blady i do niepoznania zmieniony. Ujrzawszy to, zapomniał wierny sługa o dawnym rygorze i subordynacyi, a wyrzekł z trwogą:

— Jegomość, zawołam ludzi i przeniesiemy was do sypialni, bo jak to można leżeć w takiej rudrze.

— Nie, stary, ja się już ztąd nie ruszę, bo to nie rudera, ale świątynia pobożnego i bogobojnego człowieka, gdzie on wielkiego ducha Bogu oddał... O! czemuż on mię tak rychło opuścił? Może nie byłbym występny, jak dziś jestem.

Wierny sługa, nie słuchając prawie tych słów, bolał już tylko nad stanem pańskiej niemocy i ozwał się z niepokojem:

— Jegomość chory, możeby sprowadzić babę, niech da jakie leki... Ale co prawda, to baby dla nas prostaków. Ot, lepiej każę zaprządz koczobryk i pojedę po chirurga do Łomży...

Pan, który zdjęty jakąś niemocą, chwilami drzemał, na te słowa podniósł głowę, jakby się ze snu budził, a mówił dość wyraźnie i prędko:

— Do Łomży, powiadasz?.. tak, pojedziesz do Łomży, ale nie po chirurga... Cielska, co tyle

nabroilo w życiu, ratować nie trzeba, ono tam na sądzie Pańskim weźmie i bez tego za swoje; ale leczyć wypada coprędzej duszę, którą bolączki grzechu obsiadły. Otóż, mój stary, weź koczo-bryk i jedź do Łomży do konwentu o.o. kapucy-nów, proś ojca gwardyana, aby mi przysłał ks. Tranquillina. Przed nim ciężki grzech popełni-łem, on jeden może mi go rozwiązać. A może i gwardyan będzie łaskaw z nim przybyć; przy jednej okazji pomówilibyśmy o potrzebach kla-sztoru... Śpiesz, stary, śpiesz, bo to już może chwile policzone.....

Stary sługa pilnie spełnił rozkaz pański, a na-zajutrz zrana już nawpół zmartwiałe powieki chorego ożywiły się na widok posłanników Bo-żych.

Długie pojednanie z Bogiem, zapomocą sługi jego ojca Tranquillina, odbył podstoli, a snać skru-cha jego spodobała się niebu—bo choć ciało słabém jeszcze pozostało, odżył na duchu i wezwaw-szy podstarościego, głosem niemal dawnym, sta-nowczym, jednak już bez surowości, wydał roz-kazy:

— Weźmiesz mi waść ludzi ile tylko można i jak najprędzej zniesiesz granice od Małych Bo-gacie. Rowy zasypać, kopce zrównać z ziemią, żeby ich tam śladu nie pozostało; ony słup ka-mienny obalić, a stoczywszy do rzeczki, w naj-

głębszém miejscu zatopić, a tymczasem zamówisz waść u tegoż majstra krzyż równie duży z męką Pańską i skoro będzie gotów, pamiętajcie postawić go na tém miejscu. A że to już może przy mnie się nie stanie, to tymczasem w jamie pod dawnym słupem mój niegodny proch złożycie... Gdzie grzech, tam pokuta. Oby ją tylko Pan miłosierny przyjąć raczył!.. Łaskawych tu na mnie ojców duchownych suplikuję, aby zostać raczyli egzekutorami mojej ostatniej woli.

Następnie z równym spokojem każdemu ze sług wyznaczył gratyfikacye za wierne usługi, a o najmniejszym nie przepomniał. Jeden z księży te dobre chęci pańskie spisywał, dla lepszej pamięci.

Ukończywszy sprawy jako dziedzic, stawał się podstoli ojcem i właśnie zażądał syna, który, jak już wiécie, na to wezwanie pośpieszył.

* * *

Po latach wielu, z sercem bijącym trwogą, wszedł Michałek do znanéj sobie celi definitora, a ujrawszy ojca na tém nędzném posłaniu, zmienionego chorobą, do nóg mu przypadł, zléwając je gorącemi łzami synowskiej miłości.

Sceny, jaka się tam odbyła, piórem nie kręślić ani penzlem malować, ale sercem tylko odczuć.

Popłakali się rzewnie prześladowany syn z pokutującym ojcem, aż gdy się ten uspokoił, a na-

wet wesołości nabrał, tuląc młodzieńca do piersi, prawił serdecznie:

— Zapisła nam św. Ewengelia przypowieść o marnotrawnym synu, a jam-to jest ojcem marnotrawnym, który młodość twoję zmarnował.

Jak za dni błogich zamek się rozweselił, zjeżdżali się bowiem sąsiedzi nieść pokutnikowi pociechę i przebaczenie. Wszakże nie dał się podstoli namówić na przeniesienie do komnat, ani użycie lepszego wczasu, mówiąc:

— Azali mogą być dla mnie wspanialsze pałace, nad ów przybytek świętobliwego człeka, gdzie skarby pokuty zdobył?

Na żądanie ojca, namiestnik sprowadził swoje komendę do Bogacie, na dziedzińcu zamkowym czyniąc z nią różne ewolucye i egzercyrunki, a chory, jakby życie odzyskiwał, pasadzony u swojego okna, nie mógł się dość nadziwować i nacieszyć.

I tak odżył wprawdzie zamek dawném życiem, ale dworek zawsze stał pustką.

XXIV.

Znów ptaszki nieboszczyka.

Nim zamkniemy to opowiadanie, należy nam się jeszcze dowiedzieć o losach mieszkańców opustoszałego dworku.

Skarbnikowa wianem dostała kawałek ziemi w Rożańskim, o parę mil od Bogacie. Tam się wyniósł skarbnik z rodziną, opuszczając dawną siedzibę. Ubogo tam było i nędznie, bo cała posiadłość zaledwie z trzech dymów się składała, a mały folwarczek o dwóch nędznych izbach stanowił rezydencją dziedzica. Wstępując w te skromne progi z rodziną, skarbnik przemówił smutnie:

— Biednie tu jest i niewygodnie, co prawda, ale przekładam to jeszcze nad obrazę Boską i zgor-

szenie ludzkie, do czego tamta ziemia dawała powody. Niech ją sobie Bogatkowie odbiorą, a niech ich tam Bóg ma w Swój pieczy.

Zakrzętnął-ci się wprawdzie skarbnik corych-lój, dobudował jaką taką izdebkę, oratoryum na pomieszczenie domowych świętości, i możeby się im plotło jako tako życie, gdyby nie ciężki smutek córki, rozdziierający ich serca.

Hanulka bowiem znosiła frasobliwą swą dolę z mężtwem, dopóki mogła ze wzgóрка choć jak we mgle dojrzyć obraz ulubieńca, póki deptała jeszcze tę ziemię, te trawki, na których niegdyś jako dzieci igrali z nim razem; lecz nagle pozbawiona widoku miłego, przesadzona jakby roślinka na obcą ziemię, schnąć i więdnąć poczęła. Była ona zawsze dzieckiem posłusznym, czujnym na każde skinienie, odgadującym wolę i upodobania rodziców; ale biedna zwijała się po domu jak automat, niknąc prawie w oczach.

Smutneż to było życie skarbnika pomiędzy żoną chorą, a córką mocującą się duchem z upadającymi siłami. Napróżno zawiązywał stosunki i sąsiadów w dom sprowadzał; i ci mu troski z niego nie wygnali.

Skarbnikowa, jako-to bywały dawniej mężne białogłowy, dobyła ostatka odwagi i przy pomocy jakiegoś nadarzonego lekarza, a prędzej siłą ducha, podniosła się na nogi i w półroku, zapo-

mocą łaski, dość żwawo się uwijała po domu, starając się być towarzyszką zasmuconej córki.

Wszakże niewesołe i tak było życie. Jedni przed drugimi ukrywali fraszki i zapłakane twarze, jak w komedyi, osłaniali maską wesela.

Tak się im tam dłużyło życie w tém udawaniu, bo w rzeczy każde z nich na grób spoglądało jak na zbawienie—gdy dnia pewnego najniespodzianiej zawitali goście, a byli nimi dwaj kapucyni, o. o. gwardyan i Tranquillin, w towarzystwie Michałka, aby ich zabrać z powrotem do Bogacie.

.

Cełę definitora świątecznie przybrano, a na jej progu, zmógłszy się sił ostatkiem, czekał podstoli, w odświętnych szatach.

Weszli skarbnik ze skarbnikową, wspartą zawsze na owęj laseczce, ale przeto świecącą wdziękiem, a za nimi Hanulka, na której pięknej twarzy rumieniec szczęścia bladość zacięrał.

Podstoli, padłszy przybyłym do nóg, łzami je pokuty zmywał. Popłakali się wszyscy serdecznie, a co tam w ich sercach było, przez łzy się wylało, albowiem słowaby na to nie starczyły.

Na wyraźne żądanie podstolego, a za zezwoleniem rodziców, Hanulka ochotnie stanęła z Michałkiem na ślubnym kobiercu, przy klęczniku

niegdyś ojca definitora, bo taka była wola podstolego, który powiedział:

— Niema na świecie wspanialszej świątyni i ołtarza, jako ten, przy którym on świętobliwy modlił się i pokutował za grzechy cudze, bo swoich nie miał. On-to was połączył, moje dzieci, a co taki człek połączy, napróżnoby się kusiły złość i zbrodnia ludzka rozerwać.

Podstoli był rzeźwy, zdrów nawet i wesół w on dzień godowy, a nikt się nie spodział, że nazajutrz w celce definitora nie będzie miał siły podnieść się z lichego posłania.

Dogładali go wszyscy, a szczególnie Hanulka, już jako synowa, która uszczęśliwiona spełnieniem tak długo zawiedzionych nadziei, przebaczyła teściowi z głębi serca i radaby była zatrzymać go jaknajdłużej na ziemi, aby był świadkiem szczęścia swoich dzieci.

Ku wieczorowi, a był to wieczór piękny, wiosenny, chory zdawał się drzemać spokojnie, uszczęśliwiona zaś dozorczyni jego, stojąc u otwartego okna, wspominała sobie błogie chwile dzieciństwa. Mimowoli przyszli jej na myśl skrzydlaci tych chwil świadkowie i rzucając okruchy chleba na okno, wzywała ich w myśli.

Z wielkim też pośpiechem zleciały się ptaków stada, dziobiąc chleb ze znaniej sobie białej rącz-

ki, a dawną swą ulubienicę witały wesołym świergotem.

Na ten głos zbudził się chory jeszcze raz w tém życiu i radośnie wymówił ostatnie już słowa:

— Boże, bądź błogosławiony! To definitorka przysłała mi przebaczenie przez swoje ptaszki!...

K O N I E C.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat 72
01-117 Warszawa
Tel. 26-68-83, 26-62-31 w. 42

F

438